CZARTAK

CZARTAK

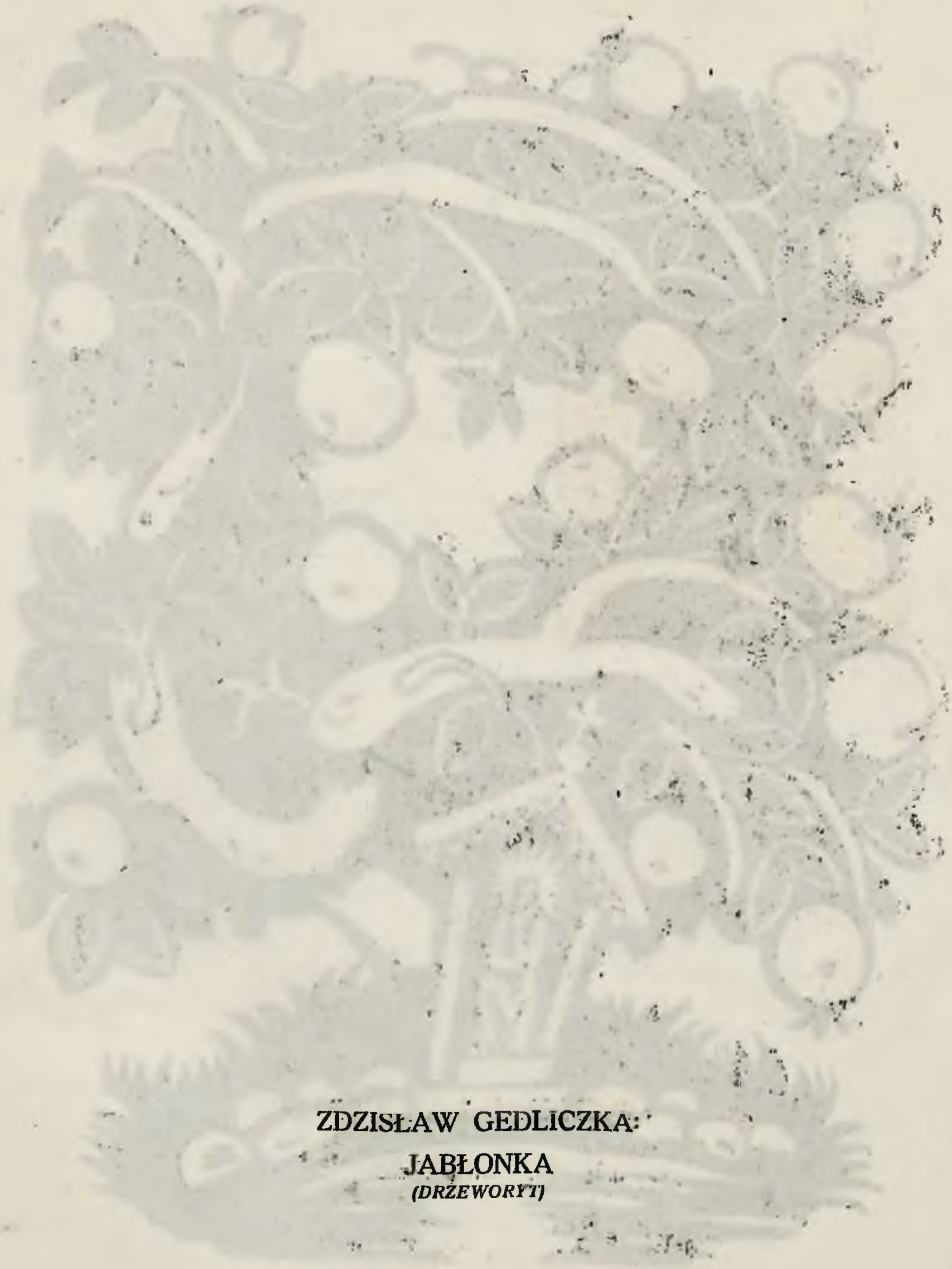
ZBÓR POETÓW W BESKIDZIE

POEZJE I PROZA

JÓZEFA BIRKENMAJERA
JANINY BRZOSTOWSKIEJ
WIKTORA HANYSA
ZOFJI KOSSAK-SZCZUCKIEJ
EDWARDA KOZIKOWSKIEGO
TADEUSZA SZANTROCHA
JANA WIKTORA
EMILA ZEGADŁOWICZA

KRAKÓW — MCMXXVIII





ZDZISŁAW GEDLICZKA:
JABŁONKA
(DRZEWORYT)

WYWODZIMY SIĘ Z ZIEMI. Oto cały rodowód nasz, poezja nasza i filozofja nasza.

Ziemia t. zn. przyroda i człowiek z glebą związany, w mowę jej wsłuchany, nakazy jej rozumiejący, człowiek bliski jej żyznej powierzchni i niepokojącego, węglowego czy żupnego wnętrza, człowiek puls globu tętniący w pochodzie swym historycznym z wieczności w wieczność. Ziemia-przyroda; ziemia-człowiek!

Ziemia - przyroda — bezmiar bożych spraw dziejących się od świtu po zachód, tajemnica narodzin i śmierci w jednem trwaniu zespolonych, wichr idący dolinami i szczytami w skłębieniu elementarnych sił, które są przykazaniem, i, jak to przykazanie właśnie, jawią się w gromach i błyskawicach genezyjskich; kosmos.

Ziemia - człowiek — którego natężone i czujne trwanie w dniu powszednim nawiedzane jest świętem i niedzielą wiążącą go z zagadnieniem sił rządzących, harmonji bytu i łaski spływającej zarówno z szumu zbóż rozchwianych jak i ciszy błękitu, zarówno z rytmu zajęć codziennych jak i trudzących lęków burz rozświetlonych piorunem.

W tem właśnie: w naturze więc i w jej człowieku widzimy zasadniczą istotę wykreślającą drogę właściwą i cel ostateczny ducha ludzkiego.

W zwrocie ku tym zagadnieniom wyczuwamy rehabilitację człowieka wobec jego zguby w wirze zmaterjalizowanych dysharmonij kultury miejskiej.

Postulaty nasze są wyraźnie antyurbanistyczne. Nie pomijamy stwierdzenia istnienia tych form utrapionych i utrapiających w bezkorzystnem marnowaniu sił — widzimy ich potworne kształty, słyszymy rechot ich turbin i syren, znamy je bardzo dokładnie, rozumiemy do głębi — i dlatego właśnie przeciwstawiamy się im każdym wysiłkiem myśli i czucia.

Zbiorowiska miejskie z całą ich strukturą poniewierającą godność ludzką uważamy za uciążliwy i bolesny zjazd z traktu głównego na wertepy i manowcowe bezdroża, krótko mówiąc, za jedną z licznych pomyłek, którym ludzkość w pochodzie dziejowym ulega; pomyleń tych jest dużo, niektóre są tamujące i straszne w swym egoizmie i bezogólnym egocentryzmie klasowym.

Historjozofja polska, poezja polska, myśl polska idzie po linji ziemi.

Objawem osiedliskowym jej mieszkańca jest wieś — oczywiście nie ta cicha i spokojna co to — »niech na całym świecie wojna, byle polska wieś spokojna« — nie ta widziana oczami turysty i letnika, oczywiście! — jeno ta wieś, która jest eksponowanem i mądrem obserwatorjum biegu wichrów i gwiazd, dorocznego prawa zmienności, celebry orki i zasiewu, zaciętego współżywiołowego borykania się o chleb powszedni dla wszystkich, gdzie w przyrodzonej człowiekowi formie bytowania rozkwita czucie i dojrzewa myśl na zdrowy pokarm pokoleniom.

Chłop czy szlachcic? — to nazwy tylko! — istota jest ta sama — ona to przez swoich emisarjuszy, którymi są rolnicy i poeci, stwarza byt i legendę narodu.

Jesteśmy poetami; — zachwyt widzących ostro oczu nie odgranicza nas od żadnych najprostszych i najzłożeńszych zjawisk życiowych — choćby w myśl zasady, że nic co ludzkie nie jest nam obce.

Wszelką formę zewnętrzną rozumiemy wyłącznie jako emanację istoty rzeczy, więc za sprawę pochodną, wtórną; — przeto też i w zagadnieniu roboty pisarskiej forma (ta najzewnętrzniejsza) jest w zamierzeniu naszem na planie dalszym — jest raczej zagadnieniem osobistego zamiłowania i przyzwyczajenia, które z radosną skwapliwością poświęcamy dla formy wewnętrznej; zresztą duch w chwili nawiedzenia zawsze melodję znajdzie najwłaściwszą i w ton potrzebny uderzy.

Treść jest wszystkiem; o nią w sobie walczymy; forma jest ciałem, treść duchem kształtującym powłokę swą wedle miary i potrzeby.

Stąd też otwarte są naoścież okna i drzwi na wszystkie zagadnienia artystyczne, religijne i społeczne; artystyczne: szczerość, prostota, bezpośredniość; religijne: oparcie o ewangelje, o miłość; społeczne: pokochanie wzwyżeń i upadków, każdej biedy ludzkiej i nędzy, dojrzenie poza jakąkolwiek maską czy udaniem, pozą czy histrjońtwem: człowieka! — we wszystkiem, bliskiem i dalekiem, nie zapominając ani na chwilę o misji duchowej narodu, przez »osadzanie w duszy człowieczej tronu dla Boga«.

Jeśli rozpierzchnięte partyzantki duchowe przypodobnić można do tęczy, która jest rozszczepieniem jednego światła białego — my — a mocą właśnie instynktu poetyckiego — urzeknięci jesteśmy żywą tajemnicą niewidocznych promieni ultrafioletowych i ultraczerwonych, dlatego też zasięgiem pożądań uczuciowych i intelektualnych sięgamy z jednej strony, poza konserwatyzm, ku wiecznie twórczemu urokowi tradycji, z drugiej strony poza komunizm, ku miłości ogarniającej żywioły, życie, ziemię i wszechświat. Tęsknotą jednak naszą wieczną, celem finalnym będzie światło białe! Ku tej tęsknocie jedna nas droga wiedzie falista i górzysta, wietrzna i słoneczna przez rodzimość i rasę. Tutaj też jest wytłumaczenie naszego fanatycznego przywiązania do spłachcia ziemi Beskidzkiej, która stała się dla nas z narastaniem lat, przemian

i doświadczeń odskocznią na wszelkie wzloty; nie jest to przywiązanie, jak zbyt pochopnie osądzić chciano, partykularyzmem, zacieśnieniem i ucieczką — po tysiąckroć razy nie! — jest to nasz podstawowy teren operacyjny, skąd — jak z każdego zresztą innego miejsca na ziemi — drogi szerokie otwarte ku wszystkim stronom świata; — nie trzeba przecież zapominać, że wszelki czyn odkupienia i ofiara musi mieć na mapie kosmicznej i swoje Betleem i swój Nazaret.

Jesteśmy jednym z dźwięków poezji polskiej, która znów jest jednym akordem poezji globowej. Im czystsza nasza pieśń będzie, tem czystsza będzie poezja wogóle, aż po tę ostateczną, która będzie hymnem narodowym Królestwa Bożego na ziemi. — Gdy tu mówię »my« — a prawem braterstwa zborowego mam ten mandat zaszczytny — mówię o tem, co jest platformą wyżynną, na której się spotykamy w odwieczerz bożą — po za tem każdy z nas ma swoje góry i doliny, turnie i przepaście w sąsiedzkiej, pomocnej zgodzie.

Tutaj nastręcza się sprawa walki: — każda żywa idea (nie chodzi o to czy »nowa«; wielkie ideje są zawsze stare, bowiem są wieczne) — pragnie zwyciężyć, pokonać, przebić się, zmylić pogonie i dojść do celu pierwsza i jedyna! Słusznie! — Jedna też idea do celu dojdzie; jeden bowiem jest cel i idea jedna. Oczywiście — dla nas walka nie może być synonimem tępienia, niszczenia, odrzucania w czambuł, wyszydzania, oszczerstw i brutalnych insynuacyj; dla nas walka jest pojęciem dyscypliny wewnętrznej, więc pojęciem zdobywania, bicia dróg w duchowych krainach, cierpliwie, radośnie, krok po kroku — aż do rozświetlenia i pełnego poznania; — wszakże-ci niema tak złego człowieka, któregoby utajonych, a w chwili sposobnej dojrzanych wartości pokochać nie można, a pokochawszy zdobyć! — czem? — właśnie miłością — i tylko nią! — Niema człowieka takiego, ani warstwy, ani narodu, ani czasu, ani idei! A jeśli spotykamy się na tych szlakach z szyderstwem i naigrawaniem — tem lepiej! — Toć-że to radość prawdziwa! —

Jakże to rzeczono o świętym bracie Jałowcu (którego się tak djabły bały!) — ? — ...bowiem radował się z obelg, kiedy go mocno łżono..., — z tych to cnót i wielu innych przyczyn, mawiał św. Franciszek, chciałby Bóg, bracia moi, bym miał wielki las »Jałowców«.

Radość ta płynąca z uczucia gorącego i z przekonania pokornego, że niedość, widać, skutecznie i wierząco napierało się tem uczuciem — wytwarza siłę stu psycho-dynamo-maszyn, której, gdyby była naraz i społem rozpalona, wierzę, nie zdołałyby się oprzeć wszystkie świata zatwardziałości i pomylenia, lecz przeistoczyłyby się i przetopiły przy niej i wskutek niej w metal wysokiej cnoty!

To byłyby (pomijam rozmyślnie problem regjonalizmu, jako zbyt jasny i wyraźny) postulaty zgrubsza ujęte i mniejwięcej dające się w bractwie czartakowskiem uogólnić.

Pozatem wolność bezwzględna! — wszakże w każdym wierszu, w każdej zwrotce może być dany wyłom i wyzior na niewidzialne dotychczas sfery i obszary; te niespodzianki nosimy w sobie jako siłę potencjonalną; poezja jest przecież (także) uświadomieniem sobie, często nagłem i niezamierzonem, stanów duchowych, objawień, nawiedzeń i dojrzeń olśniewających; też i twórczość często podobna jest do rozświetleń błyskawicowych w gęstej czerni nocy, kiedy-to w sekundowem zjarzeniu jawią się oczom krajobrazy nieznane, drogi zgubione, wykresy najpotrzebniejsze.

Gdy tedy już powiedziałem o radości zwycięskiej — docieram do momentu, który pragnę mocno podkreślić i ponad wszystko dotychczas rzeczone wysoko wynieść: — czartakowcy, dzięki założeniom i właściwościom świadomego ustosunkowania się do zjawisk życia — przenoszą wiarę poezji swej w życie! — chcą stać się i są — wiary tej wyznawcami i apostołami: sięgają poza momenty twórcze, poza osobowość poezji — w życie! — tworzą je jako koncepcję pełną, nieprzerwaną, jednolitą i harmonijną w tem upragnieniu, aby zarówno

w słowach jak i w działaniu jedna była potęga, aby napisanie księgi i przeżycie dobrze dnia było jednakim, błogosławionym trudem.

Na tej płaszczyźnie nie ogranicza się zbór Czartaka do kilku tych, czy innych poetów i pisarzy — sięga dalej, głębiej, a imię jego: Legjon.

EMIL ZEGADŁOWICZ





ZBIGNIEW PRONASZKO:
JÓZEF BIRKENMAJER
(RYSUNEK)

JÓZEF BIRKENMAJER:

MEDYTACJE

Medytacje

1

W cieniu stuletnich buków nad wąwozem,
koło klasztoru na górze Alwerni,
smutny Panjezus siadł na kolumience;
rękoma, spętanemi konopnym powrozem,
podpierał głowę skrwawioną,
boć ją przygniotła korona z cierni
i srodze cięży Mu pono...
Usiadł Panjezus w smutku okrutnym,
myśli o Swojej męce,
o Swych krzyżowych stacjach...

Pod Panjezusem smutnym,
koło wyrębu, na drewnianej ławie,
nieraz w godzinę wieczorną
pogrążony w medytacjach,
siadałeś, ojcze Czesławie,
aby odprawiać swe modły,
albo spisywać kronikę klasztorną...

2

Gwarzyły z tobą korne mniszki — jodły,
gwarzyły z tobą bernardyny-buki
w burych a szorstkich habitach,
niby dysputę z tobą wiodły,
choć twej nie miały nauki;
jednakże czasem w ich szumnych rozchwiejach,
w ich modlitewnych zachwytach
słyszałeś powieść rzetelną
o dawnych zamierzchłych dziejach,
które-ś spisywał do kronik...
I nieraz
cicho ci szeptał tryszczyk-pasikonik:
cyt, już śpią, śpią snem wiecznym, pod kruchtą kościelną,
ci, co tu niegdyś żyli!...

3

Pod Panjezusem smutnym,
na zielonej murawie
hasały sobie wróbelki,
z rozgwarem buńczucznym i butnym i chutnym
wzajemnej z każdym szukały zaczepki —
i zaglądały w twarz twoją ciekawie
i, za nic sobie mając wzrost twój tęgi, krzepki,
nieraz w poufałości i śmiałości wielkiej
dziobały twoje trepki;
ty, z zanadrza dobywszy kawał chleba suchy,
sypałeś im okruchy...

4

Kędyś za borem Szymoty,
poza Kwaczałą, Lipowcem,
chował się słońca krąg złoty;
wieczór już zwolna szarym pokrowcem
odziewał łąki, łoźniaki, zagony,
jak gdyby one barwne feretrony,
po procesji znów złożone w kącie...
Za mgłą się kryły babiogórskie szczyty
daleko — na horyzoncie,
głowy w kaptury wełniane odziawszy,
jak zakonnicy zamodleni w stallach...
Rąbek zórz się czerwienił — od ran ludzkich krwawszy...

5

Z rąk twych, ojcze Czesławie, wypadał różaniec
i mimowoli zamykał się brewjarz,
a wzrok twój, w którym gorzały zachwyty,
błądził po ziemskich okolach, oddalach,
aż poza świata kraniec —
boć wszędy swojej duszy miłość ty rozkrzewiasz...
Liczyłeś te wzgórza i wzgórki
jakby żywego różańca paciorki,
na srebrną Wisły nawleczone wstęgę;
wertowałeś stubarwne łąki, pola, niwy,
niby inicjałami zdobną, starą księgę
i z woniś lasów ty wypijał
ożywczy, silny kordjał
miłości powszechnej a żywej...

Te łąki, lasy rzeki — na górach, na niżu —
ogarniałeś miłością i błogosławieństwem,
zowiąc je bracią własną i rodzeństwem,
jak niegdyś mistrz twój — prostaczek z Assyżu;
cieszyły się ich wonie, ich gędźby, ich blaski,
a nawet tam, gdzie chłodne rozsiadły się cienie
i kędy wrzały niesnaski,
słałeś słowo pociechy — albo rozgrzeszenie;
to tam zaś, gdzie boleść widziałeś lub ranę,
wznosiłeś ręce szorstkie, spracowane,
niby na siebie chcąc wziąć te stygmaty...

6

Siedział Panjezus smutny, Jezusinek,
na kolumience kamiennej;
chwilowy ino miał tu odpoczynek,
bo zaraz dalej pożeną go katy
drogą krzyżową — hań na Kalwaryją —
podług Bóg-Ojca woli nieodmiennej...

Przysiadł, aby se spojrzeć, jak tu ludzie żyją,
jak się radują i cierpią,
jako się krzywdzą lub miłują,
jakie zamiary, jakie myśli snują,
skąd wiarę i nadzieję czerpią,
czy wszystko jest, jak było przódziej,
kiedy to On — Panjezus — mieszkał pośród ludzi.

Miłość i boleść miał we twarzy —
dwie najmożniejsze w świecie, wszechrodzące siły,
a oczy Jego przesmutne mówiły,
że boleść On odbiera, a miłością — darzy...





ZBIGNIEW PRONASZKO:
JANINA BRZOSTOWSKA
(RYSUNEK)

JANINA BRZOSTOWSKA:

EWA | ADAM | SĄSIAD | POEMAT OKIEN | SZCZĘŚCIE | Z CZERWONEGO KLASZTORU | TAJEMNE ZMARTWYCHWSTANIE | Z ZIEMI MOJEJ | WSCHÓD — Z SZCZYTU BABIEJ GÓRY | TĘSKNOCIE | POZDROWIENIE | CISZA ZIMY | GLOSSA O PRZYRODZIE

Ewa

Raju niema już, jest tylko ziemia —
Za zasłoną nieba daleką
Bóg się ukrył w tajemnic cieniach —
Tak już będzie za wiekiem wiek.

I choć nieraz uśmiechem łaskawszym
błyśnie losów kabała jak żartem,
szczęścia, coby umiało trwać zawsze,
nie wywróży żadna z kart.

Więc tęsknotą nawet nie trzeba
daremnie po nie sięgać,
tylko brać z ziemi i nieba
chwil mijających wdzięk,

zrywać jabłka radości wszelkich
zanim przyjdzie zejść do mogiły —
to grzech taki nie wielki
wobec tego, który pierwszym był.

Adam

Raz spojrzały wstecz jego oczy,
by pożegnać raj niełaskawy.
Dziś daleko już od niego odszedł,
i zatracił wszystkie z szczęścia praw.

Na swych barkach pochylonych nisko
dźwiga ciężar niezmierny przekleństwa,
przez wygnania drogę kamienistą
szlakiem życia złym — idzie wśród klęsk.

A jednakże bólem niezłamany
w sercu nosi wiarę w żywot wieczny,
przyrzeczony niegdyś u tej bramy
z której wywiódł go ognisty miecz.

I nie poto pragnie tak gorąco
przetrwać lata swej niedoli długie,
by tam wrócić jeszcze, lecz tęsknotą
jego cel jest ostateczny: Bóg.

Sąsiad

Mieszkasz na tem samem piętrze,
a jednak obcy mi jesteś, daleki —
Samotność to niezmierna między nami przestrzeń,
kołysana na smutku skrzydłach lekkich.

Nie wiem, czemu więc przez noce wszystkie
i te ciemne i te modre gwiezdne,
muszę słuchać skargi twoich skrzypiec:
zwierzeń i spowiedzi łez pełnej.

Czemu tonem tak bliskim, dotykalnym,
a lecącym wyżynami nad miasta ciszę,
aż po drogi w nieskończoność niewidzialne
uderzeniom mego serca towarzyszysz.

Długie noce mi rozkwiecasz tęsknotami,
jak ogrody róż krwawych falą,
i nic nie wiesz, że w me serce przerzucane
nieraz wiążą nas tak blisko — wiecznością i dalą.

Poemat okien

Słucham, idąc samotnie
muzyki, której niema:
światłami wszystkich okien
wyśpiewany poemat.

Z mroku go wydźwignęła
cierpliwa jasność lamp,
aby lśnił w ulic cieniach
aż do wczesnego dnia.

—

Gwiazd nie widać, choć wiem,
że na niebie się rozpostarły —
urządzają niesłyszalny wiec,
skryły blaski swoje i barwy.

Tylko okna najbliższe przez mgłę
grają, czasem chórami, to znów w tercet lub kwartet —
gdy kamienica nędzy pełna i bied
nie może lśnić symfonją wszystkich świateł.

—

Lubię w jedną ich muzyczną frazę
wsłuchać się przez wiew chłodnej wiosennej nocy:
w najciemniejszego zaułka andancie
tajemnicę dojrzą moje oczy.

W jakimś tonie okna czerwonym
(świeca, lub może lampa stara, naftowa)
jak stygnąca krew zapomnianego przez wszystkich zgonu
jak przeczucie samotnych, nawet w miłości, obaw.

—

Chłonę tę czerwień wzrokiem,
a potem przymykam powieki —
z światłem w oczach zamkniętem stoję,
a przez serce moje łzy płyną i uśmiechy.

Wiecznie to samo — barwy nie spłowiałe — śmierć i miłość —
ciebie to za oknem tem uwięziono, życie!
przygasły promień twój do serca mego przeniknął
i rozkwitł w niem, jak pieśń kwiatami i liściem.

—

Na dnie czarnego bez gwiazd kwiatu nocy,
który ziemię do nieba przytulił,
z serca mego promień rośnie kwitnący,
w nieskończoności się gubi.

Ogniami wszystkich świateł, któremi płonie miłość
wysoko sięga jak stęsknione życie,
z tego zaułka, jak przez tajny wyłom
wykwita nawet ponad śmierci przyjście.

Szczęście

Szczęście — to łąki nad brzegami rzeki przejrzystej —
nie miłość twoja —
miłość twoja, to smutek mój.

Szczęście — to wzgórza gajami szumiącemi porosłe —
nie uśmiech twój —
uśmiech twój, to tęsknota moja.

Szczęście — to pierwszy słoneczny dzień wiosny — pąki rozwijający —
nie pocałunki twe —
pocałunki twe, to rozkosz pragnień nigdy nie uciszonych.

Ale ani wśród łąk, ani wzgórz zielonych,
ani w dni wiosny słoneczne
niema szczęścia bez ciebie.

Z czerwonego klasztoru

Nie wiem dlaczego właśnie zauważyłam wczoraj,
przechodząc obok kościoła z myślą o wielkim grzechu,
że księża Karmelici z czerwonego klasztoru,
to bardzo mili ludzie, mają dobre uśmiechy.

Z zieleni swego ogrodu, z zakwieconego wzgórza
ponad aleje jesionów patrzą z wysokich okien —
nic ich tak może nie cieszy, nic ich tak bardzo nie wzrusza,
jak w trzech ramionach rzeki trzykrotnie odbite słońce.

Tajemne zmartwychwstanie

Niesiemy kwiaty pierwsze rwane pod lasem w tarninach --
urokiem wczesnej wiosny pachną już wszystkie łąki —
nawet na czarny krzyż powój wątły wieniec rozpina,
na pochylony krzyż, co się wśród pól zabłąkał.

Czy wiemy kto w jego cieniu udział bierze w święcie rozkwitu,
kto zieleń liści nasycił, kto w kwiatach rozwarł znów oczy?
Kto pełnym pije oddechem powietrza świeżą błękitność:
to człowiek, który w śmierć odszedł, z mogiły wraca mrocznej.

Ciszę serca swojego zbratał z kwiatów milczących ciszą,
i teraz jest nam tak bliski i tak zarazem daleki,
jak te różowe pąki, co się w ciepłym wietrze kołyszą
ruchem oddanym ziemi, zawsze jednako lekkim.

Jest nam tak bardzo daleki i tak zarazem bliski
w tem zmartwychwstaniu tajemnem, w nieustępliwym powrocie,
stały mu się rodzeństwem wesołem kwiaty ogrodów wszystkich —
poi się rosą i słońcem, jak jaskry i stokrocie.

Obcy mu żal i smutek, człowieczą zrzucił żałobę,
szyderstwa nie niesie z sobą radość wiosennej krasy:
serce tak kiedyś gorące w zimnym nie leży grobie,
tysiąca kwiatów uśmiechem nad krzyż wykwitło własny.

Z ziemi mojej

Noc — idę taśmą białego zakrętu
drogi, doliną pełną ciszy snu —
nad krzywą linją ciemnych górskich grzbietów
gwiazdy w tajemny złożyły się wzór.

Żadnej mądrości czytać z nich nie pragnę,
żadnych objawień, i wiem tylko jedno:
ziemia jak okręt z ciemno-modrym żaglem
nieba, wraz ze mną płynie w ciszę, wieczność.

Na pokład, biały poświatą księżyca
czasem przelotne upadają cienie
obłoków, może ogromnych piór skrzydła
mocy, niosącej mnie, gwiazdy i ziemię.

Wschód — z szczytu Babiej góry

Wicher rozwarł w mgłach błękitne okno —
pęk promieni już przez nie się wdarł:
złote skrzydła przyprawił obłokom,
i snu szarość z skał krawędzi starł.

Zginął w blaskach ostatni ślad mroków,
ziemia leży nisko u mych stóp.
Całą przestrzeń żądnym dali wzrokiem
mogę zdobyć, morze sinych gór!

Wśród nich, w ciszy śpiących jeszcze dolin,
nad strugami, co w zieleni lśnią,
witam białe, tak wzgardzone domy
łzą, zbłąkaną niewiadomo skąd.

Tęsknocie

Niechaj wypełni się to, czego pragniesz, tęsknoto:
rozsnuj się w nieba błękicie ciszą świetlaną i czystą.
Spali cię smutek zachodu ognia pożogą złotą,
lecz ja raz ujrzę jedyny, oczom tak rzeczywistą.

Niech ci wypełni się to, czego pragniesz, tęsknoto:
zadźwięcz tonami pieśni śpiewanej w wiosny południe!
Zaginiesz w szepcie wiatru, który ziemię obiegnie przed nocą,
lecz ja cię raz jeden usłyszę, w dźwięków wcieloną strumień.

Niechaj ci spełni się, czego tak pragniesz tęsknoto:
zamień się w falę rzeki szumiącej w górach mej ziemi.
Zanim cię chmury zazdrosne tęczą wypiją wysoką,
raz serce chłodem uciszysz, ty, co płoniesz w krwi żywej czerwieni.

Pozdrowienie

Pozdrów odemnie tę rzekę wesołą
co płynie pośród naszej ziemi gór,
pozdrów te góry zielone dokoła,
cieniami stoków w jej schodzące nurt.

Zanieś im tysiąc tęsknoty pozdrowień
a słów twych będą radośnie słuchały —
pojmą, odgadną, chociaż im nie powiesz
że to miłości głos najszczerszej, stałej.

Bo one dzisiaj jeszcze pamiętają
szczęścia naszego najjaśniejszy blask,
same stroiły je pięknością raju,
same szczodrością swych darzyły łask.

Wspomnienie o niem pozostało w ciszy
słodkiej — jak wtenczas zapachami łąk,
rzeka je w pluskach szybkich fal kołysze,
blaski te same i dziś na niej drżą.

Te same cienie są w leśnej zieleni,
co kiedyś serca uciszały rytm —
czas modrych niebios, ani chmur nie zmienił,
lecących w światłach coraz nowych dni.

Więc gdy szedł będziesz brzegami tej rzeki,
ku której często zwracaliśmy krok,
odpowie tobie fal westchnieniem lekkiem
na pozdrowienie to z dalekich stron.

Góry odkryją z chmur wysokie czoła,
by w zamyśleniu słuchać twoich słów —
choć imię moje niegłośno zawołasz,
w echach powtórzą je dokoła stu.

Cisza zimy

Niebo jest blade, ziemi snem długim przejęte,
nie śmie błysnąć promykiem jasnym — może czeka
na jakąś wieść tajemną, co ma przyjść przed kwietniem
w niespokojnie kapryśnych słonecznych uśmiechach.

Lecz ja tak właśnie dzisiaj każdym swym oddechem
radość piję, przez ziemię jak przez wieczność idę;
tyle szczęścia ma w sobie pól daleka przestrzeń,
zagubia i ucisza wszelką ludzką krzywdę.

Pragnienia wszystkie były jak skrzydła motyle,
nawet radość zbyt mocna blask ich świeży starła —
a to niebo, co dziś się nad ziemią pochyla,
jest ciche, nieruchome, jak pokoju sztandar;

zagarnęło mgłę smutków mych od łez aż ciężką,
już jej znaleźć nie zdołam pośród pól tych białych
ośnieżonej równiny — więc słucham jak lekko
serce bije w takt mocnej, wezbranej krwi fali.

I nie wiem czy na ziemi tu jest szczęście większe
ponad ciszę spokojną, nieznającą kresu,
która kołysze serca cierpienia najgłębsze
tchem łagodnym, idącym przez najdalszy przestwór.

GLOSSA O PRZYRODZIE

1. *Dawniej ludzie bali się ciebie przyrodo —*
dziś przeniknęliśmy twoje tajemnice groźne
stajesz się coraz bliższą nam,
stajesz się ukochaną. —

Przestaliśmy być barbarzyńcami.
Wywalczyliśmy sobie wolność wobec ciebie, a teraz pragniemy, abyś i ty zachowała jej wiedzę najradośniejszą.

Jesteśmy silni, jesteśmy już tak silni. że chcemy pozwolić sobie na słabość miłości.
My pierwsi — my — poeci — piszący i nie piszący, bierzemy ciebie w obronę przyrodo —
za twoją piękność —
za twoją słoneczność daleką od brudnego cienia kamienic —
za twoją ciszę zapomnienie niosącą o udręce i głośnej nędzy miast —
za rozkosz, jaką upajają łąki twoje, kwiatów rozchwianych pełne, niespokojnych deseni wolności.
niech jej radość nigdy nie stanie się nam obcą.
— — — — — —
O jakże męczą szare bruki miast, ich uporządkowane prostokąty.
— — — — — —

2. *Nie my obwieszać będziemy szczyty twych gór elektrycznemi windami.*
Chcemy tym, którzy pierwotności ostatnie przeczucia zachowali w sercach, zostawić wybór dróg.
Niech nie wiotczeją muskuły wszystkich ludzkich stóp — niech nie dodają im sił jedynie ciasne ćwiczebne stadjony, po których biegają tam i z powrotem, pod przymusem jedynej celowości, bez żadnych poza nią perspektyw.
Taki cel — to za mało dla pragnień naszych —
ograniczeń za wiele.

3. *Nie możemy zapomnieć o swem z tobą związaniu, przyrodo, wszyscy z ciebie jesteśmy. —*
Każdy ze zmysłów naszych twoim jest zmysłem —
Krew nasza w tobie nieustające ma źródło.
Nie chcemy zerwać cię stopniu ostatni w pierwotność miłości —
nie chcemy z ziemi uczynić fabryki jadła, napoju, przedmiotów codziennego użytku i handlu.
Pragniemy mieć domy, w których rodziłyby się dzieci jeszcze według twych praw —
ogrody, w których słońce uczyłoby nas radości —
widnokręgi dalekie, nie oślepione murami —
wzgórz drogi kamieniste, ku szczytom wiodące, my, którzy jeszcze śmiało chodzić umiemy.

Młodość nasza w twej bujności najżywsze znajduje echo —

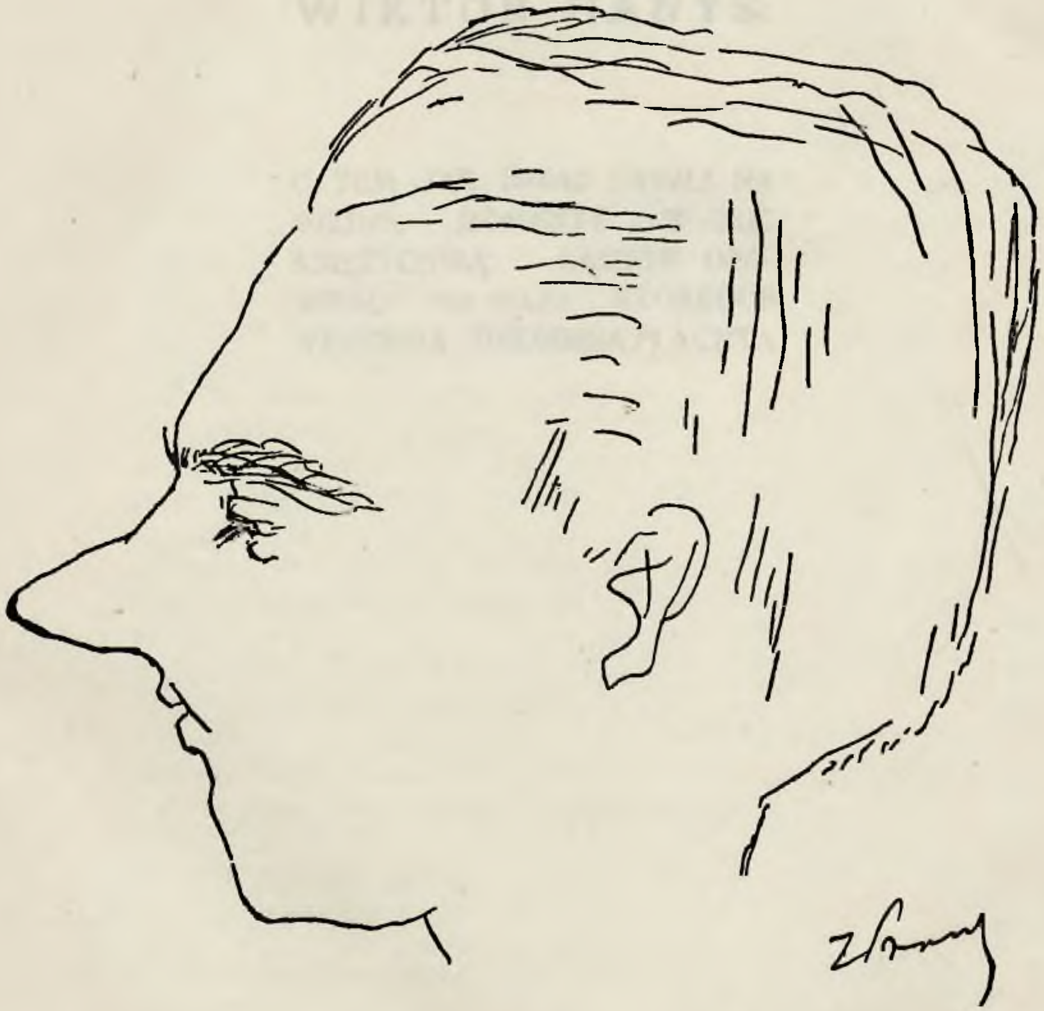
Siła nasza w twej mocy czerpie ramion swych dzielność —

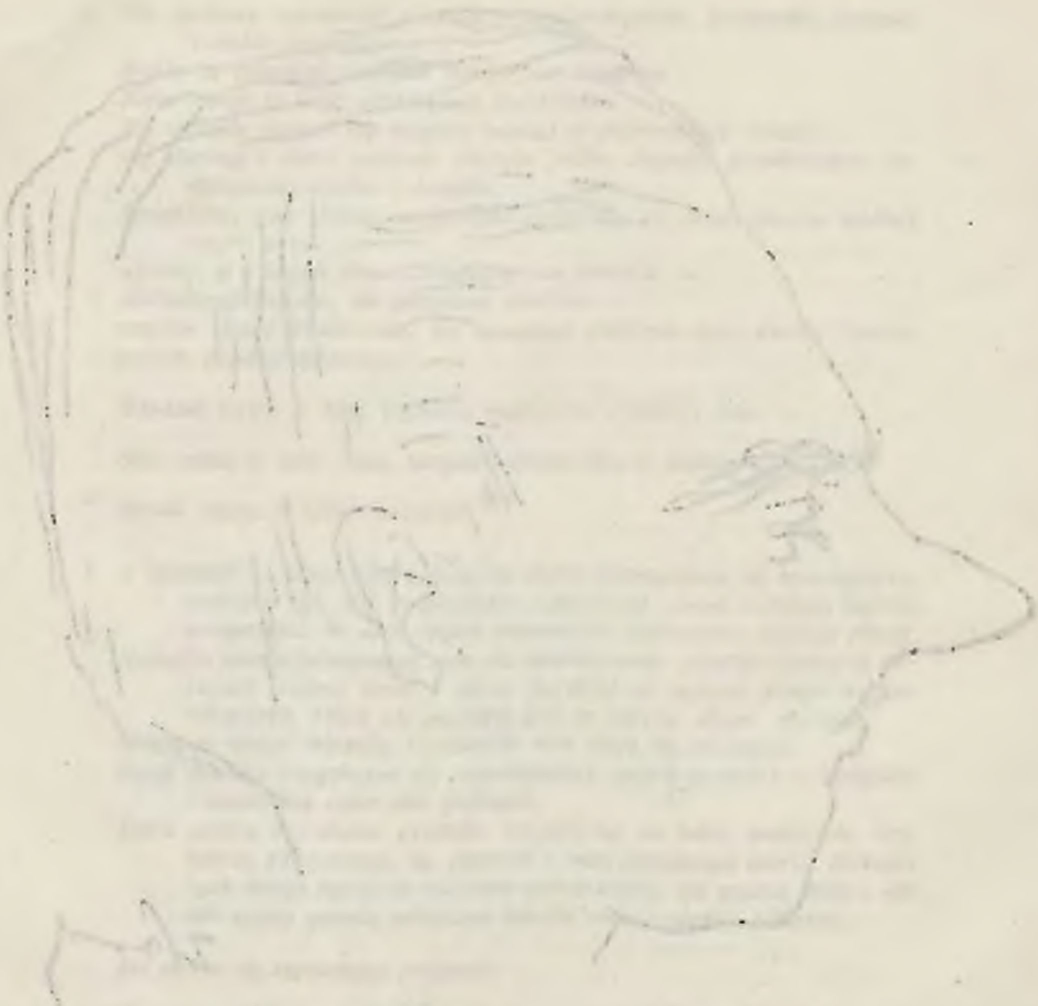
Miłość nasza w tobie rozkwita.

4. *A miasta? — Stwarzają z dnia na dzień wzmagającą się bezwzględną walkę o byt, nie rozjaśnioną częstokroć nawet nadzieją lepszej przyszłości. W nich siejba nienawiści najbogatsze wydaje plony.*
Nietylko zmaterjalizowany, ale do ostateczności zmechanizowany porządek rzeczy trwa i coraz bardziej w jarzmo swoje nagina człowieka, który nie pamięta już co znaczy słowo: wolność.
Maszyna święci triumfy, i człowiek sam staje się maszyną.
Życie ubożeje i wyzbywa się największych swych wartości — brzydnie i zapomina czem jest piękność.
Jakże mamy bez słowa protestu zgodzić się na takie poniżenie, my, którzy pragniemy, by powiew z nad głębokiego morza niepojętych dotąd tajemnic owiewał nasze czoła, nie pychą butne, ale tak często gorzką schylone udręką wobec niedoli bliźnich,

Do ciebie się zwracamy przyrodo —

Ty przynosisz nam wyzwolenie z nędzy i małości własnej, nowe, czystsze i pogodniejsze w świat otwierasz horyzonty.
Zbliżenie się do ciebie nietylko nie hamuje kroków w przyszłość idących, ale sił im dodaje, a drogę czyni otuchy pełną i nadziei.
Oto postęp — najszczęśliwszy.





ZBIGNIEW PRONASZKO:
WIKTOR HANYS
(RYSUNEK)

WIKTOR HANYS:

O TEM JAK DWAJ ZASZLI NA MIEDZĘ | MOMENTY | W NOC KSIĘŻYCOWĄ | LESISTE OPOWIEŚCI | NA HALI | KTÓREGOŚ WRZEŚNIA | ZGRZEBNA PŁACHTA

O tem, jak dwaj zaszli na miedzę

TADEUSZOWI SZANTROCHOWI
na pamiątkę przechadzki z nim dn. 26 VI. 1927

Postukali nogami, laskami,
przemknęli trotuarem
i tak zaszli za miasto.
Nad nimi we fjoletowym przedzmroku
niosły się chmury miedziane.
O czemś mówili —
Kroki stawiali po ziemi,
lecz głowy nieśli wysoko
nad przestrzeń, nad czas — — —
Mowa biegła po torach niechwytnych
raz tu, to tam:
jako się życie ludzkie ścieli:
po górach, dolinach, rynsztokach.
A to znów ojciec się niepokoi,
gdy dziecko chore najdroższe,
a Ibsen pisze dużo o czemś w »Dzikiej kaczce«.

To znów jakby to było
gdzieś na oceanie
płynęli w łódce bez dna i bez wioseł
w astronomicznych patrząc snów manowce.

Wszystkie bogi i ludzie
przegnały im przez głowy,
a byli tu i tam...

Snać tylko zapomnieli,
że wzdłuż wąziutkiej miedzy
po obu stronach
żyto się łanem ścieli,
pochyla głowy kłośne nisko,
spokojnie, cicho, bezbrzeżnie, falisto.

Momenty

DZIECINNE ZACHCIANKI

Miljonowych gra świateł w noc ciemną jak ołów:
Dyndają wokół; — słychać — dzwonią...
— Gdyby tak siatkę rzucić na nie
                    i splątać wszystkie, —
siatkaby się przedarła może
                    popsuła i rozpadła,
lecz jednak — kto wie — może dobry byłby połów...

ŁĄTKA JEDNODNIÓWKA

— Wspomnienie czegoś,
                co niewiadomo czy było,
dzień był tak jasny;
                takby się dobrze żyło.

W noc księżycową

Żarem spalone usta, drżące jeszcze w mroku,
wchłaniają w siebie balsam sinawego cienia,
co rozlał się po grapach gęsto zalesionych,
obejmując z osobna każde drzewo. — — —

Ziemia...
wieczna tęsknica za słońcem
spragnioná jego siły i męskiego tchnienia,
odsłaniająca rankami swe ciało,
by poddać je urokom ognistego oka...
Wrzyna się do jej łona siła światła wrząca
i napełnia je życiem; bluzgocze gorąca
lawa karmu z jej piersi —
dziś nocą, cała jeszcze dygocąca
spoczęła chwilę.

Księżyc oliwą swego łagodnego światła
jej ciało namaszcza i pieści;
a ja się za czemś nieznanem —
tęsknotą męczę — — —

Lesiste opowieści

Zigliwione lesiste poświsty
kłują się wzajem dotkliwie —
korzenie wyrywają ziemię,
ziemia — korzenie.
Pooplatane skały,
piach żdziurawiony —
mrówek stłoczone chmary
dźwigają belki ruchliwie...
Ciemne wykrętasy konarów,
ze środka lecące w przestrzeń,
oblane sadzą,
na rosę, słońce
wynoszą swe mackl tkliwe,
czują, jak chodzą im po kościach
wiercące wiatru dreszcze.

Tylko z głębi potoka
— strach!!
dochodzą głuche wieści:
drzewo tam pono uschło,
rzuciło próchnem w oczy,
a w czyjeś serce smreczane
piorun trzasł!!

Na hali

Sami jesteśmy.
Tak cicho mówisz do mnie,
tak jakoś tajemniczo,
szybko ci bije serce.
czy chlust ostrego powietrza targa ci piersi?
lub może tęsknisz za miastem?...
Pląsają żwawo dziwożony,
a nawet śmieją się blednice;
nieboskłon dzisiaj jak szalony
i gwiazdy tak jasno świecą.
Dorwiem się skrzydeł, przyjacielu,
nie uważając wcale na granice,
albo też w pełnym galopie
pocwałujemy na srebrnym księżycu.
Daj rękę, przyjacielu,
i nie mów do mnie tak cicho,
wszak możesz — nikt tutaj cię nie usłyszy —
huknąć w głos z całej piersi: hihuu!

Któregoś września

Korowód świetlnych dni, jasno rozlanych
z rzeszota sieje wokoło
bezkresną,
już wypławioną w słońcu pogodę.
Spokój —
Jakby tych dni strzaskanych wściekłością piorunów
wcale, a wcale nie było —
Kapie z pod seledynu miodu wonna,
nabrzmiała dojrzałość gorąca,
z rozwartej sączy się macicy,
gradem się sypie z drzew,
— jabłko o jabłko potrąca —
drga w nozdrzach nieprzepartem rozlewaniem woni.

Bezkresność, falistość bez końca,
i błogie rozleniwienie —
wszystko tak jakoś zakrzepło,
jak ta na białych ścianach domu mego jasność,
jak to, że było tu, a niema już gorąca.

Zgrzebna płachta

— — — — — — — — — — — — — — —

Stary leżał na słomie rozesłanej wąsko i cienko na powykrzywianej podłodze; oczami wodził po suficie, gdzie siwe plamy zaczynały mierzchnąć już, zlizywane mrokiem.

Na polu tlił się jeszcze zachód jesienny czerwoną mierzwą na niebie.

Wiatr październikowy tłukł po wąwozach chmarami liści, i skomlił świstliwie w gałęziach brzezin i warkoczach świerczanych.

Wierzchami wzgórz niósł się zdaleka szumny akord.

Oddech starego był świszczący — podobnie wiatr dusi się w badylach zeschłych — i przyciężki.

Stary zgarniał co chwila pokurczonemi palcami słomę, i od czasu do czasu w takt powolnego tykania ściennego zegara powtarzał: słoma... no słoma.

Zgrzebny żywot na zgrzebnej płachcie — no zgrzebny — powtarzał co chwila jedno i to samo:

Zawsze wkoło.

Sam był. Wszyscy poszli sobie gdzieś do roboty.

Sam był, choć nie sam.

Czekał.....

Już cień coraz to grubszy zlizywał mu bladość z rąk, które dotychczas jak dwa opłatki spoczywały, rzucone bezsilnie wzdłuż pościeli.

Zdawało mu się, że ręce jego zleją się z mrokiem, a wkrótce jego samego obejmie czarnemi ramionami ciemność.

Czekał.

Czekał nieruchomo, jakby rzeczywiście miało coś nadejść wkrótce i powiedzieć mu otwarcie o długo tajonej radości, której nie było nigdy.

— — — — — — — — — — — — — — — —

— Wreszcie — westchnął z ulgą i zdawał się unosić trochę z posłania. Szepnął to słowo kilka razy po długich przerwach i znowu czekał.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Uniósł w końcu ręce z wysiłkiem i wyciągnął je przed siebie, poczuł przytem jak jakiś rzeźwy prąd przenika mu je od ramion i piersi wzdłuż aż do palców, a z palców, z samych ich końców wylewa się niewidzialne światło, płynie i rozczapierza się szeroko.

Nie mógł otworzyć ciężkich powiek, lecz jednak mimo to widział wyraźnie rozciągające się pasma świateł, krające ciemny mrok we wszystkich kierunkach. Błoga radość, szalenie żywiołowe czucie targnęło nim na pościeli. A myśli jego pobiegły wnet śladem tych promienistych wysnuć serdecznych.

Widział siebie wędrującego z miejsca na miejsce wchodził na szczyty, to znowu szybko spuszczał się wąwozami w dolinę, przemierzał szerokim krokiem lesiste zbocza grap, przerzucał się za odrzewione szczyty, chodził, błądził, kołował tam i nazad, wzdłuż i wpoprzek; rzucał jasne słowa ludziom na ugorach, zapadał w potoki, wreszcie ciągnął gdzieś na równinę, szedł, ginął w mgłach otulających ziemię tak, że sama jego sylwetka zginęła mu wkrótce z oczu.

Ręce opadły mu i leżały jak przedtem, ale jeszcze trwały w przenikaniu błogiem.

A potem zeszło się wszystko ku niemu i zaczęło gnieść sobą, a zbliżać się z wszech stron: dawne słowa z werwą zamaszystą, jasne pojęcia szybkie, jak sam błysk postanowienia, przedsięwzięcia nagłe, niezwykłe przeskoki uczuć splątanych wzajemnie — szły sznurem długim, spojone przypadkami losu; tylko to dziwne zaniepokojenie, które pełza w szeroko rozwartych oczach, a które można wyssać z piaszczystej gleby górskiej, tylko ten niezwykły niepokój, ten upór zacięty a trwożny górował nad całą falą

uczuć zmarłych, a teraz zmartwychwstających w pełnej chwale w widzeniu ostatecznem.

Stary zapomniał zupełnie o tem, że on właściwie leży słaby na zmiętej słomie i rąk podnieść nie może nijak.

Miłość wezbrała w jego chudych piersiach.

— — — — — — — — — — — — — — —

Ocknął się na odgłos kroków w sieni.

— Prawda to wszystko było? — spytał. — Co się wam śni — była odpowiedź; lenicie slę na podłodze i bzdurzy wam się cosik.





ZBIGNIEW PRONASZKO:
ZOFJA KOSSAK-SZCZUCKA
(RYSUNEK)

ZOFJA KOSSAK-SZCZUCKA:

PO LATACH | LIST

Po latach

Johann Pfeifer, dozorca kazamat więziennych w twierdzy Ołomunieckiej przystanął przed ostatniemi w rzędzie okutemi drzwiami. Postawiwszy na ziemi latarkę i cebrzyk z zupą, otworzył zamek, odsunął zasuwy górną i dolną, odłożył ze szczękiem środkową antabę. Drzwi się otworzyły, ukazując zielonawo-mroczne wnętrze lochu. Migotliwem światłem kopcącej olejnej latarki Pfeifer wymacał stojącą nieopodal miskę i chlusnął w nią gęstą a cuchnącą zawartość cebrzyka.

— Nuże dziady! Pyrdelonka![1] — zakrzyknął w głąb. Chrypliwe stęknięcie odpowiedziało z ciemni. Zadzwoniło żelazo. Dozorca wyszedł, wieloletniem przyzwyczajeniem zamykając starannie zasuwy, zawierając antabę środkową, z łoskotem przekręcając w zamku wielki zardzewiały klucz. W lochu szczękały ospale wleczone po podłodze kamiennej kajdany. Stary zbójnik Walko Krzepica z Kobylej wziął ostrożnie miskę i poniósł w kąt pod maleńkie u sklepienia wykrojone okienko. Towarzysz jego Juraszek Madej z Ustronia siedział tam z nogami podkulonemi na barłogu, stanowiącym ich posłanie i jedyny sprzęt zarazem. Postawili miskę na ziemi przed sobą. Wyjęli z barłogu łyżki drewniane, jedząc powoli, bez słowa polewkę grochową. Skończyli. Krzepica odstawił miskę podle drzwi i usiadł przy towarzyszu. W stęchłym pół-mroku zalegającym więzienie widzieli się podobni do widm. Sępie wyraziste twarze wyblakłe były na równi z łachmanami zetlałej odzieży. Z przegubów rąk i nóg olbrzymich niegdyś kościejów zsuwały się zbyt obszerne kajdany. Jakże wżerały się w ciało, cięły

---

[1] Pyrdelonka — tłusta i pieprzna zupa ze świniny, ulubiony przysmak śląski.

w męce, gdy je na zwartej mocarności krzepkich dłoni zaklepano przed sześćdziesięciu laty! Dziś dałyby się zesunąć bez wielkiego trudu, lecz oni zsunąć ich nie próbowali. Zapomnieli, iż się rodzili bez kajdan. Tyle lat! Nie pamiętali niczego. Skazanych na szubienicę, miłosierny cesarz Franciszek I ułaskawił, zmieniając karę śmierci na dożywotnie więzienie w najgłębszych lochach fortecy. Było to czasu ogromnego zjazdu książąt i królów do Wiednia. Kiedy, hej — kiedy? Jakżeby spamiętać mogli? W pierwszych latach owej łaski dobrotliwego cesarza zwiedzali nieraz więzienie dostojni panowie, wojskowi w błyszczących kołnierzach, damy w tunikach i zawojach z trzęsieniami, lękliwe, pachnące, urocze. Dozorca odsuwał zasuwy, dwóch grenadjerów z obnażonemi szablami stawało we dzwiach, gdy komendant twierdzy objaśniał przyciszonym głosem: »Das sind gerade die zwei letzten gefährlichsten Beskidenraüber«... zniżał jeszcze więcej głos, by wyliczyć krwawe rozprawy, zdziesiątkowane oddziały, postrach ogólny... — Um Gotteswillen... niech Wasze Dostojności nie podchodzą bliżej... te szatany gotowe się rzucić choć skuci...

Zatrzaskiwano zawory. Hej, rzucali się zrazu istotnie. Na kraty, na drzwi zamczyste. Z murem czterołokciowym za bary się biorąc, ziemię pazurami drapiąc. Nie snadno im było przywyknąć, wierchy swobodne szerokie na kazamaty zamienić — nie snadno. Lecz mur krzepciejszy był od nich. Omdlała wola, zwalczona tępą obojętnością kamienia. Gdy potargane mięśnie opadły bezsilne, — Krzepica, któren piśmienny był, do cesarza pisał list. Pisał na rękawie koszuli, krwią z serdecznego palca, zadziorą z futryny. Za wolność skarby ogromne na groniach ukryte oddawał. Cesarzowi, wiadomo, na wojnę z Napolionem dutków trza — wypuści ich ani chybi. Dozorca, któren odchodził na grację, obiecał list oddać do własnych najjaśniejszych rąk, za co przyrzekli mu worek grajcarów. I czekali. Czekali cierpliwie rok, dwa, trzy, pięć, osiem, aż im się pamięć czasu zatraciła. Nie nużyli się czekaniem. List do cesarza! Nie hycnie jak wróbel, ani wróci migiem spadki. Pomaluśku szak idzie, z cesarską rozwagą. Cze-

kali. Mijały miesiące, lata, dziesiątki lat w powolnem zobojętnieniu. Kamienna mogiła chłonęła w siebie żywą istotę człowieczą, szczepiąc jej w zamian własną wieczystą cierpliwość. Już i pamięć listu rozpełzła się, wsiąkła w ściany. Coraz mniej kosztowało gibkie niegdyś nogi, siedzenie dniami, tygodniami, miesiącami w skulonym, jednakim bezruchu. Coraz rzadziej odzywał się głos, — niepotrzebny i obcy kamieniom. Coraz też rzadziej otwierano drzwi, by dostojnikom, zwiedzającym twierdzę, pokazać »die letzten gefährlichsten Beskiden raüber«... — Drugi dozorca umarł, nastał trzeci nowy. Ten z ciekawośclą odsunął antaby, poświecił latarką. — Dziady! — mruknął i splunął z pogardą. Tak też ich odtąd nazywano. Nie lękał się już struchlałych kościejów nikt. By prosili, odjętoby im okowy, zezwolono przechadzki, a może nawet tapczana, oni jednakże zabyli, by mogło kiedykolwiek być inaczej i nie żądali niczego. Bezpamiętny martwy spokój zakrył przed nimi obrazy dawnej pradawnej młodości; trwali bez świadomości bytu, życia, czasu.

— Dziady! nowina! kompana macie, swojaka!... — wrzasnął dozorca w głąb lochu. Pchnął przed sobą górala w cusze, cisnął kłąb słomy i dźwierze zawarł jak zwykle. Nowy przybysz przysiadł na słomie niepewnie, bielejąc w mroku galatami. Twarz miał młodą i wesołą, białe zęby błyszczały w opalonej twarzy. Spoglądał z onieśmieleniem na te dwa staruchy majaczące w ćiemni kąta. Patrzyli w niego mętnemi oczami. Starcze wargi jęły coś mamlać, niby przeżuwając, aż wyskrzypieli w gardłowem charknięciu:

— A ty gdo?

— Jónek Bystroń z Kubalonki — poderwał się ze słomy, rad, że może mówić. — Na weselu u somsiada roztrzepałech trzech pachołków... Bez to mie wzieni... Na roczek!.., Trza bee wydzierżeć... — a wy?

Szeleścili długo suchemi wargami, zanim zdołali wyłowić dźwięk odległy, zapomniany, z trudem wydobywający się na wierzch myśli, jak topielec na wierzch wody.

— Walko Krzepica z Kobylej...

— Juraszek Madej z Ustronia...

— Maciczko Najświętsza! — zakrzyknął góral — cheba te zbójniki hyrne, co ich w koziej wojnie wzieni?

— No!

— Dziwajcie się! Wiary nie byda chcieli dać ludkowie na spodku kiej rzekę... Krzepica z Kobylej, — Juraszek Madejów, w żywobycie!! Mój starek dycki gadki o nich prawił... A wszyćkie rządziły, że dawno pomerły. Dyć że oni, mój dziadeczny ujec... Matula z Krzepiców się piszą... A zawdy ich spominają... Żywiocie! Ponbóczek w opaterności ich zdzierżył... Wiary nie dadzą! Telowne to lata!

Drżał z wrażenia, lecz oni milczeli, patrząc weń nieruchomo martwemi napoły oczami. Coś budziło się w tych oczach, pełgało chwilę i cichło.

— Aże się trapić nie byda, że me tu marchy skludziły, — podjął znów żarko, — a znają: Heliasz z Pustułką dawno pomerli... W Bernie ich zawrzyli... zawrzyli na ament... Hrómskie były chłopy... tyż gadki o nich dziełuchy śpiewajom — no, nie tela, co za nich.

Spojrzał w ciemności. w których już kształt żaden nie majaczył, bo mrok zapadł, lecz nie odpowiedziało mu nic. Trzepnął się ręką po głowie.

— Jezusiczku roztomiły! Dyć starki hladały duszyczki jeich wandrujące po dziedzinie. Godała raz Matulina, że duk jej cestę zagrodził i pado: Joch je Walko Krzepica z Kobylej, porzykejcie za moją duszę, gaździnko... Łgała chyba?! Jużci łgała, kiej som żywi?...

Wparł oczy w mrok daremnie, oczekując odpowiedzi. Nie nadchodziła. Kościeje trwali nieruchomo ogłuszeni nawałą szybką jego słów. Z trudem rozróżniał w ciemni martwe głowy wsparte o kamienną ścianę, przesiąkłe jej barwą mogilną. Ogarnął go nagły lęk. Zmilkł. — Które naisto umrzyki som? —

przeleciało mu przez głowę. Rozejrzał się ze wstrętem i niechęcią po więzieniu i naraz rzewnie zatęsknił za fajką.

— Tobaku nie mają?... Ni?... Naisto nie mają...? Ni kandy nie wydzierżę bez tobaku... A po innych kreminałach dają... — dokończył fachowo — rzucił się na słomę i zasnął. — Oni nie spali. Siedzieli jak wpierw z podkulonemi nogami, w głębi przerosłej ogłuchłym kamieniem duszy, łowiąc jakoweś strzępy świadomości. Bardziej wymowny niż kształt, wyrazistszy niż głos — zapach obcego bił w nozdrza starców, rozbudzał, niepokoił, cucił. Mocny zapach, jedli, boru, owczych kożuchów, ciepłej mulki, przestrzeni, wiatru i słońca, snuł się wśród stęchlizny lochu, wyczarowując z ciemności zagasłe dawno wspominki. Wyżarte czasem nici starczego umysłu w ciężkim wysiłku ujęły stawidła pamięci, naprężyły się, ocknęły... Gdy nazajutrz, za siedmioma ciężkimi murami z kamienia, gdzieś, na swobodnym świecie stał się jasny dzień, a mrok więzienny zrzednął i nasiąkł bladością. Bystroń ujrzał, że kościeje patrzą się w niego uparcie, bezzębnemi wargami poruszając bezradnie w pogoni za cieniami słów.

— Kiery tyż wziął Jagnieszkę, cerę Wisełkową?... — wykrztusił Madej krzypliwie.

— Sława Ponbóczku, gadajom! Myślołech już wczoraj, że niemowy som...

— Zabaczylichmy godania...

— Naisto! telowny wiek! Doczkejcie: Jagna Wisełków... cheba starka Jewki, kierej iste roki w gody odprawili? Szumne iste roki... za Kocurę idzie...

— Kocura wzioł Jagnę?

— Ni, — młodą Jewkę, wnukę, prawnukę, hej! Starucha umrzeła temu kilkanoście roczków. Ze Skrzypkiem siedziała. Galanka to snoci jeich była... — prawda to?

— No.

— Taki śpiywajom dziełuchy...

— Cóz ninie śpiewajom zbójnicyki?...

— Ej, znaku niema zbójniczków, niema i śpiywania... Na wierchu gojny cysarski gazduje, a na spodku dólskim landrat... A ino! Nie uświadczy już zbójniczka! Las pocięli na rewiry... Dukty kiej ciesty przewiedli na durch... Na każdem rewirze gojny z blachą cysarską i gwerem, a nad niemi Łoberferszter... Wałachów przegnali do pola! Niema już. wałaskie panowanie na kopcach a kępach... Bajić! gaździna kiera zazdrzy do goju po choję, — fantują zaroz, chusty targają!... Cysarski las, książęcy, komorowy, komorowe wierchy, — nie zbójnickie! Z Baraniej Gróni na sam spodek — dukt... Bez Kubalonkę kandy las był srogi, przezpieczny, jak pomną, chodnik zrobili ze skali... Z Wisły ku Istebnej wozami jadą gazdoszkowie!

— Łżesz!

— Ponbóczek miłosierny przyświadczy, że nie łżę! A lasy! Rok po roczku, sto jochów abo i więcej rąbią, aże serce krzepnie! Tyli las! Ponbóczek go rączką Przenajświętszą sioł na samym początku świata... Marnują! Kloce hrozne, że okropa, na spodek cisną i w pile na miozgę trą... We Wiśle piła stoi...

— Łżesz!

— Jaśbym łgoł! Kajby ujec k'nam zaszli, nie poznaliby dziedziny... Mocka się zmieniło... Niema, nima dobre! Nie udzierży dziśka zbójnik na wierchu i tydnia... Hany nie smykniesz na gojnego trefisz. Kany zbójniczki siedziały, Łoberferszter szpacyruje i drzewiny cechą znaczy... Zrachowali już każdą drzewiczkę w lesie i nacechowali... Ja!

— Łżesz!

— Nie łżę!

— Ej, zawrzyj gębę szczenioku! Gańba ci je! łżesz!

— Ni!

— Łżesz!

— Ni...

— — — — — — — — — — — — — — —

Johann Pfeifer odryglował liczne zasuwy u drzwi i zdumiony podniósł latarkę do góry. Młody góral oparty o ścianę

odpierał zaciekle napaść obu starców. Wyprostowani, wznosili się nad nim, trzęsąc widmowemi głowami, szczękając żelaziwem kajdan. Chrypieli gardłowo, słaniali się, odpadali i znów nacierali zbrojni w okowy, straszni swym bezwładem, trzeszczący próchnizną stawów.

— Stać! stać! cisza! cisza! Donnerwetter!! — wrzeszczał dozorca; — oprzytomnieli, opadli, dysząc ciężko w swoim kącie. Pfeifer chlusnął do miski zawartość cebrzyka.

— Cóżeś im zrobił, ty chwancie? Myślałem, że się ucieszą...

— Jo? Nicech jejim nie zrobił... Pieknie proszem, panie wachtorz, niechże mnie aspoń zabierom od tela... wolej już samemu siedzieć...

— Bier swoją słomę... Sakramenckie dziady! Myślałem, że się ucieszą... — powtarzał dozorca w zamyśleniu. Wyprowadził więźnia i zaryglował drzwi.

Krzepica i Madej siedzieli nieruchomo na szczątkach zgniłego barłogu. W piersiach im swiszczało. Suche grdyki falowały. Po chwili Krzepica wstał, podszedł ku drzwiom na drżących z wysiłku nogach i podniósł miskę ostrożnie. Wyjęli z barłogu łyżki i jedli zwolna, w milczeniu.

— Łgorz — rzekł Madej, ukończywszy.

— Bystronie zawdy byli łgorze — potwierdził Krzepica. Zmilkli. Miłosierna pajęczyna bez pamięci obtulała znowu truchlejące czucie, zerwana na moment, tkała ponownie swą płachtą martwą, bezbarwną, ukojną...

Górki Wielkie, 15 stycznia 1927.

List

(URYWEK Z WIĘKSZEJ CAŁOŚCI)

Jaśnie Wielmożnej Pani

ZOFJI Z MIELCA CHODKIEWICZOWEJ,
Starościnie Żmudzkiej etc., etc.

do własnych rąk oddać.

Dan w obozie die 30 Nowembra anno 1605.

Moja miła Zosieńko!

Otrzymałem ninie przez Judyckiego dwa listy, a oba tak nieforemne, że się wydziwić nie mogę Waszemu tyrańskiemu sercu, delicję jawną najdującemu w ustawicznem mnie targaniu. Gniewacie się o nowiny, że nie piszę, gdy pan kasztelan Nowogrodzki Wołłowicz swojej podwice wiktorję już opisał — wypominając' mi, iż przez to, że Wołłowiczowa młodsza, *ergo* i u niego droższa. Dla Boga żywego! kłamstwo wierutne, którego czytać aż wstydno. Mógł pan Nowogrodzki dziesięć epistołów słać, na głowie nie innego krom siebie samego nie mając, gdy ja cały dzień pracą rozliczną koło wojska a jego potrzebów zajęty. Dalipan, nie z braku ochoty od skrybowania się wstrzymuję! By czas był słałbym listy codzień, bodaj w te jeno słowa że Cię uprzejmie serdeczna moja Zosieńko miłuję i zawżdy jednako, choć mnie wzajemnym afektem nie karmisz. — Wiktorję w dniu 27 septembra dał nam Pan Bóg znaczną, owszem, jako podobnej nie znaleźć. Czynił każdy wedle powinności swojej

tedy i błogosławieństwo Boże było. Pod wsią Kircholmem ona potrzeba zaszła. Rozbiliśmy na szczęt siła Szwedów, zdobycz znaczną biorąc. Sudermańczyk samotrzeć na okręcie zdrowie swe salwował. Z wodzów jeden Mansfeld uszedł, zaś Linderson i książe Lüneburski polegli. Ostatniego osobliwie mi szkoda, bo kawaler był wielkiej fantazji, któren w szeregu kopijników bez odznak, pieszo, dla okazania śmierci kontemptu, stanął; Dąbrowa go ściął ani wiedząc co zacz. Poszczęściło się nama niezgorzej, wszędy też o tej wiktorji gadają, aż dziwno, że stugębna fama tak skoro świat obleciała. Dyć ledwo osiem niedziel od onej potrzeby, a już mi poseł niemiecki i angielski wincze od swoich panów przysłali, papieżowe zaś błogosławieństwo ksiądz legat, czem mnie wielce ufetował. Pisał tudzież pan Dzierżek przy Stambule poseł, że sułtan konterfekt mój w pałacu swym kazał zawiesić, któren oby mu się przyśnił a wyśnił, bo może jeszcze przyjdzie z tym psem powojować, co daj Boże.

Do króla Jegomości zarazem po bitwie pana starostę uświatskiego z kilku towarzystwa pchnął. W Warszawie Pana zastawszy czasu nabożeństwa, srodze nowiną uradowali. Wnet też z Warszawy na rozpartych koniach jeszcze przed końcem oktobra posłaniec przybieżał z listem od króla Jegomości wielce łaskawym, z którego frazy niektóre in extenso wam podaję:

...Łaskę Naszą nie skąpą Waszej Uprzejmości i temu szlachetnemu rycerstwu okażem — dla tak zacnych wojowników udzielonemi nam z Bożej a Narodu łaski dobrami ochotnie szafując... Tandem w ślad za tem pisaniem wysyłamy posła wtórego, któren szerzej wdzięczność naszą opowie, także zaległą kwartę i dary a gratifikacje chlubnie zarobione przywiezie... etc. etc.

Otrąbiłem po obozie i list królewski odczytano publicznie, skąd gaudium było znaczne. Prawda, że od tego pisania minęło pięć niedziel a zapowiedzianego śladem posłańca ni słychu. Ja tam, otworzyście mówiąc, królowi nie ufałem, nie ufam i ufać nie będę, wszakże dumam, że chyba tym razem choć kwartę

zapłaci, despekt by to bowiem był, a słowa królewskiego poniewieranie ostateczne. Nie może inaczej być! Tak więc, tusząc, że ucisk koło nas zelżeje. a swoich pieniądzów nie trza będzie ustawnie wykładać — radbym Wam też, duszo moja, jaką uprzejmość uczynił. Wiem, iż od pół roku bolejecie o tego karła, nie mogąc go nabyć jako insze mają. Tedy proszę i zezwalam, poślijcie do Wilna, niech Marchaj plugawca starguje i wiele trzeba za ono monstrum, skoro Wam tak miłe, zapłaci. Baczę ja, iż gdyby mnie natura bardziej do karła podobnym uformowała, większebym miał pono u pani mojej fawory, — cóż kiedy na urodę przyrodzoną nie poradzi! Przetoż owego brzydliwca hodujcie sobie na zdrowie. Jeno nie chciałbym, by w nogach łoża Waszego sypiał, a w gotowalni swobody zażywał jako karły pani wojewodziny wileńskiej, — bo to gady niechędożne i sprośne, a zawdy białogłowie nieprzystojnie. Któremu w takowej libertate go zastawszy, łba skręcę jako kurowi, nie bacząc na cenę i za wały ścierwo miotnę, o czem Was, miła moja, uprzejmie uprzedzam.

Posyłam też nieco muszkateli na spróbunek, nie wiem zali przednia? Wzięli my ją z kredensem Sudermańczyka. W kredensie srebra był gwałt, które nie mieszkając rozdałem towarzystwu jako i inną zdobycz, sobie jeno ową muszkatelę zostawując. Zasiliło się nieco panów towarzyszy, w tem tylko bieda, że na parol królewski się zdawszy, faworów obiecanych i wypłaty wyglądając, ochocą sobie, wino piją i za dziewczętami chodzą, miast grosz dusić, a na zimę się obzierać. Co poczniem jeśli kwarta nie nadejdzie? Strach pomyśleć! Dnie idą, mrozy nieźle już doskwierają, a ja codzień usilniej posłańca wyglądam. Radbym i de publicis coś pociesznego nareszcie usłyszał. Czas teraz jedyny pokój ze Szwedem zawrzeć, ustąpienia wieczystego z Inflant i Estonji, żądając, na co przystałyby chudzięta łacno bo silnie sprane. Otóż to. Nic zaś o rokowaniach nie słyszno, bo król Jegomość Sudermańczyka za uzurpatora trzymając, paktować z nim nie chce. — Tedy jeśli nie pokój — wojnęby

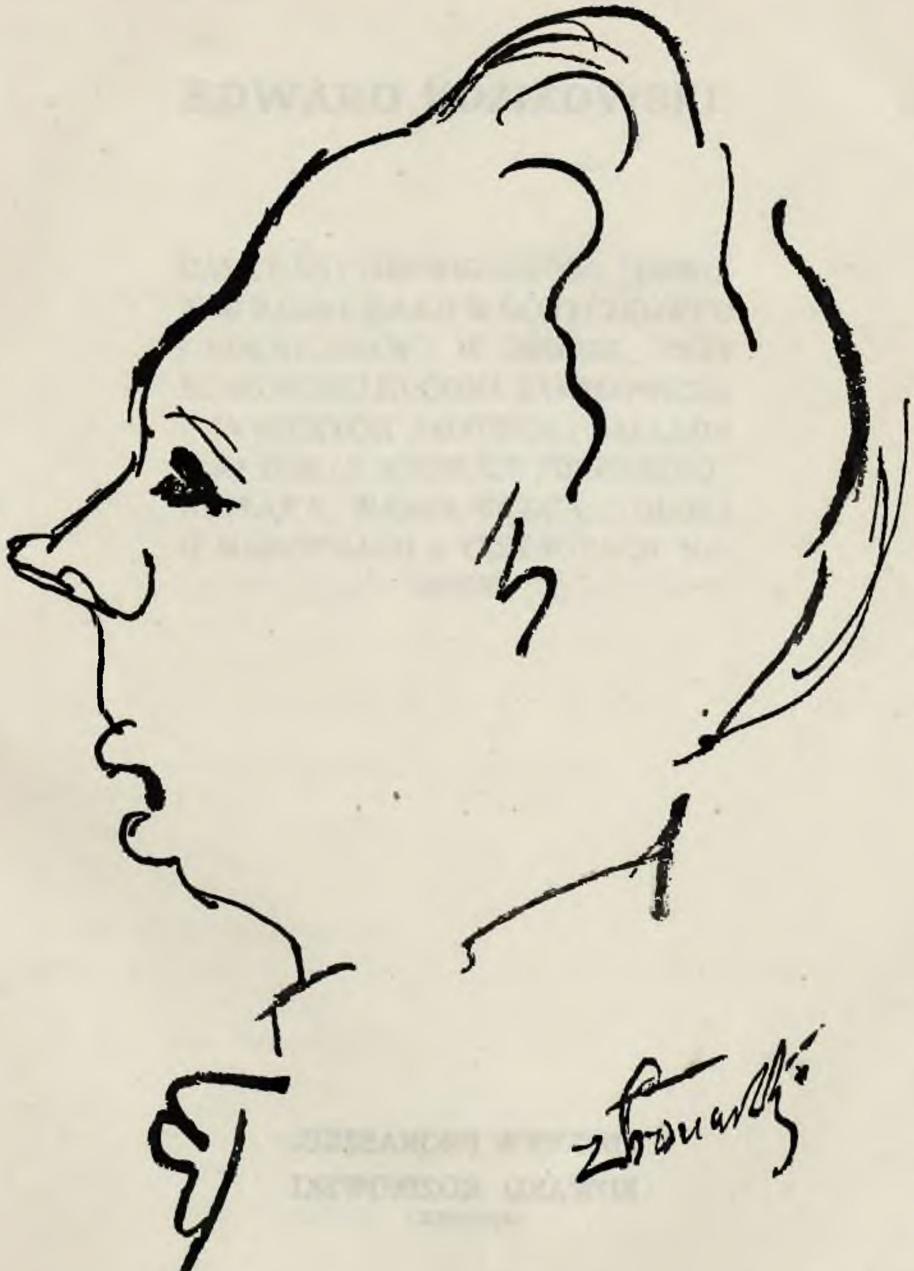
na ich grunt przenieść i tak szczęśliwie zaczętą z Bożą pomocą kontynuować. My zasie czekamy rozporządzenia króla Jegomości, stojąc bezczynnie już osiem niedziel. Na co czekamy? Aże pludraki ochłoną ze strachu, a zbierą się w kupę nanowo. Bacz że, duszo moja, że choć victorem felicem króle mnie nazywają i wincze ślą, w utrapieniu żyję, swobody ni żadnej nie zażywając. Ażem z frasunku znów zasłabł i dwa dni w bólach przeleżał. Medyki kładą za przyczynę zbytnią abstynencję, która się w kamień a piasek na szkodę zdrowiu obraca. Wy temu, pociecho moja, wiary nie dacie, ale iście prawdę mówię, którą medyk może uczciwie zaświadczyć. Radzą mi te doktory do domu na niedziel bodaj dwie pojechać, a wywczasować się. Ejże! radeby na to i dusza i ciało, wszakże wojenny tryb inszego potrzebuje. Lada dzień zajść może jaka odmiana. Szkoda byłoby opuścić, co z pożytkiem i sławą Rzeczypospolitej być może. Taki już tutaj tkwieć będę, listem jeno afekt mój ku Wam wyrażając.

Dzieciątka serdeczne umiłujcie odemnie. Sercu się Waszemu i miłości oddawam, Boga prosząc, abym w niej lepiej chowan był.

Waszej Mości Dobrodziejki

uprzejmie miłujący małżonek

Jan Karol.





ZBIGNIEW PRONASZKO:
EDWARD KOZIKOWSKI
(RYSUNEK)

EDWARD KOZIKOWSKI:

CAŁE ŁANY PIERWIOSNKÓW... | DZWONEK PANNY MARJI W GORYCZKOWCU | MOKRY STAW | W DRODZE | PRZY SCHRONISKU HUGONA ZAPAŁOWICZA | NA SZCZYCIE JAŁOWCA | BALLADA O MŁYNIE | Z SOKOLICY PIENIŃSKIEJ | ROZŁĄKA | WĄSKĄ MIEDZĄ... | GLOSA O MARZENIACH I TĘSKNOTACH NASZYCH

Całe łany pierwiosnków...

Całe łany pierwiosnków
przez jedną noc wyrosły,
i patrzą w świat beztrosko,
pierwsze zwiastuny wiosny.

Mrugają żółtem okiem
i śmieją się do nieba,
z tej ziemi jeszcze mokrej,
jak miąższ świeżego chleba.

Wyszły na me spotkanie,
stanęły wpoprzek drogi,
by uczcić powitaniem
serdecznem choć ubogiem.

Wyjrzały zewsząd tłumnie,
ruszyły całą ławą,
jak ten wezbrany strumień —
na lewo i na prawo.

Wszak wiosna idzie ku nam
lasami, dolinami, —
na wyciągniętych strunach
gra nam pieśń nad pieśniami.

Zagląda w każdą szybę
pełna pachnących przeczuć,
i mokrą ziemi skibę
kładzie, jak dłoń na sercu.

— Chodźcie kwiatuszki za mną
do najbliższego miasta,
wejdziemy starą bramą,
przy której usechł kasztan.

Wieść zaniesiemy ludziom
czekaną i radosną,
że świat się ze snu budzi
i ziemia pachnie wiosną.

Że niebo lśni barwami
niepokalanej tęczy,
że ptaki nad polami
śpiewają bez pamięci.

Że drzewa gwarzą wokół
zalążkiem lepkich liści,
a wiatr wiosenny z boku
zachodzi uroczyście.

Że wszystko tchnie weselem
na przebudzonych polach,
a wątła trawy zieleń
w słonecznych drży półkolach.

Że cały uśmiech wiosny
w oparach rozkwitł ziemi,
i blaskiem lśni radosnym:
gwiazdkami niebieskiemi.

Staniemy pod oknami:
— Wychodźcie dobrzy ludzie,
łąk i pól zapachami
przyszliśmy was obudzić.

Porzućcie drobne sprawy
i te codzienne troski, —
wiosna nas błogosławi
błękitem i pierwiosnkiem.

Otwórzcie drzwi i okna
i posłuchajcie jeno,
jak ziemia drży rozmokła
radością przedwiosenną.

Spójrzcie na błękit nieba,
niosący na swych fałach
wśród skoków i kolebań
wiosenną wieść z oddala.

Otwórzcie wszystkie serca,
jak na pasterkę kościół, —
idzie niebieski siewca
i sieje wkrąg miłością.

Rzuca w odmiękłą glebę
ziarna wiosennych przemian:
zajrzyjcie ludzie w siebie,
jak ta zbudzona ziemia.

Wyrwijcie wszystkie chwasty,
co serca wam obsiadły,
ludzie zbratani z miastem
w sposób tak nieodgadły.

Ramiona wyciągnijcie
do nadchodzącej wiosny:
witamy was błękitem,
witamy was pierwiosnkiem.

Dzwonek Panny Marji w Goryczkowcu

Wiem, że usłyszę ciebie w ostatniej godzinie,
jak sercem zakołatasz w spiż okrągłych ścian,
i że jakaś modlitwa z dźwiękami popłynie,
pełna łaski, poczętej z Chrystusowych ran.

Przyniesiesz odkupienie dla win popełnionych
i dla tych, które jeszcze nie zdołały wzejść,
o dzwonku, roznoszącym w różne świata strony
tę pod sercem poczętą w przebaczeniu wieść.

Z zapachem macierzanek, wyrosłych o świcie,
których nic nie zagłuszy w promieniu stu wiorst,
przyniesiesz uśmiech Marji, zrodzony w błękicie,
gdzie pod chmurą gradową lśni tęczowy most.

Zbudzisz w milknącem sercu ostatnią tęsknotę,
aby odejść stąd cicho, ciszej niźli cień,
co przeszedł niewidoczny pod zmurszałym płotem,
w południe pełne słońca, w najjaśniejszy dzień.

Obym miał w tej godzinie tę jeszcze świadomość,
gdy prowadzić mnie będziesz tą z niewielu dróg,
(o której może tobie coś niecoś wiadomo),
że w takt twoich uderzeń idzie ze mną Bóg.

Mokry Staw

Tu woda nie wysycha w kamiennym basenie,
snać, by mógł się przeglądać w zwierciadle limb wieniec,
stojących w zadumaniu, jak mniszek gromada,
która wichrom i niebu z grzechów się spowiada.

Tutaj nikt nie przychodzi, bo w ciemnej piwnicy
czuwają pono dotąd beskidzcy zbójnicy,
strzegący jakichś skarbów złupionych podróżnym —
z szczęściem niejednakowem i w epokach różnych.

Tu w zaplotach gałęzi żaden ptak nie mieszka,
bo zgubiłby się chyba w napowietrznych ścieżkach,
nie wiedząc dokąd lecieć z uwitego gniazda —
do góry, czy w głąb wody ku odbitym gwiazdom.

Tutaj cisza króluje od brzegu do brzegu,
i nawet wiatr nie pruje równo szytych ściegów
czystej, jak biel obrusa, powierzchni jeziora,
po którem gwiazdy płyną każdego wieczora.

Czasem jeno przed nocą, gdy wszystko zasypia,
jakieś szmery wędrują po bukach, po lipach,
z konarów na konary głucha wieść polata,
że gdy staw dno osuszy będzie koniec świata.

W drodze

Puszczyk huknął dwa razy i ćma wokół spadła,
jakby gwiazdy pogasły wśród tafli zwierciadła,
i wszystkie drzewa naraz stanęły na drodze,
aż serce oniemiało i zamarło w trwodze.

Gałęzie wyciągnęły zewsząd mokre ręce,
tysiąc kropel upadło, a może i więcej,
wiatr przebiegł po konarach z niebywałą siłą,
aż coś jękło w wykrotach, jak pod ostrą piłą.

I ścieżek już nie stało i kładek zabrakło,
gdy puszczyk huknął znowu i tuż, tuż coś warkło,
jakieś wody kołując, drogę nam zabiegły,
jak w bajce czarnoksięskiej, zasłyszanej niegdyś.

Dopiero drżące światło dostrzeżone w mroku,
wyzwoliło nam serca, przynagliło kroków,
i prowadząc na palcach w przestrzeń nocy modrą,
jak gwiazda betlejemska pod dach nas przywiodło.

Przy schronisku Hugona Zapałowicza

Gdy zakrystjan niebieski światła gwiazd pogasi
i wiatr mocniej uderzy o kamienne zwały,
wyjdziemy, by usłyszeć pierwszy świegot ptasi,
cichy, jak prośba dziecka i jeszcze nieśmiały.

W takt kropel, które spadną niewiadomo poco,
wraz z trzepotem gałęzi wstrząsanych westchnieniem,
podążymy śladami uchodzącej nocy
za jakiemś dostrzeżonem pośród mgły marzeniem.

Może noc się zatrzyma na nasze wołania,
jak zziajana kozica u skraju urwiska,
zanim słońce w tysiącznych wypłynie błyskaniach,
oświetlając opłotki naszego schroniska.

Może ptactwo się zerwie z najbliższych gałęzi,
by powitać idących od równin wędrowców,
i wicher na nas warknie, jak pies na uwięzi,
wśród ścieżek zatraconych i leśnych manowców.

A choćby nikt nie czekał, ani nikt nie pytał,
pójdziemy wprost przed siebie w panoramę nieba,
szczęśliwi, że z tysiąca najzawilszych pytań
pozostał nam jedynie w plecaku gleń chleba.

Na szczycie Jałowca

Za chmurami, co giną w mgłach na horyzontach,
i za słońcem, co chodzi po niebieskich gontach,
za wszystkimi ptakami z pod jasnego dachu,
oglądamy się tutaj od wschodu na zachód,
i nie wiemy, co jeszcze wypatrzeć nam trzeba,
chyba drugie pół ziemi i drugie pół nieba.

W zagajnikach kosówek i krzakach jałowcu
szukamy tutaj ścieżki wśród licznych manowców,
któraby z szczytu ziemi do gwiazd nas powiodła
po tych trawach spalonych i samotnych jodłach,
i idąc prosto w przestwór — na niebieskim progu
spotkała wypatrzoną ongiś mleczną drogę.

Może to z licznych tęsknot nie będzie za wiele,
jak ta, by w drodze grały nam świerszczów kapele,
i podmuch cichych westchnień idących od ziemi
owiewał czoła nasze mgłami srebrzystemi,
a gwiazda, co za nami stąd uda się w pościg,
mogła w uszy naszeptać nam słowa miłości.

Ballada o młynie

Dudnią koła i tryby, dudnią ściany i szyby,
od poranku do nocy — bez przerwy —
świszczą pasy i sprzęgła, tynk się sypie po cegłach,
niewiadomo doprawdy, co pierwej.

Po tarcicach i belkach coś zawodzi i stęka,
trzeszczą deski sosnowe w pułapie,
wszystkie ławki i zydle pomrukują obrzydle,
jak sprężyny w stuletniej kanapie.

Warczy kółko u stropu, trzeszczy zboże, jak popiół,
na kamienne rzucane łożyska,
z wszystkich szpar i otworów leci mąka do worów,
zataczając tumanem koliska.

Obracają się żarna — po łuszczynach i ziarnach,
mielą mąkę aż dudni dokoła,
huczy wodna kaskada, przez stawidło w dół spada —
wśród pośmiechów, jazgotów i wołań.

Skrzypią schody od rana, cień się snuje po ścianach,
choć młynarza już niema od wieku, —
czasem łańcuch zazgrzyta, jakby ktoś chciał zapytać
wszystkich naraz, a sobie naprzekór.

Uginają się deski, aż dziwuje się Beskid:
cóż za młynarz i skądże on rodem!?
wszystkie wierzby na drodze przysłuchują się w trwodze,
nawet zając przykicał nad wodę.

A tymczasem od młyna ziemia aż się ugina,
ciężkim krokiem ktoś stąpa i stąpa, —
psy się zbiegły zdaleka, żaden nie śmie zaszczekać:
taki młynarz to pewnie — zły kompan!

Lecą wory po schodach aż zaparła dech woda:
kto tu takie wyprawia hałasy!? —
świszczą tryby bez końca z nadmiernego gorąca,
i mlaskają, jak stado krów, pasy.

Nikt do młyna nie chodzi, nawet sam ksiądz dobrodziej,
a przechodzień krzyż czyni przy moście,
bo w stojącym tu młynie, w tej zapadłej dolinie,
ktoś o duszę z djabłami gra w kości.

Jeno starzy z tej wioski, pełni wspomnień i troski,
przypuszczają, że dobrze się złoży,
skoro zburzą młyn stary i osuszą moczary,
a w tem miejscu postawią dom boży.

Z Sokolicy pienińskiej

Jak ostre lśnienie miecza w zaroślach nadbrzeżnych,
drży Dunajec w wiązankach pian dziewiczo śnieżnych,
by za pierwszym zakrętem — na zielonych zboczach —
zatracić się odrazu dla spragnionych oczu.

Z jastrzębiem, który zawisł w chmurach nieruchomo,
runąć w dół błyskawicą ze skalnego złomu,
i pochwycić w ramiona, jak w szpony, tęsknotę,
przeszytą beznadziejnie dunajcowym grotem.

Rozłąka

Wśród liści, rozmiecionych wichurą dokoła,
szliśmy, ważąc na ustach słowo pożegnania,
jak modlitwę spłaconą na progu kościoła,
którą echo ostatnie pośród serc oddzwania.

Trudno rozłączyć ręce splecione w uścisku,
i odejść — dwojgu bliskich — w dwie odmienne strony,
nawprost chmur, rozwieszonych nad drogami nisko,
pod łkające w oddali nieszporowe dzwony.

A jednak, gdy pożegnań brzmią zewsząd wołania,
jak wśród powracających rybaków z połowu,
zawierzmy raczej falom, które w dniach rozstania
odchodzą z tem pragnieniem, by spotkać się znowu.

Wąską miedzą...

Wąską miedzą, dzielącą dojrzały łan zboża,
chodzę nieraz w odwieczerz — przy rozgwarze świerszczów,
słuchając szumu lasów i pluskania morza,
jak rytmu w przypomnianym sobie znagła wierszu.

Światło latarni morskiej rozprasza ciemności,
i krzyk mew niespodziany rozdziera w lot ciszę,
drżącą z nadmiaru pragnień i żaru miłości,
której w pośpiechu kroków można nie dosłyszeć.

Zostawiwszy za sobą bagaż trosk i wspomnień,
uderzany kitami napęczniałych kłosów,
czuję ciebie, przyrodo, idącą koło mnie,
gdy pieścisz ciepłem wiatru i ust chłodną rosą.

GLOSA O MARZENIACH I TĘSKNOTACH NASZYCH

Żyjemy wśród ludzi zawistnych i małego serca, zaprzedających o każdej porze dnia ideje sprawom drobnej wagi: wygodnego fotela i zastawnego stołu. Nie należy do rzeczy przemijających stwierdzenie, że w tem królestwie człowieka nie mogą się potykać ze sobą same tylko ideje. Każda walka o podłożu idejowem staje się walką dwóch osobników o określonych imionach, walką, w której przyjmuje udział cała rekwizytornia idjosynkrazyj osobistych.

Patrzę na ludzi nie z żadnego wyżynnego obserwatorjum, lecz z każdego miejsca, gdzie społeczność dochodzi do głosu, i pytam, czy niema bodaj jednego człowieka, któryby odważył się odrzucić od siebie, jak łachman, sprawy własne, kryjące się w cieniu wielkich idei. Nie potępiam człowieka — obcą mi jest nienawiść do najgorszego z pośród nas, bo wiem, że ten najgorszy wyrósł na glebie naszego życia i sokami naszej epoki się żywił. Niema we mnie jednak i pobłażania dla tylu wykroczeń współczesnych nam czasów.

Wskazujmy palcem na zło, miejmy odwagę zedrzeć maskę z każdej podejrzanej twarzy, piętnujmy każdy czyn, bodaj najdrobniejszy, popadający w sprzeczność z naszemi pojęciami o moralności, która jest podstawą wszelkiego życia, a oczyścimy epokę współczesną z potwornego podejrzenia, że niema wśród nas człowieka, któryby się nie godził z panującemi zwyczajami i nałogami,

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Rzuciliśmy hasło miłości do ziemi, ściślej — miłości do przyrody, nie przypuszczając nawet, że ta inwokacja uczuć prostych, ubrana w słowa jeszcze prostsze, wywoła tyle sprzeciwu zaprawionego jadem nienawiści, nienotowanej dotąd na sejsmografach stosunków ludzkich. Hasło nasze nie ma cech odkrywczych, jest stare jak świat i nicowane było powielekroć przez wszystkie stulecia i dziesiątki pokoleń. Nie przeciwstawialiśmy się żadnym prądom, nie wchodziliśmy nikomu w drogę, i nikt nie miał prawa podawać w wątpliwość szczerości naszych słów.

Ćwierćwiecze minione jest zaprzeczeniem wszelkiej etyki, jest podeptaniem wiary w Boga i człowieka, jest przekreśleniem wszystkich prawd ewangelicznych, które w ubiegłych wiekach były czołowemi dewizami ludzkości.

Miasto, to potworne kłębowisko najniższych instynktów, zagłuszające turkotem aut i tramwajów, gorączkową pracą w fabrykach i biurach, rytm serca ludzkiego, jest negacją tych trzech najprostszych prawd ewangelicznych: wiary, nadziei i miłości. Uświadamiając sobie zło, wyrastające we współczesnej epoce z supremacji materji nad duchem, ogłosiliśmy »urbi« to hasło miłości do przyrody, które w krótkim czasie poruszyło górę nienawiści wśród niewolników galer miejskich.

Spójrzcie na szarzyznę tych miast, w których kominy fabryczne opierają się kolumnami swemi o strop nieba, wejrzyjcie w nędzę przedmieść, które wychowują przestępców i hodują przestępstwo, i zaświećcie mi w oczy podobnym przykładem przeniesionym z życia wsi. Gdyby nie kalendarz, człowiek miasta zatraciłby bezwątpienia pojęcie różnicy między wiosną a jesienią. Sąsiedztwo o miedzę czterech pór roku, żmudna praca na roli, polegająca na ciągłem uszlachetnianiu gruntów nieurodzajnych, działa hartująco i umoralniająco na człowieka. Nieustanna styczność z Bogiem, przemawiającym w huku piorunów i w stłumionym szepcie letniego wieczoru, budzi w człowieku sumienie, zaprzepaszczone w peryferjach gwarnych miast.

Gwoli temu sumieniu, gwoli najszczytniejszym hasłom etycznym, któremi oddychała ludzkość od pierwszych dni stworzenia, pożegnaliśmy miasta, udając się do naszej Republiki Górskiej. Marzymy, by za naszem niedołężnem pośrednictwem promieniowała na społeczność ludzką wiara w celowe istnienie człowieka na ziemi, aby miłość stojąca u kolebki najniższego stworzenia, była drogowskazem gwiaździstym dla całej ludzkości.

Przywiązanie nasze do ziemi, uwielbienie dla całokształtu przyrody jest jednem z ogniw nieskończonego łańcucha systematów religijnych, któremi stulecia niepokoiły umysły i serca. Poprzez niezgłębioną naukę Brahmy, poprzez mądrość ksiąg Zend-Awesty, w których miłość człowieka do ziemi i ziemi do człowieka znalazła pełny wyraz w modlitewnem ujęciu orki, zasiewów, zbiórki plonów żniwnych, aż do niezrównanej Ewangelji Chrystusowej, otwierającej wrota nowej ery w życiu ludzkości, przyroda odgrywa rolę czynnika wychowawczego i odrodzeńczego.

Z księgi Zend-Awesty podaję wyimek rozmowy, oświetlający dogłębnie ten stosunek człowieka do ziemi i ziemi do człowieka.

— Co ziemi jest najmilszem? — Gdy człowiek czysty po niej chodzi. — A co jeszcze? — Gdy człowiek czysty wzniesie dom zasobny w ogień, zasobny w bydło, gdzie spędza życie z niewiastą, dziećmi i pięknemi trzodami. A l b o w i e m w s i e d z i b i e t e j j e s t b e z m i a r p r a w o ś c i. A wzamian za to ziemia składa obietnicę: Człowiecze, podtrzymywać cię będę i przyjdę ku tobie.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Człowiek nie jest celem samym w sobie. Istnieje dla innych, wyższych i nieprzeniknionych celów, zbliżonych raczej do zasady wiecznego odradzania się drzew. Jakże nikłą jest ta słaba istota wobec niezbadanych sił przyrody. Jak na urągowisko pozwala mu ona krzyżować siebie olbrzymiemi konstrukcjami mostów, przerzucanemi przez pampasy i nietknięte stopą ludzką prerje, aby te kilku i kilkudziesięcioletnie wysiłki człowieka zniweczyć jednym wstrząsem podziemnym. Gdzieżeś potęgo umysłu ludzkiego wobec takiej przelotnej burzy letniej, zapalającej od kapryśnego uderzenia piorunu szereg zabudowań gospodarskich, w których objawiła się długotrwała praca ludzka?!

Nie mówmy o ujarzmieniu przyrody ręką człowieka, a okiełznaniu żywiołów, kierowanych niezbadanemi mocami. Każde zjawisko przemian atmosferycznych czy geologicznych tłumaczymy pisanym dekalogiem praw fizycznych, w których cyfry mają być dowodem ścisłości myślenia. Ale prawa te powstały w bezpośredniem następstwie całego łańcucha zjawisk dla ewentualnego zabezpieczenia mizernego płaza przed grożącem niebezpieczeństwem. A niewiadomo jaka jeszcze powódź niespodzianek zagraża ludzkości ze strony przyrody. Kochani uczeni, uzbrojeni w mikroskopy i inne najwymyślniejsze przyrządy do badania tajemnic przyrody, porzućcie nadzieję spotkania nas, którzy czcimy Boga w groźnym pomruku nadciągającej burzy i którzy korzymy się przed umotywowanym wyrokiem zagłady obwieszczanym w gwałtownych wstrząsach skorupy ziemskiej. W kataklizmach nawiedzających ziemię objawia się ponure momento Boga, rzucającego anatemę zniszczenia na całą ludzkość, która pławi się w bagnisku podłości i najgorszych występków, na ludzkość odrzucającą busolę wiary i miłości.

Odeszliśmy dobrowolnie od życia miasta, w którem mściwa i podstępna walka człowieka z człowiekiem wypełnia każdy dzień i każdą godzinę. Nie widać tego w naszej Republice Górskiej, gdzie energję człowieka zużywa się na szlachetne zmaganie się z ziemią, by jałowy ugór na urodzajny grunt przerobić, by pobudzić ziemię do pracy i wydajności.

Wiem, że będę okrzyczany za prostaka, który rezygnuje z wielkich zdobyczy cywilizacyjnych i kulturalnych, osiągniętych wśród skupisk ludzkich, dla jakichś urojonych celów zrodzonych w bezpośredniem obcowaniu z przyrodą.

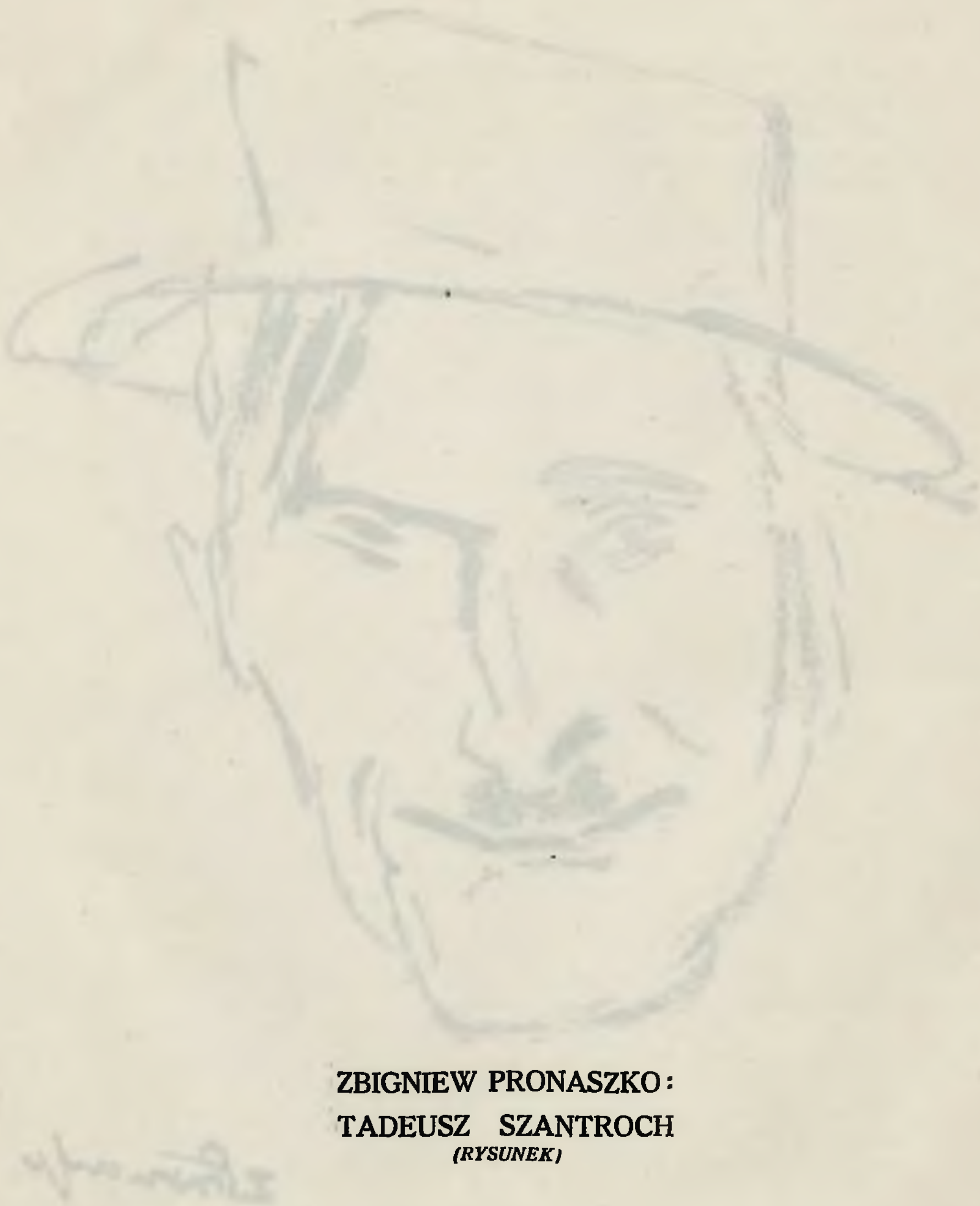
Garstka pisarzy »Czartaka« musi spełnić wielki czyn społeczny. Od marzeń i słów chcemy przejść do czynów.

Przeniknięci gorącem pragnieniem odrodzenia walącej się w przepaść epoki, apelujemy do serc wszystkich ludzi. Nie opierajcie zasady życia na zrębach niezdrowej, dusznej atmosfery życia miejskiego. Zmu-

szeni do przebywania w mieście, odwracajmy oczy od tego targowiska zwierzęcych instynktów, przenosząc się tęsknotą w rozległe obszary pól i lasów. W wolnych chwilach, któremi każdy — najbiedniejszy bodaj — człowiek rozporządza, uciekajmy się pod obronę konarów liściastych i szpilkowych drzew, leczmy nietylko oczy i płuca, ale i serca zmęczone. Tam — na łonie ziemi, która i tak nas wszystkich przygarnie, uczmy się poznawać i kochać Boga — w powiewach wiatru, w grozie przewalającej się pod naporem przyboru rzeki i w huku szalejących piorunów. Podnośmy nasze serca do poziomu serca św. Franciszka i tych wszystkich beskidzkich powsinóg, którzy lepiąc garnki i stawiając piece prymitywne, chwalili Imię PANA.







ZBIGNIEW PRONASZKO:
TADEUSZ SZANTROCH
(RYSUNEK)

TADEUSZ SZANTROCH:

PRZYJACIELOWI PRZYJEŻDŻAJĄCEMU DO BESKIDU | WIECZÓR W GÓRACH | Z WIATREM, Z WODĄ | NA KOCIERZU | W PONIKIEWSKIEJ DOLINIE | WIDOK Z GÓR NA MIASTO WIECZOREM | JARZĘBINA W RUINIE | WNĘTRZE GÓR | W PIENINACH | W KOLIBIE STAREGO BACY | CENTAURY W BESKIDZIE | GLOSA O MITACH, FAKTACH I MOŻLIWOŚCIACH

Przyjacielowi przyjeżdżającemu do Beskidu

Gdy wejdziemy w ten świat, coś oglądać go rad
za górami, w dolinach wiosenny,
gdy wyskoczy z za drzew niby szczęście i śpiew
niespodziany, szeroki, promienny,

gdy bez znaków i słów, sam rozpoznasz go znów
jak biblijny a nowy, z tą chwilą
jednem krótkiem: »bądź zdrów«
niech się usta twe do mnie rozchylą.

I nic nie mów mi nie, że już kochasz, że wiesz
a idź dalej patrzący naokoło, wzdłuż, wszerz
i w milczeniu jak cień gdzieś przypadnij za pień,
w jakąś linję i barwę w krajobrazie się zmień.

I dopiero w tem tle niby drzewo lub kwiat,
pastuch z łąki, po drodze napotkany gdzieś dziad
będziesz tutaj mi drogi i przyjaciel i druh
i nie będzie kłopotu czy nas jeden czy dwóch.

Wieczór w górach

O tajemnico, tajemnico tych gór,
przed wieczorem dla dolin ciemniejąca jak mur
w granatowych wzniesieniach zbocz leśnych...
O niemowna granico aż do samych już gwiazd,
gdzie zamyśleń perć wąska i we wieczność skąd zjazd,
odetchnienie z rozkowanych już piersi...

Coś wraz tłoczy a wznosi, dmie swobodą przez lęk,
rośnie w ogrom, przed którymbyś żegnając się klękł
i na wadze błyskawic jak niepewny drży ptak:
góry, góry ogromne i to moje: ach tak!

Z wiatrem, z wodą

Z wiatrem z wodą, jak zdarzy,
wszędzie, gdziebądź w Beskidzie
jużeś kompan stu zdarzeń,
co naprzełaj w świat idzie.

Wiatr nad pola, strumienie
paprotkami zmrużone
w rzeźwym, szczerym powiewie
wzniósł, witając cię, dłonie.

Rzeka cieknie wspomnieniem
srebrną łuską mieniąca,
most przekreślił ją cieniem,
ach, nie dojdzie z nią końca.

Trzeba mili pół skoczyć,
siąść pod lasem na wrzosach...
niechaj pasą się oczy
niby owce po zboczach.

Na Kocierzu

W którą stronę stąd spaść nam
szumem, śpiewem, potokiem?
słońce wziąwszy wprost garścią
runąć lasów w dół mrokiem?

Z Babiej orłów sto skrzyknąć,
ku Lipnicy polecieć,
ale przedtem u szczytu
zatańcować trza przecie.

A w zbójnickiej ochocie
wiatr za skrzypki nam stanie,
taka to już ta Kocierz
jak wesoła jest pani.

Hej, czy znowu od Węgier
jadą wozy przełęczą?
będziem wino pić tęgie
wprost na białym gościńcu.

A gościniec w zakosy
gdzieś się podział na stoku,
jakby nagle miał dosyć
tej gonitwy naokół.

Budowali go drzewiej
za cesarskich gdzieś czasów
ze Szpilbergu aż więźnie,
słońce w oczach im gasło.

Co tu gadać! świat tyli,
że i oczu nie starczy,
gdy się z za drzew wychyli
swej urody niebaczny.

Na przełęczy przestrono,
w dół gdzieś lecą potoki,
hej zielono, czerwono
malowane uroki!

Miłowaniem pierś kipi,
błądzi echo po górach,
gdy zaś dwoje się zdybie,
to jak rysie w pazurach.

Nim spadniemy w dolinę,
trzeba światu, obłokom
zrabowanem wznieść winem
zdrowie szczęsne i pokłon.

Pojedziemy po bokach
kochanice dwie mając:
z lewej leśną roztokę,
a po prawej dal hanią.

Ze śpiewaniem, ochotnie
na wieś spadniem jak jastrząb,
by już z mrokiem w przegonie
na krawędzi dnia stanąć.

W Ponikiewskiej dolinie

W Ponikiewskiej dolinie
wskok przez białe kamienie
droga z rzeką wraz płynie
i bulgoce westchnieniem.

Jak tu podejść, jak zawieść
do kościoła, na sumę?
w jałowcowy różaniec
myśli wiążą się smutne.

W kurnej chacie dym gęsty
w drzwiach się słania jak niedźwiedź,
a przed chatą w trzy grzędy
zasadzonych bulw dziewięć.

I kamienie, kamienie,
kościół murem obwiedzion,
koza biała przy drzewie,
a na drzewie znów dzięcioł.

Cmentarz w środku, by razem
gospodarski był statek,
dzwoni grabarz żelazem
na ostatni podatek.

A dokoła, od ścieżyn
co za cuda — te góry:
głąb śródleśnych rubieży,
a nad niemi już chmury.

Widok z góry na miasto wieczorem

Poza wzgórzem puszystem, jak grzbiet koci wygięty
bajka świateł nad czołem jakiejś maski olbrzymiej...
a te światła drżą, płoną, skrzą jak białe djamenty,
pośród których czerwony blask chorągwią skier dymi.

Niby klejnot bezcenny jak pokusa lśni z dali,
ku niej żądnych rąk tysiąc wyciągniętych śród cieni...
Niebo ciche i szare samo ziemi cud chwali,
lecz spokoju gwiazd swoich za blask nie odmieni.

Jarzębina w ruinie

Rdzawa plama czerwonej od gron jarzębiny
niby strzępem sztandaru nad ruiną zwisa,
czar legendy wywodzi z baszt umarłe czyny,
pełna słońca jest wielka, krągła niebios misa.

Czyto w cieniu tych murów śpiącej mocy straże
swej chorągwi ostatni strzęp zatknęły dumnie?
Jak daleki stąd widok!... może się ukaże
ktoś, ktoby przyszedł wprost z miłością ku mnie.

Wnętrze gór

Nad przepaścią ukośnie w dół złamanych zboczy
motyl drżący w niewadze nazbyt wiotkich skrzydeł
czemuż sercem się trwożę o zbyt śmiałe oczy,
za któremi powoli, zbyt powoli idę?

Zieleń w cieniu kipiąca od porannej rosy
po kamieniach przelewa się i sączy wokół,
to nie ten świat, którego treść mam w pudle głowy,
to jest romans drzew, trawy, słońca i obłoków.

Kędyś bełkot potoku w utajonym gwarze
niesie leśną opowieść o gór cichem wnętrzu,
gdzie wśród polan cienistych czasem się ukaże
jeleń płowy wsłuchany jak gdzieś owce dźwięczą.

Ziół nieznanych zapachy z dolin czasz dymiące
i po trawach pełznące, ciepłe, chwiejne cienie,
jedno tylko jest na tym świecie złote słońce,
ale tutaj jedynie wprost całuje ziemię.

Tak wpół drogi do nieba krzywo w świat wetknięty
nim odlecę ze szczytu w panoramę dali,
rozeznaję przez blaski, szumy, barwy, dźwięki
woń najsłodszą dojrzałych na wyrębie malin.

I nie mąci tej ciszy dziewki krzyk drapieżny,
gdy śpiewając po zboczach pędzi swe kierdele...
słabe serce jest ludzkie, tęsknot nie wydzierży,
pachną słodko maliny i tak słońce grzeje!

W Pieninach

Ej Dunajec, Dunajec
w szumnym warcie pienisty
jak w zbójnicki się taniec
puścił drogą do Wisły.

Pod Czorsztynem na skałach
siedem razy rozbity,
jak rzucony precz pałasz
upadł do stóp Niedzicy.

Umajony w pól zieleń,
czoło od skał nadbrzeżnych
w rogi przybrał jak jeleń
i na oślep gdzieś bieży.

Aż w Pieninach się zatchnie,
falą w głazy uderzy,
to uskoczy, to stanie,
chmurnym nurtem się zjeży.

Hukną strzały z zasadzek,
las ku wodzie się zbliży,
w górze widmo-zwid, zamek
białe baszty wyszczerzy.

Więc raniony urokiem
tej fantazji nienaskiej,
kołem, chyłkiem, na boki
zacznie schodzić z rozpadlin.

Aż śniąc niby zobaczy
w upojeniu leniwem:
te śródleśne polany
krasą łąk urodziwe.

I zamarzą się świty
i wieczory o zorzy,
dzban na trawie rozbity,
który szczęście pomnoży.

Lecz nie dotrwać w miłości,
śmierć, śmierć kusi nas równie:
skok ze szczytu ku zbrodni,
gdzie się głową w dół runie.

I znów niby we zwadzie
tu strzymany, tam pchnięty,
w rumowiska się skalne
zabłąkałeś w dzień święty.

Gdy chcesz wołać pomocy
tak bezbronny w tym lesie,
świat się nagle otworzy,
błękit nieba przyniesie.

Zaufawszy przestrzeni,
gdy śródskalny znikł przełom,
mknie Dunajec od Pienin,
lecz marzenie zniknęło.

W kolibie starego bacy

Odezwij się baco stary,
przyszliśmy do ciebie goście,
w kolibie czuwasz nad żarem
schylony w dymnej szarości.

Podobnoś wróż jest nad wróże
dawniejszy kamrat zbójnikom,
dziś tego żaru pilnujesz,
co w nocy świecić ma wilkom.

W oczach zapadłych i bladych
masz wiedzę wszystkich tajemnic,
wyrytych w zmarszczkach na twarzy,
wszechwidzisz a jakbyś ciemny.

Niech tam wędrują po halach
kierdele dzwonne, pasterze...
tyś drzwi koliby swej zawarł
i w dymie siedząc, straż dzierżysz.

Gdy z gór powrócą wieczorem
z zapachem słońca na koszar,
jak stary dźwigniesz się orzeł,
co skrzydła w mroku rozpostarł.

A gdy na podój przybiegną
stłoczone gromadnie owce,
zalśnią ci oczy od śniegu,
co spadnie w drewniane skopce.

I znów powrócisz do wnętrza
swej dymnej, lichej koliby,
niech się tam noc wyiskrza
i niech juhasów brzmią śpiewy.

Wiesz wszystko, baco mój stary,
lecz cóż cię pytać daremnie...
w ciemnej kolibie na straży
w jarzące patrzysz węgle.

Centaury w Beskidzie

W tej dolinie świat zamknął się wśród skalnych złomów,
tając w grząskiej zieleni gwar bijących źródeł,
w zamyśleniu ziół wonnych od ciepłego miodu
pod namiotem słonecznym ległszy złotorudym.

Ziemi rześka rosistość gwiazdy za dnia skrywa,
a paprocie, to pióra jakichś wielkich skrzydeł,
polecimy w dal na nich byleby wiatr przywiał,
wziąwszy w rękę którybądź czarny smrek za dzidę.

Huczą, dudnią potoki po kamieniach lecąc,
a za niemi po skałach dzwonią twarde kroki,
jakby stada znienacka poderwanych źrebiąt
galop srebrem wbijany grzmiał tententem kopyt.

To Centaury o skalne grzmocąc w pędzie progi
niby tucza z gór spadła huczna i wesoła,
z chmur zrodzone, gdy jeszcze człek żył razem z Bogiem,
śmiechem rżą, co jakgdyby nas do szczęścia wołał.

W trawie bujnej tarzając się, igrają z sobą,
lśniąc ku słońcu ciał prężnych błyskotliwą skórą,
gdy z nich jeden głaz wielki, wziąwszy do rąk obu,
jak wyzwanie go cisnął burzy i piorunom.

GLOSA O MITACH, FAKTACH I MOŻLIWOŚCIACH

Nazwaliśmy się ***C z a r t a k i e m, z b o r e m p o e t ó w.*** *Zbór nie jest zbiorem tylko. O starej budowli w Mucharzu nad Skawą, od której wywodzi się nasze zawołanie, głosi podanie, że miała być w XVII-tym wieku zborem arjańskim. Historycy wątpią w to zupełnie serjo. Dla nas jest w surowej, zębatej architekturze tych murów coś urocznego, coś z powagi domu, w którym obcuje się z Bogiem, w żywej walce ze sobą szukając prawdy. Jest to symbol pewnego zakresu i wzór konstrukcji zapewne.*

*

Beskid to nasz Piemont, z którego wychodzimy ku odrodzeniu najpierw własnemu.

A ono świta już na przełęczach, które są wschodami ku wyższym regjonom życia.

Pojmujemy tedy, co znaczą blaski zórz porannych i wieczornych w promieniach szerokich obejmujące świat cały: to są promienie ***m i ł o ś c i*** *z wszystkiego w żywocie najpotrzebniejszej.*

*

Ziemia, o którą się opieramy, ta wielka czyścicielka, wchłania wszystkie zbyteczne, nieistotne w nas cynizmy, kłamstwa, małości, przeczulenia, próżności, głupstwa, choroby i kaprysy. Oczyszcza z nalotów nasze uczucia, myśli i wolę, które w obliczu żywiołów elementami znowuż się stają. O! jak cieszy ta swoboda, to uwolnienie się od kajdan samoudręki cywilizacyjnej, jak urasta w nas poczucie własnej siły! To ziemia tego dokonuje: ona ***c z y ś c i, o d r a d z a*** *i* ***w s i ł y u p o s a ż a.***

Żyje mit o Anteuszu.

*

Łańcuchami ciągnie się Beskid i gniazda tworzy. I my takim łańcuchem i gniazdem jesteśmy. Tem czyni nas nasza ***s p ó l n o t a,*** *która urodziła się z powinowactwa rasowego, z wrażeń pokrewnych, ze spotkań radosnych w pewnych dziedzinach myśli, z jednorodnych chwy-*

tów uczuciowych. Z nich tyczyły się i tyczą trasy tych dróg, na które wkroczyliśmy pospólną kompanją, wiążąc się coraz silniej wobec rosnącej przed nami i d e i, która nas prowadzi.

•

Jako barki człowieka w pracy pochylonego są wzgórza Beskidu: moc i krzepkość przeto znaczą.

Góry zatrzymują i rozbijają na piersiach swych wiatry i burze. Może dlatego tyle chmur koło nas się zbiera. Przeminą one. A jeśli nawałność potopu-zalewu grozić wam będzie w dolinach, pamiętajcie, że według podania arka Noego czasu potopu ostała się na górze Ararat i wyszli z niej na świat ojcowie przyszłego życia.

•

Wy zaś, do których słowa te znajdą drogę najbezpośredniejszego odzewu, zanim pójdziecie z przełęczy ku mlecznej drodze gwiazd, zawrzyjcie najpierw w sercach wędrowców d a r z i e m i i ż y c i a: chłońcie wszystkiemi z m y s ł a m i zapachy pól i lasów, błękit nieba, rosistość ziemi, wiatru przesiew wiejący, wody przejrzystość i rzek nurt giętki, uparty, gór potęgę milczącą, bierzcie w posiadanie oczu waszych najszersze panoramy, cieszcie się i kochajcie w dolinach woniejących ziołami, bądźcie jako orły, jastrzębie, sokoły. Niechaj oddźwięknie w pulsie krwi waszej odwieczny rytm życia i praw przyrody. Chłońcie te blaski, krzyki, szumy, echa i barwy. Żyjcie tem i nie wstydźcie się swych radości, szczerości, bezpośredniości. Z grzechu dopiero począł się taki wstyd, a po nim przyszła tułaczka, manowce i kłamstwo. My otwieramy jeno przed wami wrota w ten świat, w którym ż y j e m y, by nie pokazywać potem gwiazd palcami murzyna. Nie chcemy obniżać poziomu ziemi, również i niemniej planety.

•

W poezjach naszych możecie znaleść utrwalenie cech Beskidu, jego gwary, sztuki, piękności fizycznej i t. d., ale to nie jest wyłączny nasz zakres i nie ostateczny. To tylko więźba i kąty naszego światopoglądu poetyckiego, który o te rzeczy między innemi świadomie się opiera, ale sięga po wszystkie czasy, terytorja i ludzi, gdy sięgnąć mu po nie trzeba dla własnej rozbudowy.

•

Zakładają dziś wszędzie dla drzew, roślin i zwierząt parki przyrody. Ochronić chcą je przed ostateczną zagładą. I my wypielęgnować chcemy i uchronić od zagłady wśród zróżniczkowanej perwersyjnie spółczesności człowieka, pamiętającego jeszcze mowę ojców swoich, którą porozumiewa się z przyrodą, a przez nią z Bogiem. — Walczymy więc o najpowszechniejsze dobro w imię najdostojniejszej spólnoty.

Ponieważ usiłowania nasze w punktach wyjścia i w terenie pracy opierają się o Beskid, przeto zwą nas i my się tak zwiemy poniekąd: regjonalistami. Idziemy jednak w szeroki świat z dobrą dla wszystkich nowiną, która w nas rośnie... — To jest nasz uniwersał.

On niech pochwali ziemię, z której wyszliśmy.





ZBIGNIEW PRONASZKO:
JAN WIKTOR
(RYSUNEK)

JAN WIKTOR:

BŁAZEN Z KARCZMY PRZYDROŻNEJ

Błazen z karczmy przydrożnej

I.

Dom, wszystek ruchomy i nieruchomy majątek przeszedł w obce ręce. Dawny właściciel, opuszczając szumnie zwane »gniazdo rodzinne«, spojrzał na nie po raz ostatni z przekleństwem. Nic dziwnego. Wylatywał z niego goły jak kamień z procy po niewielu latach rozrzutnego gospodarowania. Nie zabierał nawet psa Urwisza, który od kilku dni włóczył się za człowiekiem osowiały, z obwisłym łbem, przypadał doń ze skomleniem, lizał ręce, oczami zapadłemi wpatrywał się, o coś pytał, o coś prosił. Najwyraźniej przeczuwał nieszczęście. Chcąc uniknąć awantur pożegnania i widoku oszalałego z bolu zwierzęcia, w przeddzień wyjazdu zamknął go do piwnicy, zamknął w więzieniu zwierzęcą rozpacz, rozbijaną w czterech twardych ścianach.

Już siadał na wóz. Ciszę przeciął skowyt przeraźliwy, płacz żałosny, ociekający strugami łez, jakby serce psa po raz ostatni poskarżyło się niebiosom. On jeden przywiązany, kochający, wierny, najwierniejszy, nieodłączny towarzysz nie opuści, nie zdradzi, nie zaprze się. Może go zabrać. Niech dzieli los. Człowiek stanął, zadumał się.

— Wszystko djabli wzięli, więc — machnął ręką jakby nie serce przyjaciela, ale niedopałek papierosa odrzucał.

— Marcinie, opiekujcie się nim — wrzasnął z wozu do służącego. — Może wrócę.

Konie ruszyły z miejsca. Pod turkot kół padło ostatnie pożegnanie opuszczonego.

— Jedź — krzyknął głośno na woźnicę. — Zniecierpliwiony chwycił lejce, wyrwał bat i zaczął gnać, popędzając do galopu, aby jak najdalej być od tego domu.

Pognał na złamanie karku. W tętencie kopyt, w trzasku, w tumanach kurzu wszystko zostało zagłuszone. Tumany pyłu przydrożnego zasłoniły jasny dwór zalany słońcem, łzy, sypiące się z oczu i padające w ten pył, zasłoniły radość minionego życia. Pies został sam. Zrazu z furją rzucał się na ściany, darł je pazurami, chcąc rozerwać ich okrutność. Skomlał, wył, to zamilkły niemym szlochem i spojrzeniem błagał, o miłosierdzie, wołał, aby mur rozwarł się, gdyż on chce iść za przyjacielem.

Nikt nie uciszał, nikt nie otwierał.

Wnet sił mu zabrakło. Legł wyczerpany, ogłuszony, a tylko pierś podnosiły głębokie westchnienia. Dopiero wieczorem stary służący przyniósł mu miskę dymiącą smacznem jedzeniem.

Pies leżał skulony w kącie, podrapany, wychudły jak zdeptany łachman, dygotający w podmuchach zimnego wichru. Na odgłos kroków podniósł głowę. Znieruchomiałe dwa jęki ócz patrzyły na człowieka.

Urwisz powoli przypełzł do służącego i u stóp jego cicho zapłakał. Po kilku dniach wypuszczono go. Jak szalony wypadł. Przebiegał po pokojach. Wszędzie czuł ślady przyjaciela. Sprzęty, ściany, kąty przepojone były zapachem jego osoby, ukryły tajemnicę jego spojrzeń, uśmiechów, dotknięć, pieszczot. Nic się nie zmieniło. Wąchał niecierpliwie, wchłaniał ostatki wspomnień, pił ich rozkosz. Śmiał się i płakał. Oderwał się od nich. Wstrząsany ciosami myśli obejrzał się na wszystkie strony. Spojrzenia zbolałe, rozumne, czujące, spojrzenia — tylko u psa wysłanniczki serca — pytały — gdzie jest przyjaciel?

Ale sprzęty stały na swem miejscu martwe, zimne w pokoju, zionącym pustką.

Po długich i daremnych poszukiwaniach siadł na środku sypialni i zaiste zawył wszystkiemi ranami. Głos w najwyższem napięciu załamał się i tylko szczęki targane rozwierały się i zamykały, ziejąc przejmującym piskiem.

A potem powlókł się do krzesła, na którym przyjaciel tyle lat siadywał i przed wspomnieniem jego, przed duchem padł,

jak dawniej wierny, miłujący. Co chwilę się zrywał, nadsłuchiwał, wyczekiwał.

Obok na kominku złocił się zegar. Dawniej co dnia wydzwaniał mijające godziny, jakby rozrzucał sygnały szczęścia wśród jasnych uśmiechów.

I teraz szeptał sekundy, co godzinę dzwonił, ale tak, jakby jego małe serce pękało i w opuszczenie głuche sypało łzy cichych dźwięków.

II.

Po pewnym czasie zjechał do domu nowy właściciel. Pokoje wyczyszczone lśniły zimnym połyskiem, twarze służby były jakby wyfroterowana podłoga, błyszcząca uśmiechem pokory, wierności i służalczości. Dom napełnił się wrzawą.

Z gospodarzem przybyła zgraja psów wszelkiego rodzaju. One objęły w posiadanie pokoje. Rozpanoszyły się, bezkarnie rozwalając się po dywanach, kanapach. Urwisz obojętnie przyjął przybyszów. Zupełnie nie zwracał uwagi na ich figle, zabawy, gonitwy. Po domu łazil zamilkły, ponury cień dawnego, wesołego trzpiota, zabawiającego wszystkich swojemi sztuczkami. Czasem cicho zaskowyczał i łzami psiego płaczu zlewał ślady znalezione na drodze swej tułaczki obłędnej. Wtedy wzrokiem oszalałym z tęsknoty skarżył się przed Marcinem i przed tą pustką nic nie czującą, dlaczego pan oddał go w obce ręce, dlaczego porzucił, dlaczego rozdarł ranę, która będzie broczyła skowytem i spojrzeniami jak pokaleczone serce strugami krwi.

W odpowiedzi Marcin brał go w ramiona i coś mówił, tłomaczył, wspominając minione czasy.

Nieraz do późnej nocy tak trwali.

Służba z lekceważeniem patrzyła na Urwisza i z radosną zemstą sądziła, że go precz wypędzą i gdzieś wśród chłopskich broniaków, wśród stajen znikczemnieje i zginie.

— Oho — oho — twoje rządy już ustały. — Hajda stąd. Wymiataj z pałacowych salonów — do budy, na barłog. Będzie

cię kłuło żarcie chłopskie, kiebyś oset połykał, po omaszczonych smakołykach jakby jedwabiem owijanych. Przyszło i na ciebie. Dość napanowałeś się. Oj, przez ciebie nabrałem w skórę. Inom na bestję skinął, a tu zaraz pan na mnie, coś mu zrobił, skórę będę z ciebie zdzierał. A czegoś ogon nadeptał? — jakby ścierwo miał poświęcony. A czegoś mu gorące jedzenie dał? — a ja ogieniaszkiembym nakarmił. Ehe — ehe — jaśnie panicz. Teraz my się weźmiemy do ciebie. Buzię na kłódeczkę, a kożuch kijaszkiem.

Pewni bezkarności krzywdzili bezbronnego psa.

Stała się rzecz niespodziewana. Żona właściciela zwróciła uwagę na milczącego psa. Uklękła przy leżącym, delikatnie uniosła głowę i z czułością wpatrzyła się w oczy.

I wtedy na jedno mgnienie źrenice Urwisza rozbłysły, jakby serce, leżące na zgniłym barłogu, nagle ujrzało słońce i zachłysnęło się światłością dobroci kobiecej i uśmiechnęło się najjaśniejszem spojrzeniem.

Z głębokiem wzruszeniem wysłuchała opowieści o Urwiszu, o jego tęsknocie, o chorobie, o rozpaczy po wyjeździe pana.

— Nic nie jadł, maściłem jedzenie. Nie tknął. Myślałem, że zginie z głodu. A tu panicz kazał opiekować się. Wróci po niego. Żal było patrzeć. Jakby zginął, cóżbym paniczowi powiedział. Tłumaczyłem, że panicz wnet wróci, a wtedy kto wyleci naprzeciw? kto powita? I zrozumiał i usłuchał.

Ale to już nie ten dawny pies. Odmieniło go coś. Płacze furt za panem.

Pani wzięła głowę Urwisza na kolana i gładziła ją.

— Nie płacz pieseczku — opuścił cię niedobry, okrutny człowiek — nie, nie wart jednej łzy. Teraz będzie dobrze. Obaczysz — nigdy nie skrzywdzę cię. — Zapomnij — nie tęsknij. — No pieseczku bądź rozumny — —

Pies, wzruszony słowami, przytulał łeb do dobrej pani, patrzył z wdzięcznością i spojrzeniami opowiadał o dziejach swej tęsknoty i swego nieszczęścia.

Rozpoczął się nowy okres dla Urwisza. Opływał w dostatki i pieszczoty, wprost pławił się w nich jak w rzece. Pani coraz większą czułością go darzyła ku zazdrości innych wypieszczonych pinczerków, foksików, pudlów. Najwidoczniej pragnęła go przywiązać do siebie i dokładała wszelkich starań, aby zapomniał o dawnem życiu. Była pewna, że dobrocią zniweczy smutek, tęsknotę, boleść i rozkrzewi nowe uczucia. W rozczuleniu mówiła do niego.

— Dusza każdego stworzenia jest jak zagon ziemi, kto zasieje, ten zbierze. Co roku pada siew na szarą ziemię, rozrasta się, kwitnie i plon wydaje. Na wiosnę znów budzi się do nowego życia pod błogosławieństwem słońca. Twoja dusza jak kłos dojrzały chowa ziarno cierpienia. Zapomnisz. Ja zasieję nowe uczucia i na smutnym zagonie kwiaty miłością wyrosną w słońcu mej przyjaźni — prawda — prawda pieseczku — ty mnię pokochasz. Wiem też i to, że serce psa, to nie torba żebracza, w której znajdziesz wszystko, co byle przechodzień rzuci. — Więc jakże będzie? — Ja nie wiem. — —

Oczy psa zapalały się jasnością wdzięczności. Ale na chwilę tylko. Zaraz gasły zalane czarną żałością.

— Nie patrz tak. — Każde spojrzenie, to łza, którą chusta źrenic ściera z oblicza twego biednego serca. — Niechże oczy rozjaśni uśmiech — woń nowego uczucia.

Pies nie rozumiał słów, a przecież brzmienia ich uspakajały go.

Chociaż z początku było inaczej. Urwisz przyjmował wszystkie zabiegi najzupełniej obojętnie. Nie uciekał od niej. Nie znać było jednak żywszego uczucia. Spełniał jakby pańszczyznę przyprzyjaźni za okazywaną dobroć.

Odchodził od pani jakby od pustej miski. Wolałby, aby go biła, głodziła, kopała. Wtedy rozpocząłby walkę zębami, warkotem. Nienawiścią odpłaciłby za kije. A za dobroć tylko miłością mógł odwzajemnić się. Powoli jednak pękała skorupa smutku i przez szczeliny, do mrocznych zaułków, wdzierały się

promienie wdzięczności. Zaczęło w nim płonąć ognisko nowych uczuć. Poddawał się bez buntu. Nie starał się zerwać łańcucha, wiążącego go ze sercem dobrej pani.

Na niedawne, tak żywe rany opadał coraz grubszą warstwą kurz zapomnienia. Nikt nie przypuszczał, że lada powiew może je roznieść, lada gwałtowniejsze wstrząśnięcie może okazać dawną, zbolałą duszę...

Człowiek ujął go mocno i pociągnął w swoją stronę.

Zagłuszona została tęsknota. Urwisz wybiegał na powitanie swej pani, zdaleka już szczekając radośnie. Zabawiał ją swojemi sztuczkami. Skakał, błaznował, śmiał się, szczekał, roznosząc uciechę po całym domu. Zmęczony a zadowolony kładł się u jej nóg i upajał się zapachem jej obecności. Wpatrywał się w nią z taką lubością, jakby chciał zlizać uśmiech, zapach, najsmakowitszej strawy, ukrytej w spichlerzu duszy ludzkiej.

Z tego powodu Urwisz stracił wszelką przyjaźń we dworze. Nic dziwnego. Zadrwił w haniebny sposób z wszelkich przepowiedni. Nie zginął marnie, nie znikczemniał. Wszyscy rokowali mu najgorszą przyszłość, a on tymczasem zajął pierwsze miejsce. Patrzano z pogardą na wiarołomnego. Machano ścierką z lekceważeniem.

— Taki pies, jak i inne. Widziało się, że z turbacji zdechnie, a on sobie dobrze podpasł kałdun. Przy misce o wszystkiem i człowiek i zwierzę zapomni. W żarciu i duszę zakopiesz, że śladu nie zostanie. Ech, co tam mówić, przy dobrej misce i smutek przerośnie tłuszczem.

— Mnie się widzi, że z niego nie będzie żadnej pociechy — wmieszał się do rozmowy drugi służący, zawsze sprzeciwiający się przekornie.

— Wy wszystko musicie octem zalać, aby ino zakwasić

— Powiadam wam, że i pies ma czucie — ma duszę. A ona, to nie ubranie, żeby na byle kołku powiesić i wytrzepać z wszystkiego.

— Głupstwa pleciecie, Stanisławie.

— Jak pletę, to pletę dla siebie. Mam kwas w sobie, to na nikogo nie wylewam. Mam swoją prawdę i mówię — dusza psa, to nie ścierka, kiedy się zabrudzi, to wyprać do czysta i już gotowa do ścierania. Ino buty, nawet zabłocone można zaczernić i wyczyścić, żeby się świeciły. Ale psiej duszy nie wyczyścisz, żeby się świeciła na glanc.

— Oj głupiście — głupiście.

— Stanisławie – rozległ się głos z dalszego pokoju.

Spiesznie rozbiegli się niby spłoszone myszy. I już w pokłonie usłużnym pytali:

– Co jaśnie pani rozkaże.

Wszyscy byli najpewniejsi, że Urwisz pogodził się ze swoim szczęśliwym losem. Ani na krok nie opuszczał swej pani. Świadczył jej czułości paszczęką, oczami. Okazywał w psi sposób przyjaźń i przywiązanie. W ogrodzie z innemi psami płatał figle, przewodził w zabawach. Często jednak jakaś mucha ugryzła go w nos. Tracił humor. Osowiały stawał. Podnosił głowę i nadsłuchiwał. Smutny odchodził w kąt. Inne rozfiglowane zagradzały mu drogę, zachęcały do gonitwy, do igraszek; on jednak nie zwracał uwagi na rozswawolonych. Czasem w nocy ginął. Wracał nad ranem wyczerpany i cicho kładł się pod drzwiami swej pani, coś mówił oczami.

Świt różowiejący spływał na psa i w oczach jego zapalał blaski — uśmiechy.

III.

Towarzystwo, rozmarzone ciszą letnią, błądziło po parku. Wieczór był przewiany zapachem, płynącym z pól i z łąk niebieskich, zwianym z kielichów gwiazd. Czar otaczał duszę.

Psy, puszczone w samopas, uganiały po ogrodzie. Urwisz wciąż krążył niedaleko swej pani. Zanurzał się w zaroślach, po chwili biegł w podskokach, przedzierał się przez kępy krzewów i rozradowaną paszczękę wychylał z pod gałęzi. Po pewnym

czasie zginął gdzieś. W odległym zakątku rozległ się przez nikogo niesłyszany, zduszony psi płacz, zmieniony w skowyt krótki, kąsany drgającemi szczękami, jakby wielka łza za łzą wytaczała się z miotanego serca.

Zacisze to, przez wszystkich zapomniane, bardzo często dawniej nawiedzał ze swoim przyjacielem. Pod ławką, w trawie głęboko zagrzebaną, Urwisz teraz znalazł książkę. Kiedy ją łapą wykopał, otwarła się i z wnętrza wionął znajomy zapach. Te karty zapomniane chowały skarb ludzkich dotknięć dla psa marnotrawnego. Teraz niby gwałtowny wicher zmiótł piach, przywalający duszę. Najwyraźniej zarysowała się postać przyjaciela i całe zajście. W przeddzień wyjazdu na tej ławce siedział. Książka rozłożona na kolanach. Nie czytał jednak. Wysunęła się z pod załamanych rąk. Nie podniósł jej. Nagle przyjaciel porwał się i wprost uciekał z ogrodu. Za nim Urwisz, przywiązany cieniem do nogi. Szedł wychudły, zamilkły, kryjąc tajemnicę cierpienia.

Teraz pies, przydeptany wspomnieniem, wąchał łapczywie, wydając urywane głosy radości, śmiechu. Wzburzony biegał po ścieżkach, kogoś szukając. Kroki coraz bardziej wikłały się. Utykał na źdźbłach trawy, na ziarnach piachu. Bat chłostał jego zbolałe serce. Wyjęczał ostatnie skomlenie. Chwiejąc się, odszedł z tego miejsca.

Z trudem powlókł się, ale nie w stronę dworu, bielejącego w świetle księżyca i uśmiechającego się wszystkiemi oknami...

Późno zauważyła pani nieobecność Urwisza. Z ganku zawołała. Głos pobiegł drobnemi krokami i zmieszał się z cieniami.

Chwilę nadsłuchiwała.

— Zapewnie gdzieś z kundlami chłopskiemi zawieruszył się.

Zostawiła drzwi uchylone na wypadek gdyby wrócił.

Na drugi dzień nie zjawił się.

Szukano go po pokojach, po parku, rozpytywano na wsi. Nikt nie widział. Jeden z czujniejszych psów wypadł w pole, pod rosą znalazł zapach kroków Urwisza. Biegł miedzą, potem

skręcił w bok, zaplątał się w gęstwinie zboża. Stracił ślad. Pełen wstydu i skruchy wrócił do domu. Legł na swojem posłaniu. Nie śmiał się na oczy pokazać. Z goryczą tylko machnął ogonem.

— Szkoda ino łap zdzierać — kto wie, co z tym utrapieńcem stało się. Ale wróci, bo takiej miski jak tutaj, nigdzie nie znajdzie.

Urwisz wtedy był już daleko.

Spiesznie podążał po drodze przeznaczenia, na którą pchnął go mus tęsknoty. Najwidoczniej szukał kogoś. Stawał, rozglądał, się, wąchał kamienie, drzewa przydrożne, ślady stóp ludzkich. Czasem oczy rozjaśniał blask otuchy, wiary. Za chwilę źrenice ciemniały. To płomyk nadziei zapalony w sercu — w westchnieniu ulgi uniósł się w spojrzeniu i zaraz gasł zasypany pyłem. Widziano Urwisza, przemykającego się polem, widziano na gościńcu, schlastanego błotem zmęczenia. Zdrożony podążał gdzieś w turkocie mijających go wozów, w hałasie gromad przechodniów. Zbliżał się do ludzi, obwąchiwał ich i odchodził. Napastowany we wsi, przemykał się między opłotkami, ginął w lesie, przedzierał się przez gęstwiny. Po pewnym czasie, znów na gościńcu ukazywał się, bardziej wychudły, bardziej zgłodniały.

Coś go pchało i zmuszało do pośpiechu.

Na długiej i daremnej wędrówce wieczory go spotykały. Gwiazdy wybłyskiwały na niebie. Ale ani jeden okruch ich jasności nie odbił się w zdroju serca smutnego psa.

Zmęczony znajdywał nocleg byle gdzie. Ranek go budził. Często tam zboża pochylały się nad nim, źdźbła zroszone usiłowały obmyć jego oczy Szum go otaczał. Coś pola mówiły. Ale ani jednem słowem nie pocieszyły opuszczonego, bo nie zwiastowały nowiny, którą pragnął usłyszeć. Blask zorzy spływał na ziemię, rozpraszał zmierzch, z pól mgłę zdejmował, z oczu krynic zmywał szarość snu, rozjaśniał, różowił, rozpalał każdą kroplę rosy. Żaden promień nie starł smutku ze źrenic psa, niewidzących świętej doliny ukojenia i ciszy tych poranków.

Urwiszowi już sił zabrakło. Z utrudzenia padł na ziemię. Spragniony zlizywał rosę z murawy. Coraz bardziej osłabły szedł po nieznanej ziemi, dźwigając ciężar tęsknoty i trwogi.

Przydrożny pył zasłonił cel wędrówki. Już nie pamiętał dokąd idzie i poco.

Któregoś dnia podmuch, idący z pól, czy z niebios, zmiótł szarą powłokę ze zmęczenia.

Spojrzał trzeźwo.

Znajdował się w okolicy zupełnie obcej. Stanął w suple pogmatwanych dróg, krzyżujących się w tem miejscu.

Rozciągała się w dal równina bezbrzeżna. Jednostajność przerywały obłoki drzew samotnych, które zastygły na powierzchni pól, jakby kłęby dymu płonącej zieleni. Pies wpadał na jakąś ścieżkę. Gnał z głową nisko podaną. Zawrócił ze skuczeniem. Wbiegł na drugą. Znów zawrócił z przeraźliwym piskiem. Stanął na rozstajni, zawył i znów zrywał się. Biegł i zawracał. Ścigał marę nadziei i uciekał od niej z płaczem zwątpienia. W rozpaczy drzew, drogowskazów, niebios, chmur, pytał o radę.

Oczy rozbiegały się po wiele razy w rozmaite strony. Wnet wracały jakby zbite do kryjówki serca, aby paść na barłog opuszczenia i zdychać na łańcuchu smutku, patrząc w pustkę życia.

Urwisz już nie miał sił do dalszej wędrówki. Zresztą gdzie miał skierować kroki? Tyle dni na tułaczce, na głodzie. Tutaj odpocznie, nabierze zdrowia i podąży do celu, który wyznaczyła ślepa miłość. Jeszcze i ta otucha wstąpiła, że kiedyś tędy do dworu będzie wracał człowiek ukochany. W tem miejscu musi czekać, aby go powitać, wybiec naprzeciw ze skomleniem radości.

Obok skrzyżowania dróg stała karczma.

Otoczona drzewami, tonęła w zawierusze liści. W jednem miejscu zasłona zieleni, rozchyliła się niby odrzucona firanka, aby przez okna pełne jasności mogły patrzeć czerwone oczy

kwiatów. Ściana, pobielana farbką, błękitniała, jakby kawał nieba rozwieszony był między konarami. Zdala widać było ganek, wsparty na słupach i smugę dachu, upstrzonego grzybami mchu. Na niewielkim dziedzińcu stały wozy. Gromada wróbli gospodarzyła, z pod nosa koniom ziarno wykradając. Kogut, w aureoli uwielbiających gdakań, kroczył dumnie. Wiatr rozmiatał śmieci, gładził pióra wójta podwórzowego i rozwiewał ognistą krasę, jakby dmuchał w płomienie.

Z drugiej strony gościńca, w polu, na lekkiem wzniesieniu stała kapliczka, ogrodzona bujnemi krzewami.

W tę stronę Urwisz skierował kroki.

Tutaj znalazł schronienie.

Kapliczka była stara, obwieszona kwiatami, jakie łąki i pola w darze jej przyniosły. Po białych kolumienkach pięły się wieńce. Była to istna legenda barw. Jedne zwisały z poddasza jakby to strumień, wycięczony z serc śpiewających ptaków. Inne migotały wśród liści niby płomyki wieczystych lampek, wystrzelające z zielonego dymu.

Pod daszkiem, w splocie świergotań ptaków stała Matka Boża z dzieciątkiem na ręku. Taka wsiowska Madonna, bezdomna komornica na tym padole ziemskim, odziana w szarą płachtę, malowana barwami rzewnego smutku, czującego serca Viastimila Hofmana.

Chrystusik wyrzezany, trzymany na rękach Matki był pełen życia i swawoli. Zdawało się, że Dzieciątko Boże za chwilę podskoczy, wyrwie się, aby popędzić na łąkę, chwytać w dłonie motyle, zabawiać się kwiatami. Ale Matuś Najmilsza mu niepozwala, więc tylko rączką pokazuje dziwy, chcąc ją rozradować.

— Matusiu poźryjcie — o — o kwiatuski, o ptoski świergocą. Ślicności. Wszyćko dlo nos, dlo nasej uciechy. Puście mnie. Cego się strachacie. Nie bójcie się nic. Przyniosę wom kwiatusków, nałapię ptasków, zeby wom śpiewały. No, puście mnie Matulu — cegoście tako? — Nie chcecie? to się rozpłacę.

E, nie bójcie się — jo ino tak na niby — żartuję. Pódźcie ku nom ptoski — pódźcie kwiatuski. Pochnijcie przed Matusią — śpiewajcie — niech się wami naciesy.

Miało się wrażenie, że te słowa spływają z żywych, rozradowanych warg i mieszają się z ptaszęcemi dźwiękami.

A gromadki ptaków nadlatywały, jakby chciały, aby je Chrystusek w święte dłonie chwycił i popieścił. Coraz dźwięczniejszemi głosami wielbiły uśmiech dobroci Bożej.

Krasne ich sukienki kapliczkę spowijały.

A na puszystym dywanie zieleni zastygły kwiaty z pochylonemi głowami i wśród barwnych kołysań szeptały modlitwy.

Matka Boża uszczęśliwiona patrzy na Synaczka. Prawie drży, przytula go mocno, aby nie spadł. Ale jej oblicze jaśnieje miłością i niby hostja światłości, z kielicha serca unoszą się wyrazy:

— Cichaj dziecię — cichaj. — Nie wyskakuj, bo spadnies. Wszyćkie ptoski przylecą. — O, widzis, ile ich świergoce — Słuchojwa.

Wtedy trwał uśmiech, jakby obłok uczuć najcudowniejszych na ziemi, a nietkniętych pyłem ziemskim, wypływał z niebios macierzyńskiej miłości i na wargach spoczął.

Człowiek nie spostrzegł tego, więc pies znalazł dach nad głową przy kapliczce obok Matki Bożej i Jej Synaczka.

Co dnia gościńcem mijały go gromady ludzkie, spieszące gdzieś. Przejeżdżały wozy. Wszyscy zatrzymywali się przed karczmą i ginęli w jej czeluściach.

Głód wypędził Urwisza z kryjówki i zawiódł go pod dom zajezdny. Znalazł tutaj dość pożywienia. Porwał kość ze śmietniska i odniósł w pole.

Już nie podążył dalej.

Ostał i zadomowił się pod tą gospodą.

W nocy i w dzień wyczekiwał i nadsłuchiwał. Na odgłos kroków wybiegał na drogę z radosnem szczekaniem. Wnet wracał jakby kijem zbity.

Czasem wionęła nadzieja. Szedł za jakimś przechodniem, zabiegał, pytał rozumnemi oczami i wąchał z błogą otuchą, że umiłowany zapach dotknie serca i zapełni je radością.

Ale przechodzień trącał go znagła kijem i śmiechem.

— A widzisz — nie plątaj się pod nogami.

Przechodzili zawsze tylko obcy i ginęli w obłokach kurzu, wznieconego stopami, który opadał na duszę psa, na kamienie, na drzewa przydrożne, coraz grubszą warstwą zgnębienia, rozczarowania: beznadziejnego smutku.

Pytał siebie, pytał ziemi i niebios:

— Dlaczego nie powraca przyjaciel. Tylu ludzi co dnia mija, a jego niema.

W krótkim czasie Urwisz poznał okolicę, zbadał wszystkie, stosunki.

Tędy w jedną stronę prowadził gościniec do stacji kolejowej, w drugą stronę do znanego uzdrowiska. Karczma stojąca w pośrodku była bardzo odwiedzana. Wszyscy podróżni zatrzymali się tutaj dla posiłku i dla odpoczynku.

Zapach pitraszonych potraw aż w pole zalatywał Łaskotał nozdrza, napełniał piersi psa głodnego. Była to pokusa nie do zwalczenia. Więc Urwisz opuszczał kryjówkę też i w dzień. Zrazu nieśmiało, powoli się zbliżał. Niedowierzająco przywarował niedaleko ścieżki, wiodącej na ganek. Gotów był uciekać, gotów był też zbliżyć się. Oczy żebracze szły za każdym głosem, za każdym przechodniem. A umiał tak patrzeć litośnie, że szczodrze rzucano kości, ogryzki, skórki chleba. Posmakowało mu to życie. Zczasem »zakwaterował się« na dobre pod bramą karczmy. Całe dnie spędzał niedaleko. Na turkot wozu, na odgłos kroków, wyłaził z gęstwiny i stawał u drzwi wejściowych z błaganiem w oczach jak ten żebrak, czekający na jałmużnę. Przysiadał na zadzie a łapami przedniemi przebierał tak śmiesznie, jakby je wyciągał po ten dziadowski kęs.

To miejsce miało być tem, czem kawał ziemi pod murem kościelnym, wyklęczony kolanami nędzy ludzkiej.

W początkach o mało nie stracił go.

Głód, nie uznający prawa własności, wskazał Urwiszowi drogę do sklepiku, skąd rozlewał się zapach kiełbas, szynek, chlebów. Drzwi były otwarte. Nikogo w izbie nie było. Pies wspiął się, oparł łapy na stole i już miał porwać z miski kawał mięsiwa świeżo ugotowanego.

W czasie tego niezwykłego wypadku wpadł czujny gospodarz. Na widok tego, co mogło się stać, mało »krew go nie zalała«. Chwycił za kudły psa i ruski miesiąc mu sprawił. Potem wpadł jak furjat do kuchni, i wskazując pięściami, klnąc siarczyście, zakazał komukolwiek, kiedykolwiek dać Urwiszowi choćby tyle, co za paznokciem. W przeciwnym razie popamiętają. Nie daruje. Takiego złodzieja własną krwawicą paść? Nie!!

Pies, nie w ciemię bity, nie śmiał pokazać się na oczy gospodarzowi. Uciekał chyłkiem na odgłos jego kroków. Ukradkiem krążył obok domu, spozierając błagalnie w okno kuchni, uśmiechające się do niego dobrocią starej służącej. Ta trzęsąca się babuleńka, skoro psa dojrzała, zaraz pod zapaską za stodołę wynosiła michę pełną żarcia. Machaniem rąk, podobnych do skrzydeł wiatraka, niemym krzykiem ócz przyzywała Urwisza. Już wiedział, gdzie zaniesie. Jadł za zaroślami. Zmiatał prędko, połykał żarłocznie, dygotając ze strachu.

A babina, patrząc na to, obcierała sobie zapaską oczy z rozczulenia.

— Zjedz — nie bój się — podjedz sobie biedaku. — Jakie to głodne, aż litość bierze. Tu se przychodź. Co bede mogła, to przyniose. Ale temu iskarjocie to na oczy się nie pokazuj.

Pies zjadł, polizał ją i na pożegnanie przygarnął się do spodnicy.

— O jakie to stworzenie wdzięczne. Żeby mógł, toby temi oczami »Bóg zapłać« powiedział. Jakże nie dać. Z pod sercabym wyjęła. Niech ci będzie na zdrowie. A ten heród ściga i bije.

Jednakże oko pańskie czuwało. Gospodarz zauważył wycieczki. Ścierpła służąca, wiedziała, co to znaczy. Niech ręka

Boska broni. Chwytał co mu pod garść wpadło. Siekierę, garnek czy kij. A potem plecy, nie plecy, głowa, nie głowa. Prał.

— Ja panie tego moszterpaniedobrodziejaszku jestem prędki. Nie patrzę, żona, dziecko, krowa. Jak ostygnę, to do rany przyłóż. Zbiję, a potem razem płaczę. Miętki ze mnie panie moszterdziejaszku.

Istotnie wkrótce ostygł.

Przewinienie psa poszło w zupełne zapomnienie.

W tym czasie ktoś z przyjezdnych poznał psa. Krzyknął: »Urwisz«. Ten, usłyszawszy swoje imię, zakręcił się w miejscu. Wyskomlał radosny głos. Szukał ożywionego obrazu. Przypadł w szale. Wąchał, obiegając dookoła. Znów rozczarowanie. To nie on. Po wybuchu wesela zwierzę zamilkło. Głowa bezsilna zwisła. Chwiejąc się, powlókł się w stronę kapliczki i tam leżał długo.

Ten sam podróżny objaśnił gospodarza, że to pies wielkiej wartości. Należałoby odesłać do właściciela. Umie on wykonywać rozmaite sztuczki. Krzyknąć: »powiedz jak piesek umie prosić«. »Niech piesek maszeruje«, »niech z laską paraduje«, »błaznuje« etc. etc., a on wszystko wykona. Sztukmistrz.

Karczmarz wywalał ślepia ze zdziwienia.

— To on taki moszterpaniedziejaszku mopsik. Ktoby pomyślał. Ehe — ehe zcicha pęk. Poczekaj maszełku — to się do ciebie weźmiemy. No i ktoby wiedział, że to taka główka — mówił — zacierając dłonie.

Na drugi dzień karczmarz uczęstował go, stanął z ręką podniesioną do góry i zawołał:

— Niech piesek błaznuje.

Urwisz wypełnił rozkaz. Zbiegła się cała rodzina i za boki się brała ze śmiechu. Pies w mistrzowski sposób wykonywał sztuki godne cyrku.

Te zdolności miały być środkiem zarobkowania na chleb codzienny.

Urwisz pojął to w lot.

Zaczęło mu się nienajgorzej powodzić. W nadziei, że go czeka nagroda z miski, błaznował, skakał na dwóch łapach, kroczył poważnie, trzymając w paszczęce papierosa, stawał na baczność, zębami zdejmował kapelusz i podrzucaniem usiłował umieścić na swojej głowie. Stroił śmieszne miny paszczęką, łapami, ogonem. Okazał się prawdziwym mistrzem. Zabawiał gospodarza, podróżnych, równocześnie patrząc wzrokiem na jedzenie, leżące na stole.

Czasem tak był osłabiony i wyczerpany, że dźwigał nogi, jakby podnosił kamienie hańby. W oczach znać było zawstydzenie, kipiący gniew, urażoną dumę. Widocznie odczuwał upokarzającą rolę, odgrywaną przed ludźmi.

Gdy zaś nie chciał wykonać rozkazu, nietylko nie dawano jednego kęsa, ale opór kijem usiłowano przełamać. Głód i kara przemagały. Nikt nie spostrzegał, że ten błazen, za cenę wzgardliwej jałmużny, płaczącą duszę w jaskrawe szmaty śmiechu ubiera na uciechę żołądka.

— Muszę tak, bo chcę żyć.

Może gdzieś, głęboko w sercu chował skomlenie, zgrzytające z bolu? Zresztą nad tem nikt nie zastanawiał się. A pies, to nie człowiek, żeby wszystko wyszczekał.

Jednak ten nędzarz — błazen z karczmy umiał odczuwać upokorzenie za dnia doznane. W nocy bowiem słychać było skomlenie przeciągłe, to znów krótkie, zadławione.

Może przed Matką Bożą i Dzieciątkiem w kapliczce modlił się, skarżył, o miłosierdzie prosił, może przeklinał swe życie, a może płaczem swej niedoli żalił się, że musi błaznować, a może rozpaczą duszy pytał, kiedy przyjaciel wróci i zabierze go z pod kijów śmiechu, z pod wzgardy jałmużny.

Ucichał nagle. Kiedy spojrzał w oblicze świętej Rodziny, spływała na jego zbolałe serce światłość ukojenia. Miłosierne ręce ścierały smutek.

I w piersiach psa rodziła się wdzięczność i miłość do tego Dzieciątka, tak błogo uśmiechającego się.

Na drugi dzień wracał Urwisz na stanowisko pod karczmą. Nie mógł opuścić tego miejsca. Nie chciał stracić uśmiechu Bożego miłosierdzia. Z drugiej strony wierzył w powrót przyjaciela.

Nieraz o świcie widać było psa znieruchomiałego, wpatrzonego w pustą dal wyczekiwań.

Oczy, dwa czarne pielgrzymy niestrudzenie wędrowały po drogach, które po tysiąckroć zdeptał wzrokiem. Serce, leżące na barłogu zwątpienia, biło gwałtownie, chcąc roztłuc ścianę piersi i rozpaść się w tysiące pulsów. A każdy zmieniłby się w imię przyjaciela, w słowa najżarliwszych próśb, aby wrócił.

Odwracał głowę i spotykał zawsze słodkie oblicze Dzieciątka i ręce wyciągnięte, pełne błogosławionych darów dobroci.

Z uporem miłości i tęsknoty wciąż czekał.

W karczmie, na codziennej harówce wiodło mu się rozmaicie. Raz lepiej, raz gorzej, zwyczajnie, jak to przy misce łaski ludzkiej. Czasem skopano go, czasem batem precz wygnano, czasem poczęstowano go chlebem, posmarowanym masłem dobroci. Niczemu się nie dziwił. Przywykł do wszelkich objawów duszy człowieka.

Nabrał doświadczenia życiowego. — Stosując się jakby do gwary ludzkiej, mającej określenia na wszystkie tajniki grzechu, stał się cyniczny, natrętny i bezczelny. Stracił wszelki wstyd, który chustą ognistą rumieńca oddziela duszę od niegodziwości. Leżał jak zawsze w swej kryjówce, na barłogu upokorzeń, na barłogu łez i skowytów. Przed sobą miał cały świat, ogrodzony płotem kolistym niebios. Na turkot wozu podnosił łeb i patrzył na obejście gospody. Nie zrywał się jak dawniej, pędząc nieraz do byle czego na złamanie karku. Namyślał się, zastanawiał, mrucząc po psiemu.

— Obaczymy co to będzie. Czy warto iść. Poco lecieć i wracać z pustym brzuchem, a pyskiem pełnym skomleń. Tutaj o poczęstunek batem nie trudno.

Wyczekiwał. Wysiadające z wozu osoby mierzył od stóp do głów, jak lichwiarz przebiegłemi oczami oceniał, pod światło przepatrywał. Poznawał charaktery, usposobienia, przewęszał duszę i z pod piachu słów, spojrzeń wygrzebywał prawdę, jakby w misce kawał mięsa z pod postnej kaszy.

Czasem tylko zerknął, brał ogon pod siebie i z pomrukiem »ostrożność nie zawadzi« wyrywał w pole, aby jak najdalej. Czasem, przypędzony głodem, stawał opodal zawsze czujny i ostrożny. Zapach jedzenia, bijący z talerza, wcale nie odurzył go. Śledził rzuty ócz, ruchy rąk. Kiedy miał paść kij, on znikał. Zdala patrzył drwiąco.

— Tyleś mi zrobił. Obaczę twoje pazury, choćbyś je schował w tłustość i miód.

Kiedyindziej uśmiechnął się życzliwie do jakiegoś chudopachołka, kiwnął ogonem przyjaźnie, mrugnął oczami na »powitackę«.

— Ty masz dobre serce. To zaraz widać. U ciebie słowa jakby para, dymiąca ze smakowitego jedzenia. Cóż kiedy nie masz co do gęby włożyć. Przy dobrem sercu, ale pustej kieszeni to tak, jakby przy próżnej misce. Nie pożywisz się. Trudno, darmo. Tego nie zmienię. Kiedy se podjem, to przyjdę. Miłowaniem to można brzuch, ale pełny smarować. Miłowanie to, nie przymierzając, jak do smarowania chleba tłustość, co się wytapia ze słoniny szczęśliwego brzucha. — Hi, Hi! — A tyś — e — dobryś chłop — ale to mi już nie wystarczy.

Oka nie spuszczał z ludzi, którzy zajeżdżali z hałasem, śpiewami, ze strzelaniem z bicza.

Zaraz zapieniało się serce nadzieją.

— Będzie pociecha dla paszczęki.

Kiedy zaczęto wynosić ze skrytek wozu koszyki, zawiniątka, kiedy w przechodzie chlusnął zapach kurcząt smażonych, wtedy niespokojnie się poruszył i pożądliwie machnął jęzorem.

Pod ganek karczmy przyłaził dopiero wtedy, kiedy zaczął rozlegać się trzask łamanych kości.

Już tak się wyćwiczył, że na zawołanie krzywił żałośnie paszczękę. Stając u drzwi wejściowych, swemi ślepiami, budzącemi litość, mówił pacierz proszalny, dziadowski do miłosiernych ludzi o wspomożenie.

Zawsze miał tak nieszczęśliwą minę, że prawie każda kobieta na widok udręczonego i tak nieszczęśliwego Urwisza ręce załamywała.

— Jakie to biedne stworzenie.

I łzami roztkliwionej duszy zlewając jedzenie na — talerzu, zjadała kęs po kęsie. Ostatki psu podawała.

— W gardle rośnie, kiedy na ciebie patrzę. Podjedz sobie niebożę.

Nieraz jakiś porywczy podróżny, uniesiony gniewem, ostro zwymyślał karczmarza, że głodzi niewinne zwierzę.

— Pasy darłbym z pana zato.

A karczmarz, rozkładając ręce, Boga biorąc na świadka, pokornie tłumaczył się.

— To nie mój pies — moszterpaniedobrodziejaszku. Przyplątał się skądś ze świata. Chciałem przywiązać przy budzie, żeby gospodarstwa pilnował. Miałby spokojne życie przy misce. Za każdą pracę dobrze płacę. Gdzie mu to w głowie. Urwał łańcuch. Ino po świecie ganiać. Wywłoka! Przez cały dzień tutaj. Daję co mogę, przecie koszuli z grzbietu nie zwlekę. Pysk ma jak nie przymierzając wół. Chlałby i chlał, a zawsze głodny. Goście też nie żałują. Mają z niego sto pociech.

— Chyba znęcają się nad nieszczęśliwym biedakiem.

— Ho! ho! To numerek na czerwono malowany.

— Jakiż on numerek?

— O! to główecka! — Jak zacznie sztuki stroić — parsknął śmiechem — uciecha w całej chałupie.

— Cóż on takiego robi?

— Zaraz ujrzy jaśnie pan. — Urwisz tu do nogi.

Gospodarz lekko opierającego się chwycił za kudły, mocno podciągnął. Potem z namaszczeniem podniósł palec.

— Jak piesek umie prosić.

Pies przysiadł na zadzie, przebierał łapami przedniemi i zaszczekał. Następnie na rozkaz, trzymając kij, przemaszerował po izbie żołnierskim krokiem, wypinając pierś. Błaznował, skakał.

Machinalnie, bez zastanowienia spełniał wydawane rozkazy, równocześnie zaś oczy głodne w napastliwy sposób leciały w stronę jedzenia. Co spojrzał, to oblizał się. Kiedy ćwiczenia zbytnio przeciągały się, z gniewem w duchu mruczał.

— Dokądże tego będzie. Na loterji zdrowia nie wygrałem. Mało łap nie połamię, a ten ani myśli coś dać.

Tam i z powrotem w górę i na dół. Zziajany, zmęczony z sił już opadał.

— Ha! ha! No widzą państwo, jaki to pieseczek — ho — ho — inte-li-gen-tny — z dumą patrzył, chwaląc się psem i ostatnim wyrazem.

Któryś z podróżnych chciał Urwisza zabrać. Pies przewąchał pismo nosem i nagle zniknął bez śladu.

Po kilku godzinach wrócił.

Przejezdni w czasie postoju mieli zabawę. Jedzenie śmiechem sobie maścili.

— Wart piesek — wart — łapaj.

Rzucano ogryzki. Pies w mistrzowski sposób w powietrzu chwytał kęsy.

I tak co dnia.

Urwisz przywykł do nowego życia.

Z nędzy swej, z trudu najemnika, z łez błazna czynił widowisko.

IV.

Zbity, głodny, późnym wieczorem wlókł się ostatnim wysiłkiem z pod karczmy. Był umęczony jak po najcięższej pracy, jakby całodziennym znojem ociekający.

Teraz błazeńska szata z serca odpadła i stawał się tem, czem był w swojem schronisku pod kapliczką: nędzarzem, dźwigającym torby pełne wzgardy i upokorzeń, zarobione w męce i krzywdzie.

Gdyby ktoś wpatrzył się w pociemniałe oczy, toby zobaczył przeloty dziwnych błysków, jakby w dwu czarnych krynicach przelewały się łzy, które za dnia wypłakało biedne, znieważone serce.

I w ten wieczór wracał do swego legowiska pod kapliczką.

Cisza wokoło, zamącona tylko szmerem liści, jakby drzewa w śnie drżały bojaźliwie. Kwiaty na polach bezszelestnie kołysały się. W zmierzchu znać było ich kielichy, przyćmione mgłą zapachu. Na niebie gwiazdy nieprzeliczne, jakbyto w bezbrzeżnym zdroju odbijały się łzy wszystkiej nędzy świata. Migotały zawsze jednako świetliste brylanciki ludzkich serc, wprawione w ciszę szczęśliwych przestworzy.

Wieś już dawno spała. Tylko okienko służącej w karczmie jeszcze czuwało. W ciemności gorzało niby lampka oliwna. Ono jedno uśmiechało się do samotnego psa, ono jedno rzucało smugę jasną w mrok.

Urwisz przechodził obok kapliczki. Nagle stanął, nieznaną myślą tknięty. Spojrzał na figury z drzewa wyrzezane, jakby pierwszy raz je zauważył. Jasność zalała piersi i oczy. Widzi kobietę, niebieską komornicę, najbiedniejszą, najbardziej opuszczoną na tej ziemi. W obliczu łagodność, słodycz, dobroć.

W oczach dary z Królestwa miłosierdzia Boskiego. Widzi dzieciątko na rękach, chuściną okryte. To maleństwo prawie igra na kolanach, chce zbiec na łąkę, wyciąga rączki do niego, do ptaków, do kwiatów, do gwiazd, mając na ustach uśmiech wyśniony przez serce.

Patrząc w oblicze komornicy Bezdomnej, patrząc w oblicze dziecka, wydziwić się nie może, że oni jedni na tej ziemi nie każą błaznować, oni jedni kija nie podnoszą na wywłokę. A tylko z życzliwością pochylają się i darząc hojnie skarbami łaskawości, obydwoje o coś słodko proszą.

Spełniłby wszystko, co rozkażą. Wzruszony do głębi, nie wie, jak wywdzięczy się za ten uśmiech dobroci.

Wpatrując się w oczy Bożego Dzieciątka, stanął na dwóch nogach. Z ogromną tkliwością zaszczekał, jakby chciał wszystkie uczucia wdzięczności wypowiedzieć. Potem stroił najzabawniejsze miny, skakał, błaznował, to znów kroczył z powagą, paradnym krokiem. W sposób śmieszny, zerkając w stronę Chrystusika. Był niewyczerpany w pomysłach. Wszystkie sztuczki pokazywał, jakie umiał, a za które mu w dzień ochłapami łaski płacono. Teraz czynił je z radością. Dokładał wszelkich starań, aby rozweselić to śliczne maleństwo, siedzące na kolanach Matki.

Naraz Boże Dzieciątko jakby ze snu obudziło się. Podskoczyło i z wielkiej uciechy w dłonie klasnęło.

— Matusiu! — Matusiu! ale ten piesek śpasowny. — O jakie figle stroi, o jak uciesznie łocami łypie. Zmyśny, ze boki z niego zrywać! Ha! ha! Worto popatrzyć. Matusiu, puście mnie, puście mnie — ino się z nim kwilusię pobawię i zaraz przylecę. — Nie chcecie — e wyście zawsze tako. — Pokoz jesce raz — no jesce — piesiu — ślicności — pokoz.

Chrystusik uszczęśliwiony wyciągał ręce i prosił słowami, które jak srebrne dzwoneczki ozwały się wśród kwietnych krzewów.

Matusia Boża i Synaczek pochylili się, aby pogłaskać psa bezdomnego.

Urwisz, po dniu pracowicie spędzonym pod karczmą, mimo utrudzeń, przed kapliczką żarty stroił. Czynił to z niewysłowioną radością, choć wiedział, że nawet okruszynki chleba nie dostanie.

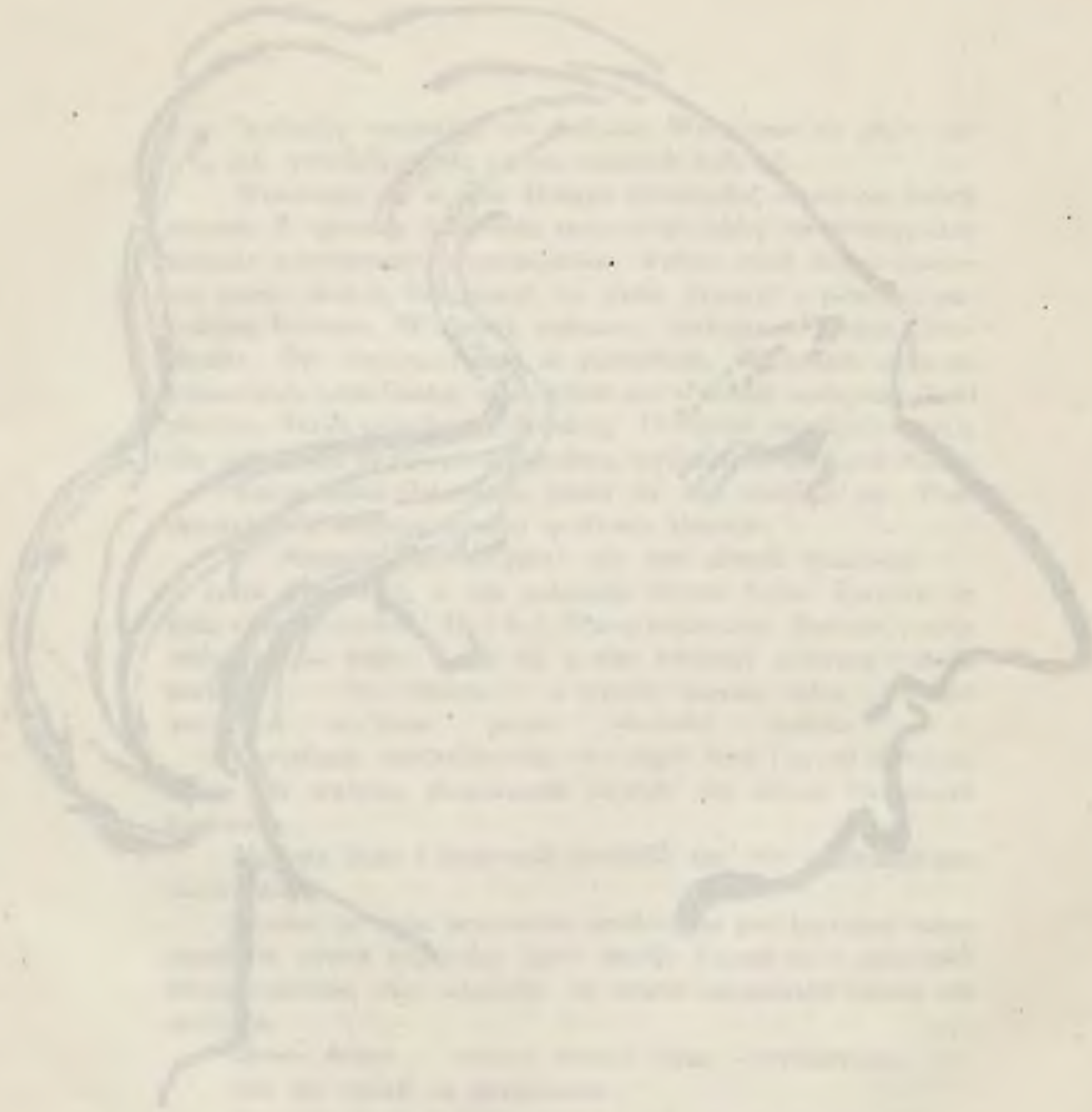
Słowo dobre — razowy okruch serca — wystarczało.

Już nie czekał na przyjaciela.

Tutaj w cieniu miłości pozostał.

I tak co wieczora, do późnej nocy z uśmiechem szczęścia zabawiał i rozweselał Dzieciątko Boże — pies — błazen z karczmy przydrożnej.





ZBIGNIEW PRONASZKO:
EMIL ZEGADŁOWICZ
(RYSUNEK)

EMIL ZEGADŁOWICZ:

JAŁOWCARZ

(Z TRZEMA DRZEWORYTAMI LUDWIKA MISKY'EGO)

Jałowcarz

Jałowce, moje jałowce
na jałowcowej skotnicy —
ide se przez manowce,
nik mych kroków nie licy.

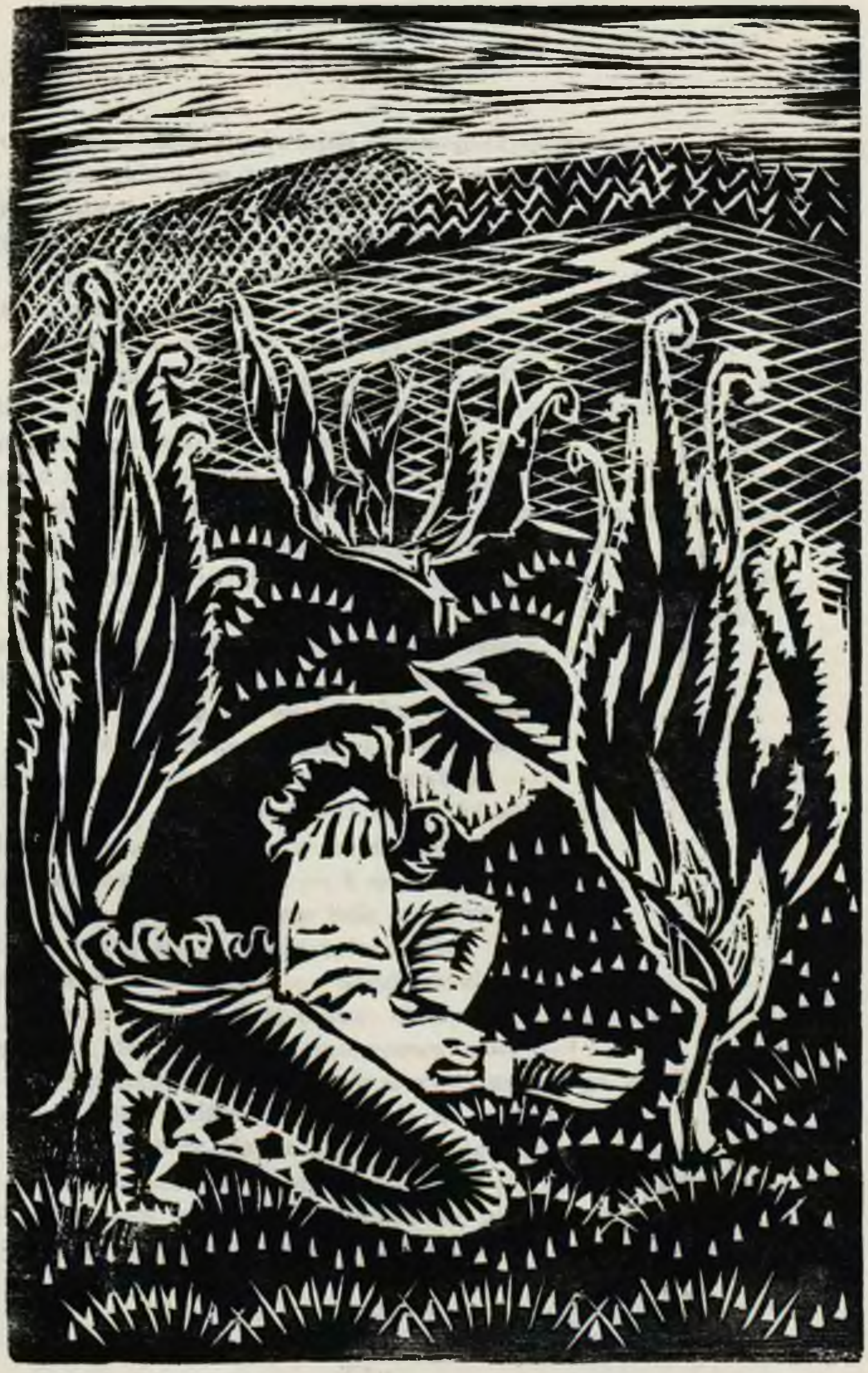
Jałowcu mój zielony
cy to latem, cy zimą —
kto w tobie nimo obrony,
ten nic w życiu nimo.

Tak sie życie zieleni
we mnie cięgiem i wszędy,
az sie śpiewka nie zmieni
w te godowe kolędy.

—

No to dobra! — trzeba iść,
jak trzeba, to trzeba;
już się na buczynie,
już się na dębinie
omrożony złoci liść —
— trza nom soli, chleba —
—
Ka spojrzys złoto włośnie
tak po tych górach rośnie —
— wszyskie lasy wokoło
zsypują się ściołą. —
—
Złocą się kajnie — wszędzie powarzone drzewa.
W południe, gdy na krótko słońce się przelewa

jak mleko ze dzbana —
wtedy cała skotnica słońcem roześmiana
płynie — płynie, jak rzeka — lecz do góry z dołu —
a tak lekko, tanecznie i tak bez mozołu,
jakby się nie zieliła, a rzeczyła ino,
a już nie o południu, lecz każdą godziną.
—
Na niej-to co półkroku — jałowiec w jałowiec —
mówią cichcem do siebie: »bracie ano powiedz,
cóż-to z twojem odzieniem?« — »a no nic, ostawię«, —
»jak się podrze, co zrobisz«? — »e, wydoli prawie«,
»na całe życie?« — »juści« — »to także i moje?«
»ano tak«, »a jagody?! o nie to się boję!«
»jagody?» — »pocoś rodził, pocoś się mozolił?«
»aby jakiś jałowiec jałowce wyzwolił!«
»wyzwolił??« — »tak! wyzwolił — bo tak już być musi,
żeśmy ino na oko niemrawi i głusi,
lecz wewnątrz się jałowczy jałowcowa dusza
i słońcem się raduje i zawieją wzrusza
i myśli o tej ziemi — ano myśli przecie,
że gdzieś wielki Jałowiec we wielkim wszechświecie
dnia któregoś zawoła: — jałowce! — hej, do mnie!!
— wtedy każdy o braku nóg swoich zapomnie —
.... pójdą jałowce gwarnie w ogromnej paradzie
i z tą zieloną wiedzą zasiędą na radzie
w wielkim ziół, drzew i kwiatów, gór, dolin zespole,
w unji ziemi i nieba sejmującem kole —
i z animuszem zacnym, krwi żywej podnietą
każdy z zielnych narodów założy swe veto!
Ten wypowie orację o nagłej wichurze,
ów przeklnie mgieł warcholstwo i wychwali burzę,
tamten zakrzyknie: społem, zielne ziemi stany!
ów radnym do stóp rzuci konar odłamany
z okrzykiem: gorze, bracia, z tych naszych rozdzieleń



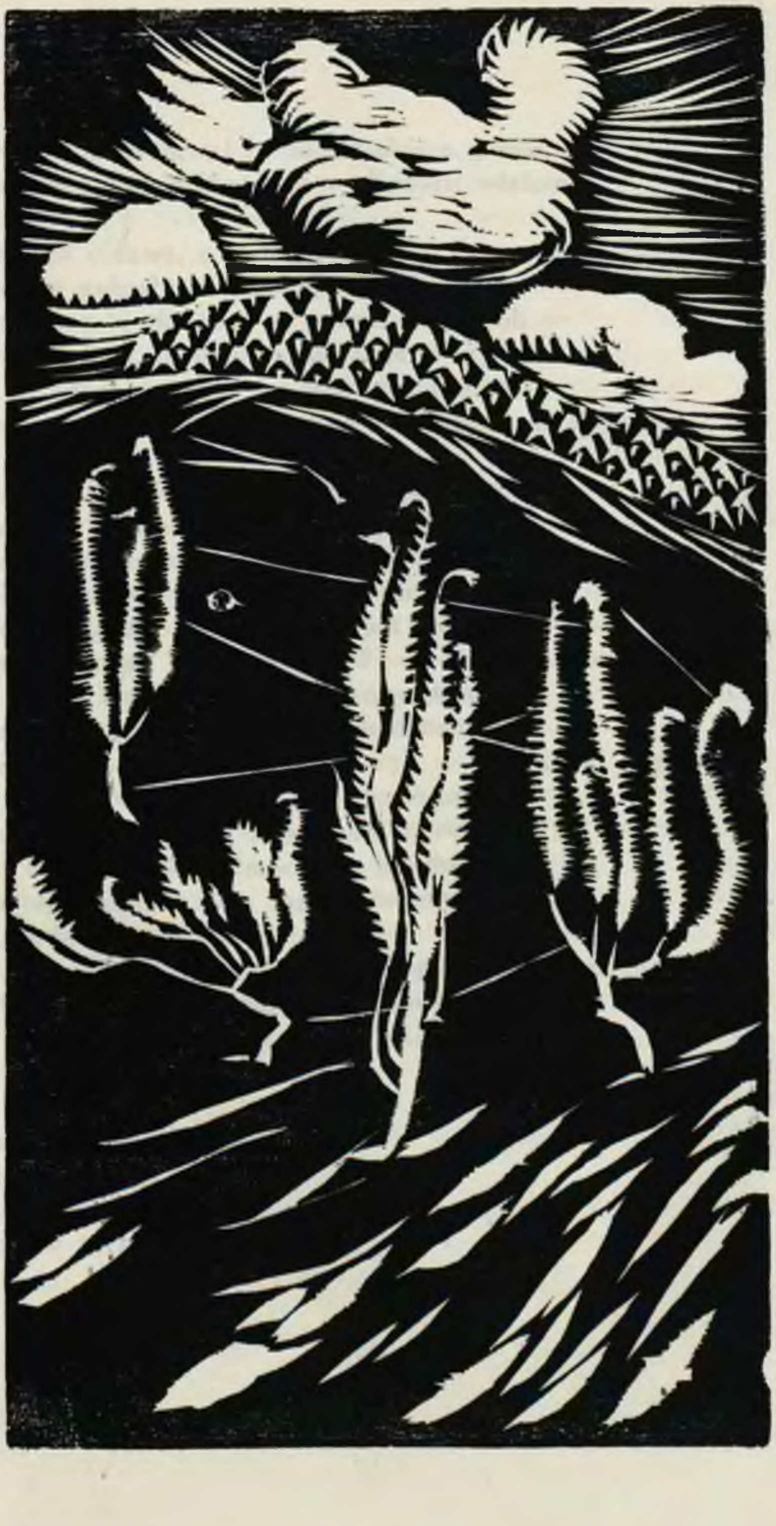


w czerwień zmieni się świetna ojców naszych zieleń!
W on czas skłóci się z sobą krzew, trawa i drzewo,
jedni pójdą na prawo, a drudzy na lewo;
chrzęścić poczną gałęzie, a zgrzytać korzenie,
po korach i łodygach zabłysną płomienie — —
Nuż do walki na chruście, konary i liście —
— szum, trzask, poświst, lamenty! — aż padnie rzęsiście
na nagą ziemię trzasek deszcz, zawieja ścioły — —
Tak się drzewa i krzewy za łby i za poły
siarczyście potarmoszą; — a zioła i trawy,
plącząc się pod ciosami — mały bój, lecz krwawy
też wieść będą: kto lepszy?! — ja! — nie! — to ja właśnie!
— — Aż nagle lampa słońca przykręcona zgaśnie —
mrok! — krzyk! — harmider!« — — »I co?« — »A Bóg:
[cicho dzieci,
powie, cicho odmieńce, słońce nie zaświeci,
póki się nie zgodzicie, póki nie pojmiecie,
że dla ojca najdroższe, właśnie, każde dziecię,
że każde równo dobre, ważne i potrzebne —
i to wielkie dębowe i to ostne zgrzebne; —
— przyszliście się tu wadzić?! — macie się zielenić
i słonecznić na słońcu, a w bezsłońcu cienić! —
a tem słońcem to miłość! — i w tem wasza sława,
że dąb jest dębem, bukiem buk, a trawą trawa;
ukochaj pracę wiązu, moje wilcze łyko,
twoją niech wiąz ukocha — będzie koniec krzykom«.
»A jałowce?« — — Bóg mówi: »jałowcz się krzewino
i tęsknoty swe zmieniaj w jałowcowe wino —! — «
»— a co potem?« — »rozdamy wszystkim sercom siebie,
aż ziarna nasze zalśnią jak gwiazdy na niebie!«
»— no a cóż to te ziarna nasze w takiej cenie —? — «
»— w nich ziemię duch przetapia, krew jej ku nim żenie! —«
»— ej cóż tam te jagody! — jałowcze, nic więcej —! — «
»— modrzą się, gdy je słońce całuje goręcej — ! — «

»— ech, cóż tam ziarna nasze, źrajeją i tyle« —
»— korzeniami się po nie w utrudzeniu chylę — ! — «
—
— Cicho, jałowce, cicho — bo już idzie ku wam
taki co mówi: źrajcie, ja baczę i czuwam — ! —
— któż to taki — ? — cóż mówi pogwaru zarwanie — ? —
— któż to idzie ku górze — ? — czyjeż to śpiewanie — ? —
—
— jałowce, moje jałowce,
na jałowcowej skotnicy —
ide se przez manowce,
nik mych kroków nie licy —
—
Kasper Koźbiał z Kozińca — boży powsinoga,
co to jego jest właśnie i miedza i droga
każda by-tam najstromsza, by-tam i nizinna —
z nim żyniata od młodu i jemu powinna —
idzie —
śpiewa —
— — —
Dziad jego jałowcarzem był, ojciec tosamo; —
bywa, że tak rodziny jedną wchodzą bramą
w życie — i jedną bramą ze życia wychodzą; —
sadownikom się same sadowniki rodzą;
druciarze, ano śkiarze, piecarze, świątkarze —
tym trybem się kierują także jałowcarze
w Beskidzie —
— ano! — wasza wola!
niechże i tobie będzie, jako ojcu — dola
jedna —
tem się miłość rzemiosła ustala i krzepi,
co ojciec robił dobrze, to syn jeszcze lepiej —
co ojciec umiłował, niech i syn miłuje —
niech się tak pieśń rodzinna w chórze świata snuje,

a z pokoleniem każdem wciąż tęższa i krzepsza —
by wszelka praca była nie dobra! — najlepsza!!
—
Ród Koźbiałów w Beskidzie sławny z jałowczarstwa!
I — poprawdzie — na lankur lepszego lekarstwa
niema, jak jałowcowy sok — i na choroby;
przy nim, Bogać! — do kąta wszelakie sposoby!
— ino trza się znać na tem
— i nie zbierać latem
— nie zbyt późną jesienią,
gdy się wichry już żenią —
i nie zimą! — to nanic! —
wszystko ma swój porządek i swój wykres granic! —
tak i — a przedewszystkiem! — w sokowym przemyśle
partactwo całą sprawę do stu djabłów wyśle;
więc choć się ów i tamten do soczenia garnie,
jeśli fachu w krwie niema, no to zrobi marnie,
nieskutecznie —; — a na cóż zda się trud człowieczy,
który nie krzepi serca i bliźnich nie leczy? —
Nie krewniak mówi, każdy! — więc ci nie przechwała:
lepszego jałowcarza niema nad Koźbiała!
—
Kcecie wiedzieć —? — słuchajcie! —
ale co tam mowa!
Patrzcie i uważajcie,
a już wasza głowa
osądzi należycie i pojmie bezsprzecznie,
że Koźbiał ważną sprawę umiał cale k'rzecznie.
—
No cóż tam na wsi słychać? —
—
Już-ci ruch przedzimowy znać u każdej wioski,
już się dają we znaki rankami przymrozki,
już rzadko gdzie spóźniony przyłóg pokładają,

a ściołą i szuwarem chałpy osłaniają — ; —
tak się jedna przy drugiej, jak w pierzynie tuli,
choć co dopiero było wezwanie Urszuli —
ale to góry, grapy — tu mróz rozpęd bierze,
zanim sobie w dolinach śnieżne zładzi leże.
—
A cóż tam na skotnicy — ? —
—
Na skotnicy, choć go ta o to nikt nie prosił,
kwitnie sobie srebrzyście, szronno dziewięciosił;
cały dzień wielkiem okiem o rzęsach promiennych
patrzy się po pagórach — i z kolorów zmiennych
miarkuje, czy się wichrów ruchawka wojacka
zacznie wnet — i czy zima nie runie znienacka; —
— czas jeszcze; — więc się pyszni, liście swe rozkłada
jak motyl, gdy na murze do słońca przysiada;
wielką kwiatu źrenicą dookoła patrzy,
rozmyśla, co też świat ten, co to wszystko znaczy? —
te góry zbłękitnione, lasy i upłazy? —
— ej, dojść tam! — ileż wracać tu mi trzeba razy —
siać nasienie, a z wichrem, aby się poniosło,
aby zgrabnie upadło, przyjęło się, rosło — —
zmartwień i trudów wiele! — trza się głowić śmiele,
by w dziewięciosiłowem, narodowem dziele
nie pokpić sprawy. —
—
Te rozmyślania znagła cień jakowyś duży,
długi, szeroki — nakrył — ; — ziele oko mruży,
listki spłaszcza i węży — drży w sobie, jak po śnie,
bo oto z tego cienia drugi, większy rośnie,
przytłaczający, straszny, chłodny, gęsty, duszny,
walniejszy — tamten pierwszy jemu jest posłuszny —
— czarny — zasłania słońce — światłu drogę grodzi — ; —
— czy to chmura opadła — ? — czy to noc nadchodzi — ; —





Dziewięciosile srebrny! — to nie słońce gaśnie,
to jałowcarz beskidzki, to on — Koźbiał właśnie.
—
Że to pora ujdawa, a ciemne jagody
jałowcowe nabrały potrzebnej osłody —
przyszedł na tę skotnicę — powoli — powoli —
— dni ludzkich, moiściewy, do śmierci wydoli,
nima sie czego śpieszyć — ci co idą prędzej
— bywa — że dojdą wartko — lecz często do nędzy.
—
Wyszedł było dziś Koźbiał po wczesnym obiedzie
(wodzianka i ziemniaki) — ; — »bywajcie sąsiedzie« —
»na skotnice idziecie — ? — « »ano tak, dy juści,
bo jak sie mróz roz zwali, to juz nie popuści;
troche — jagodom to nic, gorzy jak za dużo« —
»— no, a czemu w połednie — ? —«, »mom ślepote kurzą,
przy małym świetle kiepsko widze, mętnie,
kożdą prace trza zawdy zrobić dokumentnie; —
no, juz ide — bywojcie!« — »i wy« — »z Panem Bogiem,
mom jesce kawoł drogi gronią i rozłogiem,
a trza mi nawyprzodki z jesienną pogodą
iść — bo una nojlepsą moc daje jagodom —
i trza tego napitku zimą zanieść lachom,
niek sie im góry przyśnią — « —
— — a płachtę pod pachą
dzierży wielką, podwójną, szarą, samodzianą —
i kij bukowy; — sprzęt ten przyładził już rano.

—

— Jałowcu mój zielony,
czy to latem, czy zimą,
kto w tobie nimo obrony —
ten nic w życiu nimo.
—

Idziecie se, idziecie jałowce po skotnicy,
tele wos co mych kroków, których tyz nik nie licy;
pniecie sie tak ku górze, jak zielone wojoki —
takie widać są lo wos wielgie Boga wyroki.
—
Co tych jagód, co jagód —! — cyrnią się i plenią
te ziornecka woniate pomiędzy zielenią —
na każdej gałązeczce pomiędzy szpilkami
przycupły gęściuteńko kilku szeregami.
Słońce świeci na ukos — cień się długi niesie —
zbałamucić się można w długich cieniów lesie; —
jedne krzewiny stoją — drugie dłuższe leżą —
te i te swój świat mają i sobą świat mierzą; —
cień do cienia, a żywy do żywego ciągnie,
świat cieni w żywy wrasta — żywy cienie łągnie;
tak wiecznie i tak wiecznie cień się z życiem splata,
Bóg jest życiem wieczystem — my cieniami świata!
—
A teraz do roboty —! — To zdatna krzewina —! —
Koźbiał płachtę podkłada, krzewinę przygina —
gibka, więc się posłusznie na tę płachtę kładnie —
a przydeptana nogą — leży tak bezradnie
jako cicha ofiara mądra wolą Bożą,
bez której żadne ręce nie zgną jej — nie złożą.
A Koźbiał — tam, gdzie jagód najgęstsza gromada
bije bukowym kijem — grad razów — grad pada —
łup, cup, cup — jak w stodole cepy grzmią w boisko —
wspak, wpoprzek — raz przy razie wali Kasper blisko —
lecą ziarna w podskokach — drży w sobie jałowiec —
łup, cup, cup — dudni echem pomroczny manowiec.
—
Dość —! — Koźbiał cofa nogę — a krzew się prostuje,
a cień chytrze ukryty — wychyla się — snuje —
a na płachcie, jak grochy niebieskie i czarne

leżą dary jałowca woniste, ofiarne, —
jak rozrzucone ziarna świętego różańca
zalegają płótnisko od krańca do krańca —: —
chybciejsze przeskoczyły znaczoną granicę
i stoczyły się z płachty w dziury i ciemnice
skotnicy upłazistej —
—
Różańcu jałowcowy! — pójdziesz po kolędzie —
któż się to na twych ziarnach, któż się modlić będzie? —
—
Jałowcarz pracowicie od krzewu do krzewu
idzie wśród tego słońca — modrych ziarn zalewu —; —
płótnisko już pęcznieje — walnie ciężkie brzemię —
ledwie zdole je podnieść na plecy ze ziemie.
—
A z każdym krzewem mówi.... tyś setny — tyś głuchy,
a ciebie podpolili, umarłyś i suchy —
a z ciebie kore zdarli psiejuchy pastyrze,
ejzebym za to buckiem pomacoł im krzyże —
na biczyska ścinają te pręciny wasze —
ino taki wybiero, którym sie opasze, —
przy paseniu krów, owiec — gromada smarkata
gibki bat mo i strzylo potem z tego bata —; —
...tyś stary — o znomy sie roków już niemało! —
jakoś ci sie obrodzić latosio nie kciało —
niekta — dy se odpocnij, odpocnij, se stary —
przyjde drugom jesieniom po twoje okfiary —; —
...ciebie-by mi żol było, tak cie pajencyna
całego pieknie-ładnie wokoło objena,
jakby sie słońce w biegu o ciebie otarło,
zahacyło sukienką, kilka nitek zdarło —
— odbiegło — ostawując te złociste nicie
jaśniejące wraz z słońcem o zorzy i świcie, —
— stójze se w lśniącej sieci tkanej i kądzielnej,

jałowcu słońcem tknięty, jałowcu weselny — ; —
...ty zaś na skraju stois blisko leśnej ścioły —
chrapkę na ciebie mają, wiem jo to, kwicoły —
— no to se miej jagody, żyw to ptoctwo boże,
co se ta żyje, chocios nie sieje, nie orze —
łostoń se lo kwicołów — ; —
...ciebie latoś opusce, boś jesce za mały — —
—
Tak się przykazań strzegą od wieków Koźbiały.
—
»A resztę trza ostawić — i tak tego sporo« —
mówisz jałowcarzowi napomliwa poro.
—
To pierwsza część roboty,
teraz będzie druga —
roboty, jak miłości,
droga bardzo długa.
—
Jedna cierpliwość skraca
tę drogę krzyżową — ; —
cierpliwość, miłość, praca
to jest jedno słowo.
—
Ano nazbierał Koźbiał jagód wedle woli,
więc się teraz pożytkiem tych jagód mozoli.
Zesypał wszystko w izbie do chlebowej dzierzy —
kopiastym kapeluszem swój dobytek mierzy — ; —
sporo, sporo — no, zbierka niezła tego roku:
sześćdwaścia kapeluszy! — Bógdaj! — Bezuroku! —
—
Leżały dni kilkoro jagody bezczynnie,
a to nato, by było słodko w nich i winnie —
więcże nic nie robiły, nic, tylko pachniały, —
az zjałowczyły izbę i sprzęt izby cały — ; —

a gorącość tej woni z taką mocą niosły,
że tę izbę, strych kurny, cały dom przerosły — ; —
aż przeszedłszy na wylot przez dachu poszycie —
parowało ku niebu jałowcowe życie ; —
a ktoby mógł to dojrzeć — duszą w wiarę szczodrą —
ujrzałby dom nakryty mgłą śpiewną i modrą.
—
Więcże nic nie robiły — samo w nich się działo:
marzenie, co się w płynne oblec chciało ciało.
—
Uleżały się ; — .starczy ; — więc do szmaty lnianej
nabiera Koźbiał ziarna — a potem związany
kłąb w serownicę kładzie (— podstawiona miska —)
zakręca mocno śrubę — sok wonny wyciska.
Ciecze ten miód podziemny, nadziemny, jagodny,
lśniący jak dzień na grapie nagrzany, pogodny,
rzeźwiący jak wiatr, wyrąb, jak las, jak powietrze —
bury sok jałowcowy do glinianki ciecze — ; —
a gdy nad ogniem kotlik z wytłoczonym sokiem
wyrasta gęstej pary rozwianiem szerokiem,
gdy bulgoce, wrze, kipi, podnosi się, spada
i w nieznanym języku cuda opowiada,
gdy pryska na polepę, na niej się przysmaża
i dymi jak kadzidło wokoło ołtarza —
na Boga! — niema izby! — rozwiały się ściany, —
jeden zapach się ostał, zapach niesłychany — ! —
Skotnica do Koźbiała przyszła jałowcowa,
ale już cale inna, odmieniona, nowa —
— — przeinacza się w myślach, w życiu, w poniewierce,
przez te jałowce Boże, przez jałowców serce: —

— —
»jałowce, jałowce,
wyciskojcie mi sie —

moja dusa w Bogu,
a wasa na misie« —

— —

»co ty Koźbioł mówis!
misa tyz nacynie, —
a Ponbóg jes wszędy
nik go nie wyminie« —

— —

»co wy tyz godocie
zwodzicie mie do cna,
moze-to być dusa
krzewowa, owocna« — ? —

— —

»Ponbóg, Ponbóg wszędy,
miej sie na bocności —
w nos jes zopoch ziemi
i zopoch miłości« —

— —

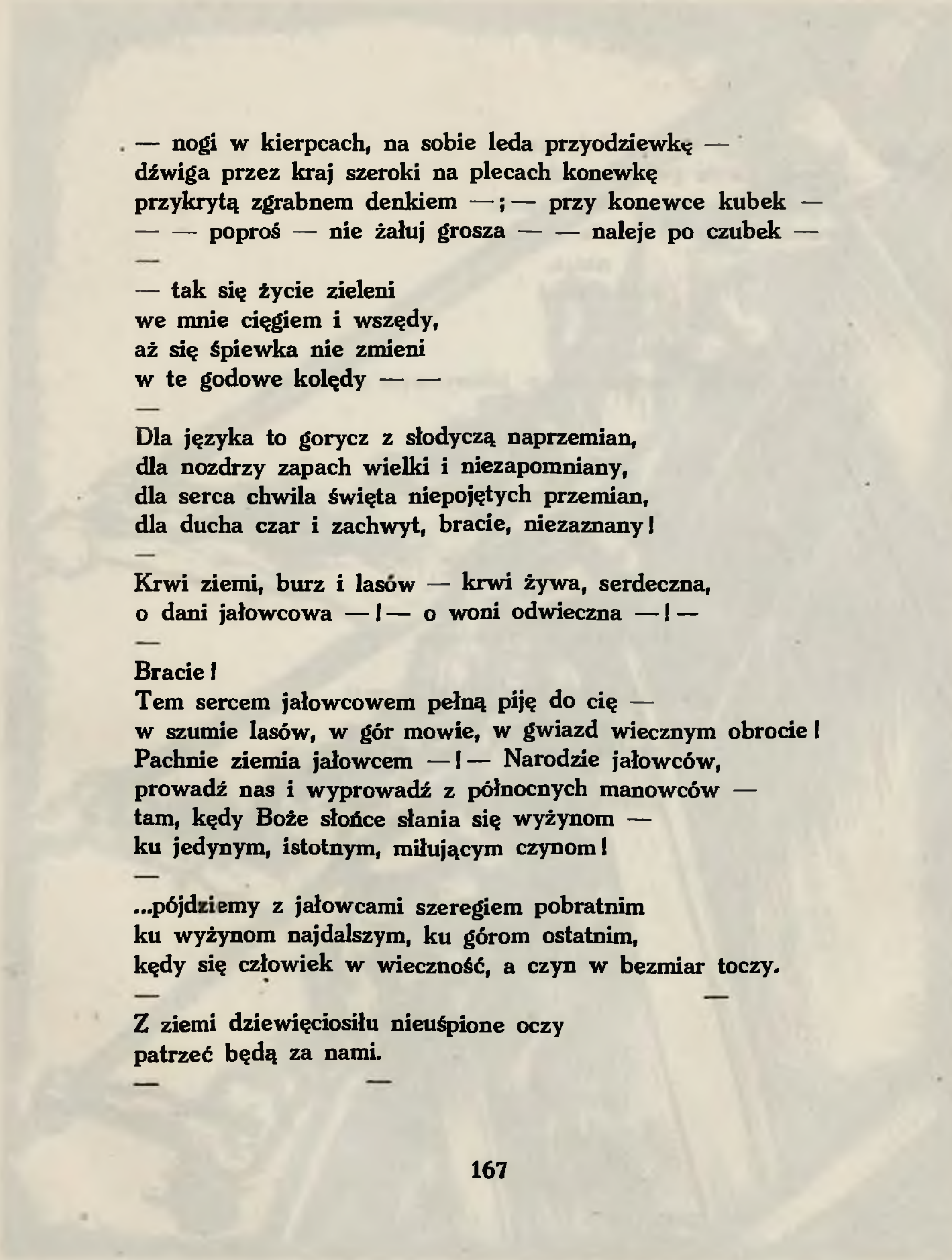
Co się tam potem dzieje — to już tajemnica; —
czy oręduje temu księżyc, czy gromnica —
nieodgadnione wieści — zakryte do znaku; —
jedno wiedno, — że kędyś na modlitwy szlaku
jest miejsce, gdzie we wieńcu podbiałów i mięty
błogosławi tej sprawie jałowcowy święty —
czy przez Wowra rzeźbiony, czyli tylko śniony? —
w tem rzecz, że rad udziela, skutecznej obrony —
aż ten Kasper z Kozińca przystanie przed progiem,
by drzwiom, sieni i izbie rzec: ostańcie z Bogiem!

—

Wiela dróg jest w Beskidzie, gościńców, miedz wiela —
ujrzycie w porze zdatnej tego przyjaciela
dróg wszystkich, gór i grapy i co się w nich zdarza —
ujrzycie idącego ku wam jałowcarza —







. — nogi w kierpcach, na sobie leda przyodziewkę —
dźwiga przez kraj szeroki na plecach konewkę
przykrytą zgrabnem denkiem — ; — przy konewce kubek —
— — poproś — nie żałuj grosza — — naleje po czubek —
—
— tak się życie zieleni
we mnie ciągiem i wszędy,
aż się śpiewka nie zmieni
w te godowe kolędy — —
—
Dla języka to gorycz z słodyczą naprzemian,
dla nozdrzy zapach wielki i niezapomniany,
dla serca chwila święta niepojętych przemian,
dla ducha czar i zachwyt, bracie, niezaznany!
—
Krwi ziemi, burz i lasów — krwi żywa, serdeczna,
o dani jałowcowa — ! — o woni odwieczna — ! —
—
Bracie!
Tem sercem jałowcowem pełną piję do cię —
w szumie lasów, w gór mowie, w gwiazd wiecznym obrocie!
Pachnie ziemia jałowcem — ! — Narodzie jałowców,
prowadź nas i wyprowadź z północnych manowców —
tam, kędy Boże słońce słania się wyżynom —
ku jedynym, istotnym, miłującym czynom!
—
...pójdziemy z jałowcami szeregiem pobratnim
ku wyżynom najdalszym, ku górom ostatnim,
kędy się człowiek w wieczność, a czyn w bezmiar toczy.
— —
Z ziemi dziewięciosiłu nieuśpione oczy
patrzeć będą za nami.
— —

Jałowcarzu,
jałowce twoje gwiazdy rodzą!
Jałowcarzu
twe czary myśl i czucia zwodzą
nasze,
lecz twoje także!

— —

O, nie mów nikomu,
że od dziś Bóg zamieszkał w jałowcowym domu.

Drogiemu przyjacielowi

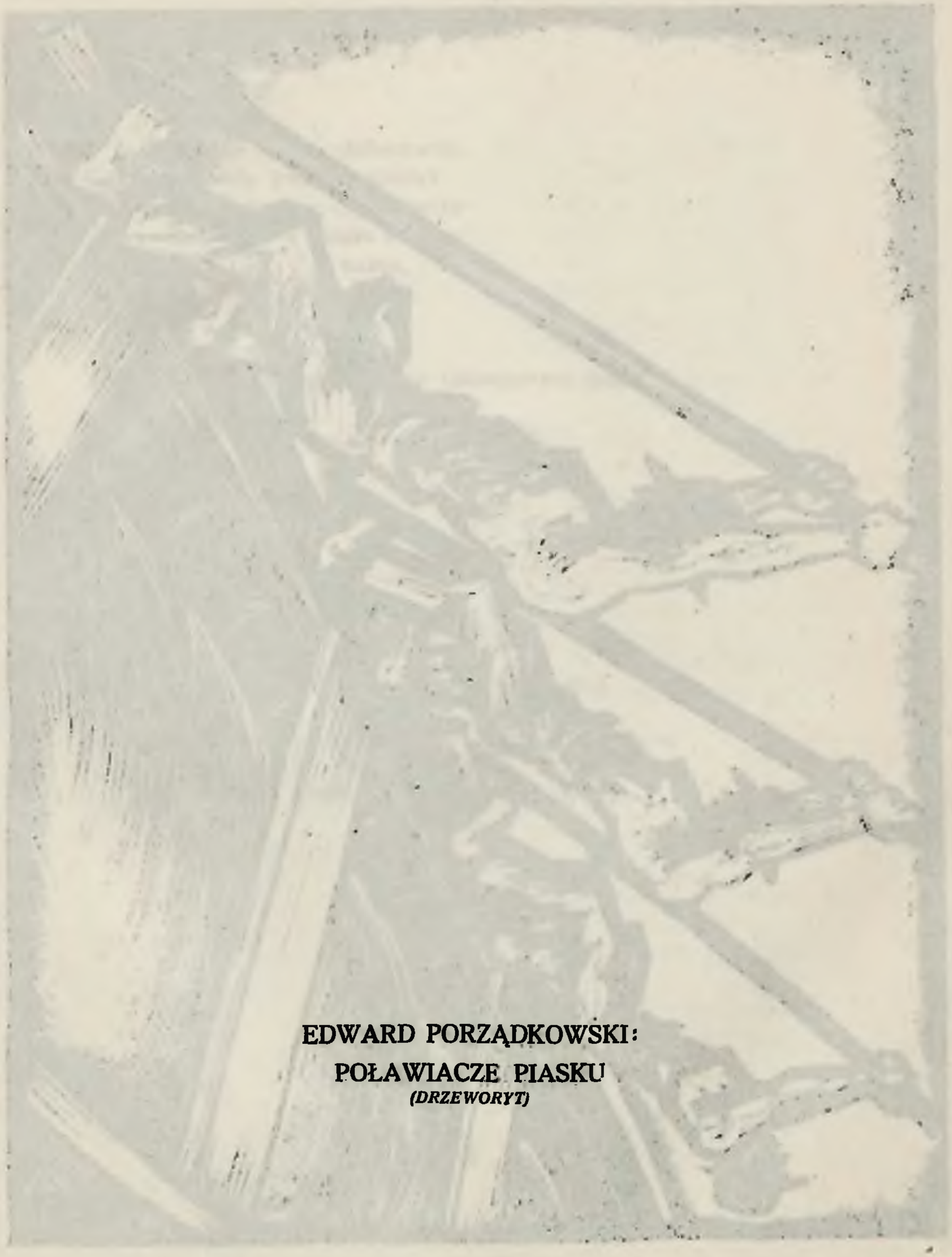
Ludwikowi Misky'emu

w dwudziestopięciolecie wiernej przyjaźni

poemat o Jałowcarzu przypisuję

E. Z.





EDWARD PORZĄDKOWSKI:
POŁAWIACZE PIASKU
(DRZEWORYT)

PRZEGLĄD LITERACKI

J. BIRKENMAJER: Z LOTU PTAKA

DZIAŁ SPRAWOZDAWCZY:

(BELETRYSTYKA, POEZJA, PRZEKŁADY, PLASTYKA, PRACE LIT. NAUKOWE)

KRONIKA

Z lotu ptaka

Rzymianie, ilekroć u nich zaczynała się wojna, otwierali nawściąż podwoje Janusa. Gdy nastawał pokój, świątynię zamykano — wówczas na forum pojawiali się zgiełkliwi kupczykowie i chytrzy szalbierze, zachwalając towar swój, niezawsze uczciwą drogą nabyty, pojawiały się nieznane przedtem nikomu indywidua, które przekupstwem, ostentacją swej osoby, szafowaniem igrzysk cyrkowych zdobywały sobie łatwy poklask i odznaczenia. Ale byli też i tacy, którzy, służąc naprawdę celom wielkim i całej ludzkości, stronili od wrzawy i obłudy intryg miejskich — bo mieli dość do gadania ze słoneczną przyrodą Tyburu lub ze świętą ciszą tuskulańskiego osiedla. Tam — po zamknięciu Janusowego przybytku — znajdowali dla siebie świątynię, otwartą na znak rozpoczęcia boju, wznioślejszego i chlubniejszego nad wszystkie walki orężne.

Janus — stróż domowego gniazda i patron pierwszego w roku miesiąca, darzącego nowemi sokami przyrodę — był niestety bogiem dwulicowym...

Polska ustami największego ze swych poetów modliła się niegdyś o wielką wojnę. Wojna ta otwarła nam świątynne podwoje — najpierw Nadziei — następnie Wolności. Rozpocząć się miała nowa doba — Nowych Czasów.

A zamknięcie świątyni Janusowej było dla nas czemś więcej, niż końcem krwawego epizodu, jakich wiele przeżyliśmy w wieku zeszłym. Było zamknięciem okresu dziejów naszych — nietylko politycznych, ale i dziejów naszego ducha, naszej myśli.

Literatura nasza, mówiąc ściśle, istnieje dopiero od lat stu z okładem; snem o literaturze, nie literaturą — snem niekiedy bardzo pięknym — były utwory Kochanowskiego, Sępa, Szymonowica, Skargi, Potockiego, Staszica, Krasickiego, Karpiń-

skiego. Trzeba było wielkiego bólu macierzyńskiego — rozbiorów Polski — by urodziła się pieśń i myśl prawdziwie wielka. Mickiewicz wskazał drogę poezji polskiej — drogę nietylko prowadzącą na wyżyny, ale i odrębną, samoistną, jedynie narodowi polskiemu właściwą. Za nim ruszył pochód twórców wielkich, których dzieła mówiły i mówią światu całemu o niepożytych zasobach i siłach polskiego ducha: Słowacki — Krasiński — Norwid — Sienkiewicz — Wyspiański — Przybyszewski — Kasprowicz — Reymont — Żeromski. Wymieniam tylko nazwiska najwymowniejsze... Cztery ostatnie z pośród nich brzmią nam jeszcze w uszach jękiem świeżej żałoby... Reprezentują one — razem z nazwiskiem Wyspiańskiego — drugi — po Mickiewiczowskim — okres świetności naszego piśmiennictwa.

Okres ten — przez teoretyków literatury nazwany okresem Młodej Polski — skończył się już, zamknął całkowicie. Zamknięcie zaś jego zbiega się nietyle z datami (niemal współczesnemi) śmierci wspomnianych twórców, co z uprzednią — wzmiankowaną już — chwilą zamknięcia Janusowych wrzeciędzy.

Podczas wojny twórczość literacka w Polsce ugorowała — zabłysła dwoma tylko dziełami prawdziwie genjalnemi: »Księgą ubogich« Kasprowicza i »Kaligulą« Rostworowskiego. Ale i po wojnie nie rozkwitła odrazu i nie odrazu złoty plon wydała. Przedtem musiała przejść chwile szarzyzny nieowocnej, dla której trafną nomenklaturą wydaje mi się tytuł »Przedwiośnia«, jaki niebawem najposępniejszej i ostatniej ze swych powieści nadał Żeromski.

»Zdrój« był pierwszym pobłyskiem — ale przelotnym tylko i mgławicowym, jak rzut bladego, przedwiosennego słońca na kałużę powstałą z niezupełnie jeszcze roztajałych śniegów. W powietrzu było tylko »jakieś oczekiwanie tęskne i radosne«, jakieś nowe nadzieje. Ludzie łaknęli. Był przednówek.

Ale zamiast upragnionej Nowiny — przyszły zrazu tylko nowinki i nowostki. Gdy prysły kordony wojennych okopów, nastąpił u nas import obcych produktów: nietylko odzieży

i żywności amerykańskiej, ale i obcych haseł, prądów, nierzadko fatałaszków i świecidełek. Dziś futuryzm wraz z prądami pokrewnemi sobie lub współdziałającemi z nim (choć niezawsze przyznającemi się do tego i niezawsze umiejącemi zdefinjować własne stanowisko) należy niemal do przeszłości, dzieląc losy każdej zresztą mody, i jedynie w »Zwrotnicy« ujawnia żywotną jeszcze i na swój sposób odrębną fizjognomję; nie chcąc więc o nim, jako o istocie już martwej, wydawać jedynie niekorzystnego sądu, podkreślę niektóre jego zasługi, względnie ważniejsze rezultaty. Oto może się poszczycić nietylko nazwiskami kilku zdolnych przedstawicieli, ale i upowszechniającą się reformą formy wierszowej; co do asonansów, zwycięsko wypierających rymy, zaznaczę tylko, że nie są one (jak się zwykło utrzymywać) nabytkiem obecnego pokolenia, skoro istniały w polskiej poezji średniowiecznej, a istnieją i w poezji ludowej (nie mówiąc o rosyjskiej, która częstokroć w tym wypadku była właściwym wzorem). Godne uwagi były te prądy i przez to, że zasiliły literaturę pierwiastkami treściowemi, mogącemi stanowić zarodek nowego typu poezji — jednakże w nich samych zarodki te nie zdołały wykiełkować i zapuścić korzeni, jako że były onemi prądami niesione... po wierzchu, po powierzchni wody. Jako kontrast przerostu intelektualistycznego, oraz nadmiaru łzawego smętku w poezji okresu przedwojennego pożądana była wszakże bezpośredniość odczuwania i radość życia (choćby i jej wybryki), głoszona przez futuryzm, a tak zgodna z powszechnem odprężeniem nerwów po krwawych zmorach wojny. Bo, choć futuryzm — na innych fundamentach — powstał jeszcze przed wojną, jednakże rumowiska i zwaliska powojenne utorowały mu szerszą drogę, u nas był on — zwłaszcza w fazie początkowej — echem powrotnem, odbijającem się od rozłogów rosyjskich.

Echo to brzmiało wrzawą hałaśliwą — ale nie było li pogłosem wojny światowej i społecznych rewolucyj. Oto bowiem jeszcze przed zamknięciem Janusowej wrótni pojawili się na polskiem forum zgiełkliwi kupczykowie, szwargotliwi giełdziarze,

niewidywane przedtem osobniki, podstępnie przywłaszczające sobie prawo własności i dziedzictwo tych, co tymczasem za ojcowiznę swą — mowę swą i ziemię — stawali w potrzebie; pojawili się ludzie o giętkim wprzódy karku, którzy panoszyli się w opustoszałej dziedzinie i urządzaniem cyrkowych igrzysk kupowali sobie rozgłos wśród tłumu. »Rząd dusz«, o który trudem swojego żywota dobijał się był Mickiewicz, dostał się w ręce tych, którzy łudzili Polskę cudzemi błyskotkami, czyniąc z niej znowu pawia i papugę. Tradycja poezji prawdziwie polskiej się przerwała. W zgiełku trudno było się dopytać o drogę.

I jeszcze inna wrzawa pomnażała chaos. Wrzawa »potępieńczych swarów«, walk partyjnych i zacietrzewionego politykierstwa, nigdy prawie nie sprzyjająca rozwojowi poezji; słusznie uciekał przed nią niegdyś Mickiewicz. Plaga to zaraźliwa i zgubna; zdolni — piękną przeszłość mający — powieściopisarze, dramaturgowie, krytycy literaccy ulegli jej i talenty swoje pomarnowali dla spraw błahych, efemerycznych, nieistotnych. Niestety, nie brak i takich, którzy w tej właśnie abnegacji chlubę dla siebie upatrywali...

Lecz, prócz chaosu, wojna przecie przyniosła i nowe pierwiastki twórcze — boć sama stała się tematem. Pojawiło się (i jeszcze pojawia) sporo tęgich nowel i powieści, osnutych na jej tle; Małaczewski dobry dał początek, zaś Goetel (nie — tyle zagranicą sławny — Ossendowski) tchnął w swe przeżycia wojenne największy zasób swego samorodnego talentu — talentu, dla którego niestety złym prognostykiem są dwa ostatnie jego dzieła. Pęd podróżniczy, przyniesiony z »Wiatrem od morza« też już wywołuje utwory conajmniej ciekawe. Nowe, powojenne ustosunkowanie się warstw społecznych również bywa literacką podnietą; powieści obyczajowych współczesnych mamy jeszcze stosunkowo mało (Perzyński, Nałkowska, Choynowski) i są one przeważnie poświęcone warstwom inteligentnym — powieści i nowele o chłopach i robotnikach (Grzymała-Siedlecki, Gwiżdż, Dąbrowska), należą do rzadkości. Zjawiskiem prawie nowem są

nowele i powieści bio- i autobiograficzne (Kaden, Bandrowski, Zegadłowicz i inni). Nową treść w nowelę i powieść tchnął Grabiński.

Nie ożywiła wojna w wysokim stopniu twórczości dramatycznej poetów. Dziedzina ta opustoszała zapewne wskutek konkurencji kinematografu. Namnożyło się banalnych »lekkostrawnych» pigułek komedjowych, zawsze z etykietą francuską... a było to w czasie, gdy Żeromski w »Ponad śnieg« i «Turoniu« (nawet i w »Przepióreczce«) ukazywał narodowi nieuśpione jeszcze widma...

Liryka stała się zjawiskiem niemal nagminnem, jednak jeżeli gdzie, to tu właśnie rozpanoszył się z jednej strony snobizm, z drugiej system protekcyjny; poeci niewątpliwie mocno utalentowani (Wierzyński, a zwłaszcza Tuwim) znajdują adherentów i naśladowców, tuczących się ich dorobkiem i sławą, a niekiedy tworzących niejako spółkę wzajemnej reklamy; słyszało się i głosy, jakoby to oni właśnie byli pierwszymi (z wieku i urzędu) poetami na całym obszarze dziejów Polski. W tym to czasie w zacisznym domku podhalańskim pisał — prawie na łożu śmierci — swe genjalnie proste i skromne strofki Jan Kasprowicz... jeden z prawych dziedziców myśli, przez Mickiewicza poczętej, a wyrosłej i zagłębionej korzeniami w podłożu swoistej, rodzimej, polskiej kultury.

R o d z i m o ś ć jest pokrewna o r y g i n a l n o ś c i nawet z etymologicznego punktu widzenia (łacińskie *origo*). Prawda-ć, że kraj żaden, ani naród, tem mniej zaś prowincja lub grupa etnograficzna, nie jest jeszcze ostatecznym celem i wszystkiem dla człowieka; ponad wszelki patrjotyzm, lokalny czy nacjonalny, rzeczą o wiele wznioślejszą jest (jak dawno wiadomo z Ewangelij chrześcijańskich) miłość ludzkości całej i służenie jej pożytkowi.

Służyć całej ludzkości powinna i poezja. Jednakowoż tak pojęty uniwersalizm (nie chcę bynajmniej wszczynać dyskusji w sprawie tak modnego dziś hasła) nie powinien się wyradzać

w uniformizm, który, koniec końców, prowadzi do szablonu, mechanizacji, a tem samem do zabicia wszelkiej twórczości i oryginalności; cóż bowiem się stanie z poezją, gdy na jedno kopyto pisać będą wszyscy pisarze u nas i w Australji? Będzie to legalizacja powszechnego plagiatu, będącego przeciwieństwem poezji (*poiesis* znaczy: tworzenie). Mają więc głęboką rację bytu wszelkie regjonalizmy — a regjonalizmem jest również wyodrębnianie specjalnego, swoistego typu poezji polskiej, niemieckiej, angielskiej i innych; w ich — ciasnych może — granicach wypracowuje się bowiem twory odrębne, które mogą i mają służyć ludzkiemu *universum*. Chcąc dzwon utworzyć, nie leje się bronzu w ocean bezbrzeżny, lecz w wąską formę — a on i tak da o sobie znać szerokiemu światu swym dźwiękiem. Astronom, chcąc obserwować i opisywać zaziemskie przestrzenie świata, zamyka się w murach dostrzegalni — a i tak zobaczy więcej, niż człowiek biegający po wielkim placu; niech sobie mówi, kto chce o ciasnocie umysłu astronoma.

To też oparcia się o rodzimą podstawę — o tradycję, wierzenia, psychologję i przyrodę swego narodu i kraju — nie wstydzili się najwięksi twórcy polscy, którzy z niej właśnie dochodzili do wyżyn ponadludzkich i ponadziemskich. Z regjonalnych kręgów wyszła najpiękniejsza z kultur ludzkości — piastunka innych kultur — kultura grecka, która miłościwie przygarnęła do siebie całą ludzkość w tylu jej pokoleniach... Nie powinniśmy murem chińskim wyodrębniać się od innych kultur — owszem powinniśmy je poznawać (nietylko powierzchownie, ale i głębiej!) i przyswajać sobie to, co godne przyswojenia; jednakże powinniśmy też (i przedewszystkiem) korzystać z wielkich zasobów, tkwiących w nas samych, w bliższem naszem środowisku, w naszej glebie. Powinniśmy nawiązać przerwaną pracę i tradycję wielkiej poezji istotnie polskiej.

O zasobach tych — niewyzyskanych — pisał Żeromski w bezładnej może, ale rozumnej książce »Snobizm i postęp«. Omawiał tam doniosłe wysiłki polskich uczonych — historyków,

językoznawców (zwłaszcza najzasłużeńszych: Łosia, Nitscha, Brücknera, Rozwadowskiego) — wskazywał potencjalne czynniki, kryjące się w baśni ludowej — w etnologji — w dziejach naszych — w mowie naszej. Zasobów tych znacznie jest więcej. Umiejmy tylko — i chciejmy — je znaleść. Wierzmy w to, że poezja polska umie nietylko być echem cudzem, ale że umie też innym — swój ton nadawać!

Józef Birkenmajer

DZIAŁ SPRAWOZDAWCZY

BELETRYSTYKA, POEZJA, PRZEKŁADY

Stanisław Bąkowski: „Gawędy z Panem". Kraków 1926. — „Ścieżki ułomnych". Kraków 1926. — „Oczy godzin". Poznań 1927.

Wiersze Bąkowskiego — szorstkie i zgrzytliwe — mają odrębną wymowę, choć w treści dadzą się uchwycić gdzieniegdzie może oddźwięki Zegadłowicza, Kasprowicza i dawniejszego od nich Syrokomli, — jednakże „Gawędy" owe, czy to z Panem, czy też z ludźmi — ślepcem, niemym i głuchym — wydarte są naprawdę z głębi duszy (a głębi jest w nich sporo). Obok mocno pierwotnej brutalności spotykamy w nich (zwłaszcza w „Ścieżkach ułomnych") subtelne wyczucia rzeczy, niespostrzegalnych dla ogółu ludzi, choćby mieli wzrok, słuch — i gładką mowę. *J. Birk.*

Piotr Choynowski: „Młodość, miłość, awantura". Gebethner i Wolff 1926.

Tytuł jest jakby sylogizmem: młodość i miłość są przesłankami, awantura konkluzją. Młodość tu nietyle „wylatuje nad poziomy", ile rozbija się po świecie, bo szeroką naturę ma urodziwy Rosjanin („i z Paliakow") Lewicki, anarchista nietyle z przekonań, co z usposobienia. Sekunduje mu przez czas jakiś („o tyle, o ile") Tadeusz Brzeski, spotykając się z nim wśród dziwnych okoliczności — to w Szwajcarji, to na okręcie, wiozącym żołnierzy rosyjskich, to na Ukrainie (gdzie Lewicki jest atamanem), to w Moskwie bolszewickiej. Wypadki wojenne i rewolucyjne, przesuwające się w żywem tempie, mają cechy istotnego przeżycia; jedynie ofensywę brusiłowską mylnie umieszczono — po rewolucji. Z licznego zastępu figur drugorzędnych plastycznie nakreślone zostały zwłaszcza dwie: chama Pietrowa i szofera Jegora. *J. Birk.*

Marja Dąbrowska: „Ludzie stamtąd". Cykl opowieści. Warszawa 1926. Wydawnictwo J. Mortkowicza.

Pod koniec książki, zatytułowanej „Uśmiech dzieciństwa" — w no-

welce „Piosenka“ — Marja Dąbrowska odnalazła dla siebie nową, a właściwszą dziedzinę twórczości. Wyszedłszy z dziecięcego pokoiku na podwórzec dworski, przyjrzała się doli-niedoli dziwnego społeczeństwa, składającego się z dziewuch, bab starych, fornali, pastuchów, a także i psów i bydła. W opisywaniu tego życia dwóch miała poprzedników, ale od obu różni się sposobem ujęcia rzeczy; Bartkiewicz patrzył na podwórze z ganku dworskiego, Wiktor z punktu widzenia najniższego z proletarjuszów: psa podwórzowego. — Dąbrowska stanęła pośrodku, koło czworaków czeladnych. „Ludzie stamtąd“ — to jedna gromada, jedno jakoby koło tych samych osób (Maryna, Słupecki, Dionizy i i.) tylko, że jak w jakimś tańcu — smutnym zresztą, nie hulaszczym — to jedna, to druga osoba (lub para) naprzód się wysunie ze śpiewką o swem życiu, a inne tylko jej wtórują pomrukiem lub przytupywaniem. Dlatego książka ta, w treści swej bardzo spoista i symetryczna, słusznie została nazwana nie z b i o r k i e m n o w e l, ale c y k l e m (kręgiem) opowieści — możnaby ją nazwać i powieścią. Język — nawet w gwarze ludowej — wprowadza autorka odrębny, nie mający dotąd wzoru w literaturze, conajwyżej spokrewniony nieco z językiem wczesnych nowel Reymonta, do których ponadto zbliżają się „Ludzie stamtąd“ surowym — często brutalnym — realizmem, a niekiedy i szczegółami. *J. Birk.*

J u l j a n E j s m o n d: „Bajki“. Nakładem autora. 1927.

Utarło się przekonanie (w podręcznikach literatury i w głowach uczonych), że bajka jest już rodzajem literackim skostniałym, który nie może dać nowych wątków nad te, które przekazał nam Ezop i jego kolejni plagjatorowie, z Fedrusem i Lafontaine'm na czele; mogą być rzekomo tylko różne formy opracowania (epigramatyczna, charakterologiczna, lub też gawędziarska...), ale treść bajki i typy jej osób muszą być stereotypowe. Pogląd taki mógłby mieć pewne uzasadnienie w tem, że człowiek nowoczesny coraz to bardziej zrywa bliskie pożycie ze zwierzęciem: dziś można spotkać ludzi, którzy nie widzieli innego ptaka jak wróbla (gęś i kurę tylko czasami na półmisku), za lat sto do mitologji przejdzie koń-zwierzę, wyrugowany doszczętnie przez konie parowe i motory. Niemniej jednak powyższy pogląd historyków literatury uważać należy za mylny: że ludzka inwencja czasem za leniwa jest na wysiłek w dziedzinie bajki, nie wynika stąd, by nikogo nie było stać na nowe pomysły. Dowodem tego literatura polska, która ma nietylko Krasickiego (Trembeckiego przechwalono niezasłużenie), ale niedocenionego w tym względzie Mickiewicza i Lemańskiego. Ci wyrażają odrębny typ bajki polskiej — pierwszy stworzył bajkę dowcipnych kontrastów (mówię o pierwszym tylko zbiorze jego bajek, bo drugie są nieoryginalne, Lafontainowskie), następni — bajkę kalamburów, opartą na rodzimych przysłowiach, dwuznacznikach... i stosunkach, zwłaszcza politycznych. Ejsmond, niegdyś wydawca antologji bajek polskich, przeszedł w tej dziedzinie dobrą szkołę, więc dowcipem włada zręcznie. Tematu dostarczyły mu w obfitości stosunki dzisiejsze, zwłaszcza panujące w biurokracji; w polityce poeta stara się być neutralny. Myśliwskie upodobania Ejsmonda dały mu ponadto możność zasilenia bajki nowemi, jeszcze niewyświechtanemi szczegółami z życia zwierząt.

J. Birk.

Józef Al. Gałuszka: „Gwiazda komandorji". Gebethner i Wolff 1925.
— „Ludzie bez twarzy". Gebethner i Wolff 1927.

W poezji Gałuszki zaczął się zwrot: autor „Uśmiechów Boga" narzucił sobie — niewiadomo czy jako wewnętrzną konieczność — motywy urbanistyczne o tonach przeważnie posępnych, boleściwych. Jednocześnie zaczął wyrabiać sobie formę rytmiczną, polegającą głównie na onomatopejach. Dała ona pewne efekty w „Szarży ułańskiej", „Ahaswerach" i w innych. Autor traci jednak często umiar i prostotę, to też nie wszystkie utwory są jednakowo przekonywujące, a za często pretensjonalne. *J. Birk.*

Stefan Grabiński: „Salamandra". Poznań—Lwów. Nakład Wydawnictwa Polskiego 1925.
— „Cień Bafometa". Lwów. Zakład Nar. im. Ossolińskich 1926.

Dwie pierwsze powieści Grabińskiego świadczą, że autor jest z powołania przedewszystkiem nowelistą; w czasie ich lektury wydaje się nam zrazu, jakoby akcja pozbawiona była spoistości i stanowiła szereg luźnych epizodów, z których każdy tworząc sam dla siebie samoistną całość, zamyka się w jednym rozdziale — rzecby się chciało: w jednej noweli — i dopiero pod koniec spostrzegamy, że niemal wszystkie nici, napozór rozbieżne, zawiązują się (i to zgoła nieoczekiwanie) w jeden silny węzeł, spostrzegamy, że założenie całego dzieła jest jednolite i to nawet nader proste. Epizodem istotnie luźnym jest tylko w „Cieniu Bafometa" pierwsza połowa „Pamiętnika Tad. Wrześniana", coś w rodzaju parabazy, gdzie autor sam od siebie wypowiada parę słów gorzkiej prawdy swym dotychczasowym krytykom. Ta polemika jest wtórem głębszego konfliktu dwu prądów: materjalizmu i mistycyzmu, reprezentowanych przez ministra Praderę i poetę Pomiana. Tajemna władza Zła, która w osobie „Salamandry" triumfowała tylko nad jednostką, w „Cieniu Bafometa" triumfuje chwilowo nad masami ludu, skupionemi w ascetycznej procesji. Wprowadzenie bocznych scen zbiorowych i szeroko pomyślanych kompozycyj — to nowa zdobycz talentu Grabińskiego, który ponadto dał szereg nowych i niezwykłych pomysłów; pewne pomysły jednakże zaczynają się już powtarzać, zwłaszcza owo tajemnicze znikanie domu, który był widownią najbardziej intrygujących zderzeń (w „Salamandrze" dom Wierusza, w „Cieniu Bafometa" dom Kuternóżki), co już spotykało się w nowelach Grabińskiego. *J. Birk.*

Ferdynand Goetel: „Z dnia na dzień". Nakład Gebethnera i Wolffa 1926.

Paralela dwóch opowiadań: jedno o zdarzeniach przeszłych, drugie o współczesnych; jedno ujęte w formę powieści, drugie w formę pamiętnika. Ale oba wiążą się z sobą — i to ściśle — „tematem bliskim a niepokojącym", oba uzupełniają się wzajemnie nićmi zdarzeń (tragedja Marusi); co więcej, wspólną mają zarówno metodę pisania, jak i myśl przewodnią. I powieść i pamiętnik pisane są „z dnia na dzień", stanowiąc dla siebie wzajemne intermezza; „z dnia na dzień", bez oglądania się na jutro, żyją prawie wszystkie występujące tu osoby — zarówno w pożodze czasów wojennych, jak i w gwarnym toku lat powojennych. Pamiętnik

obfituje w uwagi krytyczne i spostrzeżenia dotyczące powieści; to ustosunkowanie się autora do własnego dzieła przypomina nieco „Pałubę“ Irzykowskiego z tą jednak różnicą, że u Goetla te autorecenzje nie są celem utworu. *J. Birk.*

Artur Górski: „Śluby“. Dramat. Nakład Księg. Św. Wojciecha 1927.

Z trzeciej części „Dziadów“ i z „Kordjana“ poczęty to utwór — dramat — nie-dramat. Jeszcze jedno pytanie — bolesne i dogłębne — rzucone w sprawie męczeństwa Polski pod władzą caratu... Pytanie, które dziś brzmi tylko jak echo... „Niepoprawni romantycy“ — określa jedną z osób dramatu generał-gubernator rosyjski. Ale słowo i pojęcie „romantyzmu“ — tak przez niektórych oplwane — różne miewało znaczenie dla różnych ludzi; bywali i tacy, dla których było ono złotym kielichem — nietylko sztuki jubilerskiej — ale i krwawej, a tem samem żywotnej, ofiary Przeistoczenia: do takich należy i Górski. Z licznych postaci dramatu najsilniej do czytelnika — czy widza — przemówić powinna wzniosła postać cierpiętnicy — Joanny. *J. Birk.*

Juljusz Kaden-Bandrowski: „Miasto mojej matki“. „W cieniu zapomnianej olszyny“. „Europa zbiera siano“. — Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich.

Twórczość Kadena-Bandrowskiego była w swoim czasie zanadto o-barczona — zarówno pod względem stylu, jak i treści. W samą więc porę przyszła odmładzająca kuracja woronowska, w postaci dwóch tomików wspomnień o latach dziecinnych. Choćby i prawdą było, co zdarzyło mi się słyszeć, że natchnieniem obu książek były feljetony starszego Bandrowskiego, drukowane przed laty w jednem z pism lwowskich, jednakże niepospolite walory tej Kadenowskiej „Dichtung und Wahrheit“ są niewątpliwie własną zasługą jego talentu — i jego życia; bo dobrze bywa, gdy twórca czerpie z tego, co naprawdę przeżył (nietylko widział lub jedynie słyszał) — utwór jego sięga wówczas w głąb, zarówno plastycznie jak i ideowo, a jednego i drugiego pogłębienia nieraz przedtem brakło utworom Kadena. Odbiło się to odświeżenie tematu dodatnio i na stylu, który w znacznej mierze wyzbył się dawnej — zapewne oryginalnej, ale niezawsze odpowiedniej, chropowatości. Liryczna nuta w „Kukułce“ będzie budziła oddźwięk w duszy czytelnika pod każdym „znakiem czasu“ — boć efemeryczna bywa wszelka aktualność (zwłaszcza w powieściach), ale ból ludzki jest nieśmiertelny. Niepotrzebne są dygresje — „refleksyjne“ czy nie „refleksyjne“, w każdym razie retoryczne i kaznodziejskie; przypominają one gwałtem czytelnikowi, że zajęciem autora była swojego czasu publicystyka. Ten sam ton — od którego Kaden, o ile ceni swój talent, odstąpić stanowczo powinien — brzmi w impresjach wojażerskich (nie podróżniczych!) p. t. „Europa zbiera siano“. Oj, siano, siano! — głosi pieśń staroświecka... Są może tacy, dla których stanowić ono będzie obrok duchowny, we mnie jednak obudza jeno — senność. Takie czuło-szumne deklamacje o Weimarze i Goetem (ze sporą jednak dozą trafnej ironji) czytałem już przed laty w „Listach“ śp. A. E. Odyńca. Spotykamy tu — na innem miejscu — i drugą „rozmowę umarłych“ ze Słowackim, i trzecią — z Conradem; niestety Kaden to nie Lukjan. Zadużo tego patosu i taniej

grandilokwencji! Takie to... baniaste, jak ten Panteon, do którego autor w przystępie szczerości — choć skromnością jej nie nazwę — przyrównywa swą zasługę. Zasług nie odmawiam — talent Kadena-Bandrowskiego jest nieprzeciętny — jednakże sądzę, że pisarze, którzy dźwigają na sobie brzemię sławy, nie powinni się pod brzemieniem tem — zniżać wdół. I powinni też wsłuchać się w siebie samych i rozważyć, co w nich naprawdę jest oryginalne, słuszne i trwałe.

J. Birk.

Jan Kasprowicz: „Mój świat, pieśni na gęśliczkach i malowanki na szkle". Warszawa 1926. Instytut Wydawniczy Bibljoteka Polska.

Pierwszy z naszych wielkich poetów, przed czterema prawie wiekami, z dumą o sobie pisał, że „wdarł się na skałę pięknej Kaliopy, gdzie dotychczas nie było śladu polskiej stopy". O twórcy „Hymnów" można powiedzieć, że wdarł się na wyżyny, gdzie przez długi czas po nim (obym fałszywym był prorokiem!) nie postanie stopa drugiego poety polskiego.

Ale „Hymny" — to nie suma wypowiedzeń się twórczych Kasprowicza. Miał on — jak przed nim Mickiewicz — chwile, gdy „wolniej o struny uderzał i z hymnu zstępował do prostej powieści". Doszedłszy w „Chwilach" do złagodzenia bólów i zwątpień, szarpiących mu duszę, Kasprowicz — a było to w czasie, „kiedy reszta świata we krwi i łzach tonęła" — napisał „Księgę ubogich", przedziwny poemat miłości ku światu całemu — ludziom i przyrodzie. Dalszym ciągiem, jakby drugą „Księgą ubogich" jest ostatni zbiorek poetycki Kasprowicza, zatytułowany „Mój świat".

Zbiorek ten możnaby nazwać drugą „Księgą ubogich" także i dlatego, że główną rolę w niej odgrywają zastępy „ludzi ubogich" — jakże pokrewne „Powsinogom beskidzkim"! Są tu więc druciarczyki, pastuszkowie, dziady kalwaryjskie i najbiedniejsi ze wszystkich — „baraby", robotnicy miejscy; są cyganie i złodzieje... jest stary warjat Misiaga, jest niedorajda Kubańczyk, jest kobziarz Mróz i świątkarz Wojciech Dłuto, kum Wowrowy; jest i zakrystjanin Palica, co świątków okurzał, Panjezusowi brodę na święto golił i ze świętym Franciszkiem rozmawiał...

W tych pieśniach — prostych, gęślikowych — nieraz odzywa się przeczucie rychłej śmierci... przeczucie jakże rychło spełnione!... Jakże wiele ucichło z tą pieśnią!... „Wracamy z jego pogrzebu weselni grajkowie niezdarni!"... *J. Birk.*

Wanda Miłaszewska: — „O złoty włos". Powieść. Nakład Księgarni św. Wojciecha. Poznań 1927.

— „Zatrzymany zegar". Powieść. Ibid. 1926.

Obrazki miłe, prawie zawsze pogodne, nie naginające się do panującej mody takiej czy owakiej. Autorka lubi przebywać w nastrojach epoki nieco dawniejszej — rzekomo szczęśliwszej i lepszej, jak to już nieraz mówiono od wieków. Stara Balbina jest już może ostatniem literackiem wspomnieniem czaru owego środowiska, które niegdyś *con amore* opisywała np. Orzeszkowa. Nawet ta „powojenna" powieść, kusząca złotym włosem „pani Ryśki", ma przecie swoją Marychnę, wprawdzie nie Połaniecką, ale Halicką; oddać ją wszakże można za jej młodszą siostrę „Wandzię, co pisze pamiętnik".

J. Birk.

Zofja Nałkowska: „Romans Teresy Hennert".
— „Choucas". Powieść internacjonalna. Gebethner i Wolff.

Autorka nazwała jedną rzecz romansem, drugą — powieścią, jakby chcąc wskazać różnicę w natężeniu akcji obu utworów; właściwie jednak obie nazwy niezupełnie są ścisłe, zwłaszcza jeżeli pierwszą z nich weźmiemy w znaczeniu potocznem, jako nazwę powieści o zawikłanej intrydze miłosnej. Akcja bowiem sama, o ile przez nią rozumieć będziemy obfitość i rozmaitość wiążących się z sobą wypadków, jest w obu dziełach nader prosta — i nie o nią to, zdaje się, autorce przedewszystkiem chodziło. Albowiem szczególnie uderza nas wielka rojność i różnorodność osób, wśród których czasem niewiadomo którą nazwać „główną" (np. w „Romansie" taką osobą główną zrazu wydaje się Gondziłł, nie Omski), gdyż scharakteryzowane tęgo są wszystkie. Wskutek tego szerokiego rozpięcia tła (choć na niewielkiej przestrzeni) obie książki stanowią jakby minjaturowy obraz społeczeństwa powojennego: — specjalnie polskiego w „Romansie", kosmopolitycznego w „Choucas". I rzecz ciekawa: w pierwszej z tych książek autorka częściej dawała wyraz odrazie, w drugiej — współczuciu... *J. Birk.*

Artur Oppman (Or-Ot): „Poezje". Tom I. Stare Miasto. Tom III. Pieśni o sławie. Wydanie zupełne. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Artur Oppman był przed laty jak jego legendarny imiennik, królem Okrągłego Stołu wzajemnej adoracji — stołu tak okrągłego, że formą zbliżonego niemal do zera; w każdym razie przyznać należy, że był w tem kole jedynym zdolnym poetą, szkoda tylko, że wkońcu własnowolnie zdegradowanym na stanowisko składacza powinszowań i wierszyków okolicznościowych. Dziś, gdy się twórczość jego już zamknęła, urządzono pokaz jej muzealny — czy też, jak kto woli, retrospektywny, — inicjując zbiorowe (pewno jubileuszowe) wydanie oppmanowskich „Poezyj".

Zaczęto od najlepszego zbiorku, który jest głównym tytułem sławy Or-Ota, — od „Starego Miasta". Przebarwna to książka i żywego sentymentu pełna. Zaludniły ją przemiłe postacie: cechmistrz Halabarda, szewc Onufer, Maciejowa z Bartłomiejem, ksiądz kanonik Kropidło, rotmistrz Jacek Cholewa i tylu innych... Wszystko przeważnie typy wymierające lub już wymarłe — i tylko w tej poezji jeszcze żywe. Ba, życie tu mają nawet te mury, zmurszałe często i brudne, na które poeta patrzy okiem miłującego dziecka. I nawet nas to nie razi, że gawędziarski ton, tak nieraz przypomina Pola i Syrokomlę; nawet to, że zdarzają się liczne powtarzania tych samych motywów; ten tomik utworów młodego niegdyś Or-Ota zdolen jest nas — dzisiaj młodych — jeszcze zająć i rozrzewnić, jak gadulstwa starego, kochanego dziadunia. Natomiast powiedzieć tego nie można (mimo całej czci i uznania dla zawartych tam uczuć) o zbiorku „Pieśni o sławie". Książka to dla ludzi starszych — dla zeszłego pokolenia, które żywiło się poezją krwawą i łzawą, pozostałą z dziedzictwa trzech wieszczów. Dziedzictwo to wycisnęło silne znamię na patrjotycznych pieśniach Or-Ota. Nieraz tu powtarzają się myśli, słowa, ba, całe wiersze z Mickiewicza, Krasińskiego, a zwłaszcza Słowackiego; weźmy dla przykładu taką „Świętą Helenę", która powtarza (nb. obok Lermontowskich) moty-

wy znanego wiersza „Na sprowadzenie zwłok Napoleona", albo taki „Koncert Chopin'a", stanowiący silne echo (choć mniej niewolnicze niż „Mochnacki" Lechonia) „Koncertu Jankiela". *J. Birk.*

Stanisław Przybyszewski: „Moi współcześni". Wśród obcych. Bibljoteka Polska 1926.

Jest to dopiero część pierwsza zamierzonego dzieła; część druga miała objąć okres życia i twórczości Przybyszewskiego po r. 1898. Rok ten jest datą przełomową dlatego, że w nim to Przybyszewski zaczął pisać po polsku, co więcej, stanął na czele polskiego pokolenia literackiego. Tytuł cz. I. „Wśród obcych" po części tylko jest uzasadniony, bo w pierwszych rozdziałach opowiada autor nietylko o ziemi swej rodzinnej — kujawskiej — ale i o „swoich współczesnych" rodakach (Kasprowicz, Rabski i i.). Zresztą i tam, gdzie opisuje swój „Sturm und Drang" w Niemczech i Skandynawji, wspomina i o tem, jak „Dusza i na dniu i w nocy wyrywała się do Kujaw lub na Pałuki, do wągrowieckich jezior — nad Gopło i Noteć, Wełnę i Durowskie jezioro"... I ciekawe jest to wyznanie: „Ja wiem, że język do tego stopnia opanowałem, jak żaden z Polaków przedemną — to śmiało mogę twierdzić — nigdy nie doszedłem do tego, by po niemiecku myśleć: wszystko, co w niemieckim języku pisałem, było tylko niesłychanie szybkiem tłumaczeniem polskiego tekstu — tego wszystkiego, com w polskim języku myślał".

Księga cała jest nietylko pamiętnikiem — jest to w bogactwie szczegółów wprost dokument (może ostatni i ostateczny) zamkniętego już okresu literatury światowej... u nas zwał się on Młodą Polską. Jednakowoż głęboka nuta serdeczna, przenikająca zarówno wątek historyczny, jak i dygresje (o satanizmie, gotyku etc.) czyni z rzeczy całej prawdziwy utwór poetycki — jeden z najlepszych, jakie napisał Przybyszewski *J. Birk.*

Wł. St. Reymont: „Bunt", „Baśń". Nakład Gebethnera i Wolffa 1925.

Powieść ta ma dwa kapitalne momenty, w pewnej mierze sobie odpowiadające: jeden, gdy półgłówek Niemowa przedmiotem swych uczuć czyni lalkę; drugi — gdy przeciw człowiekowi zbuntowane zwierzęta, chcąc kres położyć bezhołowości, oddają cześć małpie, „uczynionej na podobieństwo" człowieka. Dla tych dwóch momentów, pełnych oryginalnej ironji, warto było napisać powieść; przyznać też należy, że „Bunt" jest pod każdym względem dziełem lepszem od utworów bezpośrednio go poprzedzających („Księżniczka"): — jest w nim moc zamaszystych, soczystych zwrotów, które zasługują na to, by wejść w przyszłość, są też i epizody doskonałe w barwie i ruchu (wymarsz zbuntowanych zwierząt). Mimo wszystko jednak „Bunt" nie należy do najlepszych dzieł Reymonta. Charakterystyka postaci zwierzęcych jest blada, czasem wprost konwencjonalna; główny bohater, Rex, przedstawiony jest pod względem „psy-chologicznym" bardzo niekonsekwentnie (jednocześnie bywa tchórzem i zuchwalcem itp.); druga wybitna „osoba", wilk Kulas, jest poprostu kopją Kiplingowego tygrysa Shere-Khana. *J. Birk.*

Tadeusz Rittner: „Most". Powieść. Inst. Wyd. Bibljoteka Polska 1926.

Autor „Głupiego Jakóba" wziął pod obserwację znów Jakóba, tym razem mądrego, tak mądrego, że aż przemądrzałego — — dziecko, co „nie hasa na kijku, nie bawi się lalką, nie kradnie łakoci, nie oble-

wa łzami wszystkich liter od A do Z". Nie jest to jednakże sobowtór Orcia. Nie na poetę-snowidza się wychowuje, lecz na inżyniera — — i za przykładem swego przyjaciela-inżyniera (i więcej niż przyjaciela — mogłaby o tem powiedzieć coś niecoś Jakóbowa matka Eugenja), myśli o przedmiotach „trzeźwych", „suchych", „ścisłych": o elektrotechnice itp. Jednakże ta właśnie „trzeźwość" i „ścisłość" wiedzie go na bezdroża wybujałej fantazji. Nie zdołał Jakób „przejść" na drugą stronę mostu, który miał połączyć odległe części świata — przeszkodą stała się przysłowiowa „dziura w moście", a raczej w umyśle chłopca. — Natomiast autor sam wyszedł zwycięsko z wszelkich komplikacyj technicznych swej powieści; konstrukcja „Mostu" jest sumiennie przemyślana od najdrobniejszego szczegółu. J. Birk.

K. H. Rostworowski: „Antychryst". Tragedja w trzech aktach. Lwów — Poznań. Nakładem Wydawnictwa Polskiego 1925.

W „Judaszu" i „Kaliguli" — najwspanialszych dramatach, jakie pojawiły się w Polsce od śmierci Wyspiańskiego — Rostworowski podejmował wątki starożytne, by następnie poprzez „Zmartwychwstanie", a poniekąd przez „Miłosierdzie" i „Straszne dzieci", przybliżyć się ku współczesności. Jednakowoż ów pochód dzieł ma jeszcze inne znaczenie: oto pierwsze z nich były dramatami jednostek, występowały w nich wprawdzie tłumy, ale tylko w charakterze reżyserskiego akompanjamentu; późniejsze dramaty biorą już za treść zagadnienia ogólniejsze, dotyczące społeczeństw i narodów. W tym sensie jest to gradatio a minore ad maius. Natomiast — niestety — wprost odwrotną gradację odbył tymczasem wielki talent poety, gdyż „Antychryst" — mający treść rozleglejszą, bo narodowo i międzynarodowo-społeczną — nie dosięga poziomu artystycznego „Miłosierdzia". Szkoda, niezmierna szkoda, bo w samym dramacie są miejscami potencjonalne zasoby, które mogłyby go postawić obok „Nieboskiej" Krasińskiego i „Ponad śnieg" Żeromskiego. Obóz rewolucyjny (snać autor nie widział go nigdy zbliska) przedstawiony jest stereotypowo; jedynie w dramacie jednostki (choć tym razem nie on był ponoś osią zamierzeń Rostworowskiego) są momenty wstrząsające nieco silniej — mówię o hamletycznej sytuacji lokaja Józefa.

J. Birk.

Wacław Sieroszewski: „Miłość Samuraja". Warszawa 1926. Nakł. Tow. Wydawn. „Rój".

Literatura japońska jest bogatą skarbnicą legend, baśni i romansów, często bardzo dawnych, które powinny kiedyś w Polsce znaleźć godnego tłumacza. Cieszyć się więc należy, że jeden z tych romansów (z XVII w.) opracował tak świetny pisarz i tak świetny znawca Wschodu, jakim jest Sieroszewski. Tytułowym samurajem jest „ronin" (błędny rycerz) Gompaci, zostający pod klątwą krwawej vendetty, a jego miłością urocza Komurazaki, imienniczka bohaterki — jednej z nowel Reymonta. Powieść cała — czy przeróbka powieści — tchnie urokiem romantycznym. Język jej jest subtelny, pieściwy, melodyjny, do czego niemało przyczyniają się wtrącone tu i ówdzie wyrazy i zwroty z pięknej mowy japońskiej. Gdzieniegdzie trafiają się rusycyzmy, np. stałe używanie „a to" zam. „w przeciwnym razie". Strukturę powieści psuje nieco, przydługie opowiadanie Sanzy. *J. Birk.*

W a c ł a w S i e r o s z e w s k i: „Dalaj-lama“ (2 tomy). Inst. Wyd. Bibljoteka Polska 1927.

Krwawa fala rosyjskiej rewolucji załamuje się o rubież tajemniczej Mongolji, krainy „Białego Boga“, — wyrzucając na tamten brzeg szczątki ludzkiego mienia i garstkę rozbitków. Przed rozszalałą czernią ucieka dwoje ludzi, brat z siostrą, ma się rozumieć Polacy; o n a przebrana, ponieważ autor jednak nie uczynił jej — niemową, stąd nieraz nie chce nam się wierzyć, że jej przez czas tak długi po głosie nie poznano. Ale wkońcu poznano — i ratuje ją tylko wszechmocne „Om-mani-padme-chum“ — przerobione przez przybłędę — Maćka na „Omani-podmuchuj“. To słówko magiczne przywodzi nam na myśl F. A. Ossendowskiego, a jest tu i Urga i Ulaszutaj i sam „krwawy baron“ Ungern v. Sternberg, a nawet żywy Budda. Najwięcej zaciekawiającej treści zawierają stronice, na których mowa o zakulisowch sprawach klasztorów lamaistycznych, gdzie więziona była przez czas pewien owa Polka, uważana za „Białą Darichu“. W barwnie przedstawionym obozie mongolskim wybijają się postacie starej Geriltu oraz młodego Szagdura, nakreślone z doskonałą pewnością rysunku. Mniej szczęśliwą figurą w powieści jest np. spadły z samolotu Domicki (po „Urodzie życia“ druga to katastrofa lotnicza w naszej literaturze!).

J. Birk.

L e o p o l d S t a f f: „Ucho igielne“. Warszawa 1927. J. Mortkowicz.

Tytuł ewangeliczny — i treść przeważnie ewangeliczna; już to samo czyni nam ten tomik niezmiernie bliskim. Niewszędzie poeta umiał się zdobyć na ewangeliczną prostotę, dlatego też nieraz zaprawdę przeciska się przez ucho igielne w drodze do Królestwa niebieskiego. Śnił niegdyś Staff o potędze — dziś tę potęgę zdobywać zaczął, przejęty duchem pokory i Bożej miłości; bo po dary Boże nisko się nieraz schylać należy, by z ziemi je podjąć; by dojść do Boga, chociaż On tak bliski, trzeba przejść światy całe — choćby w męce i utrudzeniu. O tych mękach i utrudzeniach człowieczych wciąż tu słyszymy — najwymowniej w wierszach „Idą gościńcem“ i „Chory w poczekalni“; jednakże strofy te brzmią tylko skargą, nigdy rozpaczą, boć mają za wzór skargę, jaką niegdyś rozbrzmiewał ogród Gethsemani. Wkońcu ton ten się scisza, odzywają się i nuty nadziei, ukojenia, prawie radości. Sześć części tej księgi — to jakby kolejne tony wielkiej gamy, idącej coraz w górę. Tonem siódmym i ostatnim dźwięczą utwory końcowe, poświęcone — zmarłym: Wyspiańskiemu, Żeromskiemu, Kasprowiczowi... trzem wielkim, z których pierwszy był prologiem, ekspozycją wielkiego dramatu ducha polskiego, drugi — punktem najwyższego napięcia tragizmu, trzeci — epilogiem akcji i triumfem dramatycznej idei. Staff po przebyciu trzech jakby faz psychologicznych, znalazł się wkońcu na śladach ostatniej drogi Kasprowicza. *J. Birk.*

A n d r z e j S t r u g. „Pokolenie Marka Świdy“. Wacław Czarski i Ska. Warszawa 1925.

„Jego marzenie, jedyne dzieło żywota — powieść o Polsce“... Takie słowa spotykamy na którejś (bodaj że 400-nej) stronicy tego dzieła Strugowego, opowiadającego o pokoleniu (jak tam ktoś cytuje za Mickiewiczem) „narodzonem w niewoli, okutem w powiciu“, a noszącem ślady tego okucia na-

wet po odzyskaniu wolności. Tło powieści z natury rzeczy musi być szerokie, obejmując wiele lat i wiele typów ludzkich, to też nic dziwnego, że akcja niekiedy rozlewa się w epizodach, niekiedy zaś operuje nadmiernemi skrótami; nazwa „kroniki", którą Strug nadał jednemu z dzieł swych poprzednich, byłaby zapewne i tu stosowna. Jednakże w epizodach znajdujemy nieraz rzeczy, które u innego pisarza mogłyby być zaczynem całej powieści lub przynajmniej noweli (np. pyszna sylwetka majora Muchinki); z tłumu postaci, które przewijają się przez powieść, niejedna ma fizjognomję wyrazistą i konsekwentną — tyczy się to zwłaszcza kolegów szkolnych Marka. Sam Marek, tworzący z bratem swym hreczkosiejem kontrast, podobny poniekąd kontrastowi dwóch mickiewiczowskich Sopliców, lub dwóch braci Strawińskich z „Listopada", nosić ma w sobie — jak autor pono zamierzał — wszystkie charakterystyczne cechy człowieka, stojącego na rozdrożu epok; jest coś z epigona romantyzmu w tym niedoszłym literacie, co życiem swojem pisał powieść (niezupełnie może jeszcze skomponowaną) o wiele lepszą od utworów pióra. Powieść literacką o Polsce napisał dopiero drugi Marek Świda, przedstawiciel młodej generacji — tej, którą stryj jego obserwował bawiącą się w alejach parku Ujazdowskiego.

Nicią czerwoną, która powieści Struga daje najsilniejszy węzeł „intrygi" oraz ostateczny drogowskaz, jest stosunek Marka do rotmistrzowej Goślickiej; rozdział opowiadający o pobycie ich dwojga na mógiłce Goślickiego (podobny nieco w pomyśle do jednego z rozdziałów w „Wietrze od morza" Żeromskiego) jest bodaj najlepszy w powieści.

J. Birk.

Józef Weyssenhof: „Mój pamiętnik literacki". Nakład Księgarni św. Wojciecha. Poznań 1926.

Z całą słusznością chwali się autor „Puszczy", że ma w sobie sporą dozę samokrytycyzmu. Z sądów krytyki, poświęconych jego dziełom, a cytowanych tu często, prawie zawsze najtrafniejszy i najbezstronniejszy bywa — jego własny. Weyssenhof zdaje sobie dobrze sprawę, które dzieła jego były lepsze, które gorsze — do wad „Cudna i ziemi cudeńskiej" czy „Nocy i świtu" przyznaje się szczerze, bez fałszywej skromności, jedynie tłumacząc ich powstanie (dzieł i błędów) względami innemi, zdaniem jego, ważniejszemi. Najwięcej miejsca poświęcił — zupełnie słusznie — najlepszemu ze swych dzieł: „Podfilipskiemu". Cały Pamiętnik ma charakter poufałej gawędy z czytelnikami, zwłaszcza tymi, którzy w „Sobolu i pannie" i „Puszczy" widzieli nietylko dzieła literackie, ale i przedmiot swego ukochania. W epilogu „Puszczy" — owej przecudnej opowieści o śmierci Moroza — niestety zamknęła się wielka twórczość Weyssenhoffa... „duszu ubył" — duszę swej poezji zabił niezrównany śpiewak kniej. Ale została mu jeszcze klasyczna piękność polszczyzny, staropolska swada i wielka serdeczność, które sprawiają, że „Pamiętnik" — mimo pewnej niekiedy pobieżności szczegółów — czyta się z przyjemnością. Dygresje (o muzyce, stylu pisarskim itd.) stanowićby mogły osobne feljetony, w rodzaju tych, jakich kilka zamieścił autor na końcu książki; widać z nich nietylko żyłkę, ale i zacięcie publicystyczne. Jednakże człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi. W Weyssenhoffie publicysta zabił powieściopisarza!

J. Birk.

Stefan Żeromski: „Puszcza jodłowa". Warszawa. Tow. Wydawnicze 1926.

„W uszach moich trwa szum twój, lesie dzieciństwa i młodości, choć tyle lat nie dano mi go słyszeć na jawie!" Tak się zaczyna czarowna gędźba tęsknoty do stron rodzinnych — najczarowniejsza od czasów „Pana Tadeusza" — łabędzia pieśń Żeromskiego, nazwana przezeń „Puszczą jodłową". Puszcza bowiem — którą Mickiewicz obdarzał tak słusznem mianem matecznika — puszcza macierzyństwem i macierzyńską opieką zasobna była kolebką twórczych natchnień Żeromskiego. Tu (jak sam pisze) był, niby Mickiewiczowski „błahy strzelec" — „największym, bo jedynym na całe góry Świętokrzyskie poetą, udającym myśliwca i rybaka". Tutaj wiatr naszeptywał mu powieści o dawnych czcicielach Pośwista, o królewiczu Emeryku, benedyktyńskich eremitach, o biskupie Bodzancie, któremu szum jedli wywodził pieśń niezmierną „o przepotędze i zuchwałych żądzach młodości i zgniłej rozpaczy starości, o pasjach i furjach ducha rozszalałego". Wołały go te jedle „ku modlitwie, lecącej w niebo, gdyż przesmutnem wzdychaniem swojem trwogę poznania wszechrzeczy rzucały w jego sumienie. Wspominały mu lata minione, odpłynione, których nie wróci nikt, nigdy". Te słowa pisał Żeromski na przedśmiertnem łożu boleści. „Nie ja to już, człowiek dzisiejszy, wciągam zdrowemi płucami tameczne powietrze, kryształ niewidzialny, niezmierzone, nieskazitelne, przeczyste dobro". Ale żywie duch, co woła: „ja śmierci nienawidzę!" i — jakby pomnika żywego się dopominając dla siebie — głosi potężne „Nie pozwalam!" tym, co chcą zniszczyć, wyrąbać mateczniki wielkiego pisarza — jodłową puszczę Świętokrzyską. *J. Birk.*

Bibljoteka Laureatów Nobla. Rudolf Eucken: „Wielcy myśliciele". **Romain Rolland:** „Jan Krzysztof". **Maurycy Maeterlinck:** „Skarb ubogich, Życie termitów". — **Karol Gjellerup:** „Młyn na wzgórzu". — **Rabindranath Tagore:** „Dom i świat". — **Selma Lagerlöff:** „Charlota Löwenskjöld". — Wydawnictwo Polskie. Poznań.

Poczet nazwisk dostojnych, darzonych czcią przez wszystkie narody, przemawia do nas z tytułowych kart tych książek. W „Bibljotece Laureatów" brak jeszcze nazwisk paru: Carducciego, Mistrala, Echegaraya, Mommsena, Shav'a i naszego Sienkiewicza; ale są też nazwiska, których przedtem nie znała publiczność czytelnicza polska — nazwiska Spittelera, Benaventa, Pontopiddana, Gjellerupa. Są i nowe opracowania dzieł już w Polsce znanych — oto Staff przełożył naprawdę w sposób doskonały arcydzieło Rollanda. Maeterlinck reprezentowany jest w „B. L. N." jednostronnie, przez swoje artykuły i rozprawy przyrodniczo-filozoficzne; tak samo jednostronnie przedstawia się tu Hauptmann — wszak główna siła twórcza obu pisarzy spoczywa w dramatach, podobnie jak liryka jest właściwą dziedziną Tagore'a, którego w Polsce zna się przeważnie jako powieściopisarza. Dzieło Euckena o „Wielkich myślicielach" wiąże nazwiska laureatów Nobla z myślą o zastępie dawnych, niezawsze wieńczonych za życia, duchowych przywódców ludzkości. *J. Birk.*

Jerzy Brzęczkowski: — „Asza". Tow. Wydawn. „Rój". Warszawa 1927.

Z kilku nowel, zamieszczonych w tej książce, jedynie czołowa, opatrzona tytułem „Asza", odpowiada

jakim takim wymaganiom prozy beletrystycznej. Naogół nowele te, wyrosłe w cieniu lektury Sieroszewskiego, Conrada, a nawet... Londona, odarte jednak z wszelkich walorów uczuciowych tych pisarzy, znamionuje jedynie mętna i chaotyczna treść podana w ciężkiej i mało starannej polszczyźnie. Duchowo są one obce kulturze polskiej i wykazują raczej łączność ze współczesną literaturą rosyjską — Pilniaków, Zamjatinów. *E. K.*

M a r j a D ą b r o w s k a: „Przyjaźń". Opowiadania. Wyd. J. Mortkowicza. Warszawa—Kraków 1927.

Książki dla młodzieży pisane są przeważnie pod dyktando dydaktyzmu. Tendencja, wysuwająca swe rożki jak ślimak ze skorupy, przesądza o poczytności książki. Młodzież wymaga szczerości, prostoty i bezpośredniości. Z żyjących pisarzy, uprawiających literaturę dla młodzieży, jedynie Korczak zdobył sobie uznanie wśród młodych czytelników. O taką gościnę w sercu młodzieży zabiega i Marja Dąbrowska. Mam jednak pewne wątpliwości, czy tytułowa nowela odpowiada zasadniczym warunkom typu powieści dla młodzieży, ustalonego przez Korczaka. Grubemi ściegnami szyta tendencja przebija z tej noweli, gloryfikującej ideę przyjaźni. Mimo pewnych wzruszających momentów w opisie choroby Stefana, mimo tu i ówdzie wplecionych uśmiechów miłego sentymentu, wyczuwa się rozbieżność między wykonaniem artystycznem a podstawioną tendencją ideową. Dopełnia książkę krótka opowieść p. t. „Kury w naszym ogrodzie", pisana bezpretensjonalnie i dlatego górująca nad pierwszą. Obserwacja świata ptaków — sumienna i dokładna. *E. K.*

I. K. I ł ł a k o w i c z: „Płaczący ptak". Nakładem Księgarni F. Hoesicka. Warszawa 1927.

Autorka „Płaczącego ptaka" wypracowała sobie w zbożnym trudzie własną drogę poetycką, o której może bez przesady powiedzieć, że jest wyłącznie jej drogą. Ta żmudna praca przy warsztacie poetyckim, który przyszło przy wątłych siłach kobiecych i ograniczonej wyobraźni („Ikarowe loty", „Śmierć Feniksa") opanować, uwieńczona została takimi wreszcie dwoma dużej wartości tomami, jak „Połów" i „Płaczący Ptak".

Wznieść się ponad mdły sentymentalizm, piastując jednak na dnie serca, które „jest jak najcichsza struna w maleńkim szpinecie", nieskażony kryształ prawdziwego sentymentu, to — wiele i czy nie wszystko, na co może się zdobyć licha istota ludzka.

Wszystkie przeżycia swoje zamyka autorka w granicach życia codziennego, poruszając się w niem z ujmującą swobodą. Ta pełna tkliwości zażyłość z szarzyzną dnia powszedniego jest wzruszająca, ile że poetka rozmyślnie unika wszelkich efektów powierzchownych, sięgając w głąb rzeczy i ludzi.

Może niektóre wiersze rażą krańcową naiwnością, która chwilami staje się manieryczną, ale przecież szczęściem jest wierzyć i wmawiać w innych, że „anioły stróże zejdą i wszystko się nagle naprawi". Mimo różnych niedociągnięć i braków, od których nikt z nas przecież nie jest wolny, zamykamy z żalem tę książkę rasowej poetki. *E. K.*

J a r o s ł a w I w a s z k i e w i c z: „Pejzaże sentymentalne". Nakład Gebethnera i Wolffa. — Warszawa 1926.

Po tych „Pejzażach sentymentalnych", o których pisze autor, że służyły mu one do „kompletnego opa-

nowania" metier, widać, jak na dłoni, ile przesady krzywdzącej dla samego pisarza mieściło się we wszystkich sprawozdaniach, dopatrujących się w Iwaszkiewiczu conajmniej rewelacyjnego talentu. Już w samym tytule dostrzega się ten rys pretensjonalności, który towarzyszy czytelnikowi uparcie od pierwszej do ostatniej kartki. Nieznośna egzaltacja, ponosząca autora bez żadnej przyczyny, nieraz nieumotywowana, jak np. w wizjach Pieczyngów, rodzących się z błahego powodu pewnych analogij etymologicznych z nazwą miasteczka Peczeniżyn. Zawiłość i mętność myśli, obrazów, stylu walczą o lepsze na każdym kroku w tej książce. Taki wyimek (str. 21) ilustruje chyba należycie moje zarzuty. — „Doznaje się nowej radości, mimo całe morza, lądy i nieba, radości ze swojego ja i wraz z wznoszącą się falą rośnie radość z siebie (i ze swojej młodości) — aż wybucha, w przeciwstawieniu do chwili poprzedniej, w szale poczucia jedynie ważnej i istniejącej kwestji, swojej istoty, najważniejszej, którą się można cieszyć, którą można wieść i utwierdzać, nie bacząc na wszystko, co się naokoło dzieje i będzie działo do ostatka, i że siebie się będzie miało aż do końca". Doprawdy, męczące jest to ciągłe obcowanie z osobowością autora, który wmawia w czytelnika, że wszystko, co napisze godne jest przeczytania. Ciężki czad egotyzmu przesyca te „świadome wprawki", które mówią niezbyt pochlebnie o ćwiczącym. *E. K.*

Juljusz Kaden-Bandrowski: „Nad brzegiem wielkiej rzeki". Wydawnictwo Zakładu Nar. im. Ossolińskich we Lwowie. 1928.

Ta najnowsza książka Kadena, przeznaczona dla młodzieży, najeżona jest tak dalece morałami, że mało jest danych, aby mogła stać się książką poszukiwaną przez młodych czytelników. Poza jednym „Dokumentem", w którym podkład dydaktyczny został dość zręcznie zamaskowany urozmaiconym tokiem akcji, inne opowiadania stoją na poziomie conajmniej gawęd Teresy Jadwigi z przed pół wieku, w których nauki moralne odgrywały rolę naczelną. Nie ukryje ich nawet pasja obserwacyjna Kadena, który tą drogą chce wmówić w młodego czytelnika, że ma do wyjawienia wiele ciekawych rzeczy. *E. K.*

Zygmunt Kisielewski: „Błąd". Powieść. Nakładem F. Hoesicka. Warszawa 1927.

Osią tej powieści jest kompleks zagadnień społecznych, które autor na tle dziejów znanego nam już z innej powieści Juljusza Syrenia, stara się ze swego punktu widzenia oświetlić. Bohater Kisielewskiego obrabowuje podczas przewrotu bolszewickiego skarbiec carski w Petersburgu i za uzyskane ze sprzedaży klejnotów pieniądze zakłada w Polsce współdzielczą gminę robotniczą. Ta filantropja wzbudza podejrzenie w obdarzonych. Powstają nieporozumienia i konflikty, które prowadzą do zabójstwa Syrenia. — Niewiadomo wkońcu, czy błędem było użycie zrabowanych pieniędzy na realizację szlachetnej skądinąd idei, czy idea sama stała się wkońcu błędna, czy wreszcie całe dzieje Syrenia nie oparte są na fałszywych przesłankach. Mimo pewnej potoczystości fabuły, mało w tej powieści psychologicznego uzasadnienia, co sprawia, że cała ta przedstawiona rzeczywistość nie nosi znamion prawdy ani możliwości powieściowej. *E. K.*

Marja Kuncewiczowa: — „Przymierze z dzieckiem". — Wydawnictwo J. Mortkowicza. Warszawa 1927.

Z radością powitać należy ten nowy talent prozatorski, debjutujący w dojrzałej ze wszech miar książce. Powieść „Przymierze z dzieckiem" nie jest właściwie powieścią tętniącą żywą fabułą. Treść sączy się wąskim ponikiem przez budowane starannie zdania, będące raczej jakiemś odbiciem przeżyć i docieraniem do jądra psychiki, byle oddać najszczerzej i najistotniej te przyczajone na dnie wrażenia. Czasem zadziwia aż wielkie opanowanie tematu i zdolność konstruowania żywych ludzi. W tytułowej powieści od analizy stanów psychicznych, zachodzących w związku z okresem macierzyństwa, autorka dochodzi do uświadomienia dojrzewającego w sercu przymierza z dzieckiem, wchodząc „do domku syna na wieczne zamieszkanie".

Dopełniają tomu: „Tamto spojrzenie", „Prawa i lewa ręka", „Polska na fiszmarku". „Tamto spojrzenie" — to głęboki, drobiazgowy rozbiór psychologiczny powracającej wiecznie melodji, która zjawia się nieproszona zarówno w godzinach szczęścia, jak i w chwilach troski. „Polska na fiszmarku" to rodzajowy obraz z oksywskich piasków, malowany jędrnym i zdrowym językiem.

Najlepiej świadczy o nowej pisarce czysty, staranny język, unikający, jak ognia, utartych porównań, trochę może tonowany chłodem refleksji. W sposobie analizowania stanów psychicznych autorka wykazuje szkołę Żeromskiego bez romantycznego jednak zabarwienia, którem żyją dzieła autora „Popiołów". *E. K.*

Zofja Nałkowska i Marja Jehanne Wielopolska: „Księga o przyjaciołach". Nakład Gebethnera i Wolffa 1927.

Temat zwierzęcia ma swoją dawną i świetną tradycję w literaturze polskiej. Najprzedniejsze pióra tematowi temu poświęcały czas i natchnienie, jeśli wymienić ze starszych — Dygasińskiego, doskonałego znawcę duszy psa, zająca, wilka. Z młodszych — Jan Wiktor dał w „Burku" psychologję psa, zwyczajnego kundla podwórzowego.

„Księgę o przyjaciołach", t. zn. o zwierzętach, które tem bardziej kochamy, im bardziej poznajemy ludzi", pisały dwie autorki. Ciekawy jest ten dwugłos prozatorski o sarnach, zającach, królikach, psach, kotach, ciekawy jako materjał przy wyprowadzaniu wniosków na marginesie twórczości. Niestety, brak nam miejsca na tego rodzaju roztrząsania.

Opowiadania Nałkowskiej są łatwe, proste w samem ujęciu tematu, pisane prozą spokojną, mądrą, opanowaną, gdy tymczasem opowieści Wielopolskiej charakteryzuje kapryśność, bałagulstwo (w dodatniem tego słowa znaczeniu). Ze wszystkich opowiadań na pierwsze miejsce wysuwa się „Sarna" Nałkowskiej, — tkliwa, dyskretna, pełna serca opowieść. Pozatem, jakże blisko naszych umiłowań tętnią takie zdania Nałkowskiej:

„Niebieskie niebo jest zawsze
oknem do Boga,
Zielona ziemia — wieczną pociechą
dla serca".

E. K.

Adolf Nowaczyński: „System doktora Caro". Utopja humorystyczna. — Nakładem Księgarni F. Hoesicka. Warszawa 1927.

Ten pamiętnik matoła i impotenta życiowego, Kołtońskiego, któ-

ry — gwoli odzyskania sił — jedzie do Florencji, aby poddać się tam regeneracyjnej operacji Dra Caro, nie wiedzieć poco został wydany w formie książkowej. Swego czasu drukowano to „dzieło“ w odcinku jednego z pism warszawskich. Aczkolwiek odcinki zapełnia się przeważnie mniej lub więcej porżniętą sieczką dziennikarską, sądzę, że opowieść ta dostąpiła już naówczas niemałego zaszczytu. — Wydanie książkowe było zbędne, autorowi bowiem dzieło to nie doda ani jednego listka do jego wieńca laurowego. Jest to niejako wyciąg ze wszystkich artykułów politycznych Nowaczyńskiego. Mamy więc antysemityzm, odwieczne wyrzekanie na Małopolan, lamentacje z powodu słabej produkcji przemysłu krajowego itd., itd. Na każdej stronie jest destrukcja, dezorganizacja, dekompozycja. Jedynymi zbawcami Polski ma być towarzystwo głuptaków czy matołów, którzy chcą odrodzić kraj po uprzedniej transfuzji krwi, zapożyczonej od jakichś genjalnych dzikusów z Afryki. Nie jest to satyra na Polskę, nie jest to humoreska, nie jest to powieść. Na twórczość Nowaczyńskiego wpłynęło fatalnie kilka lat pracy dziennikarskiej. *E. K.*

W ł a d y s ł a w O r k a n: „Listy ze wsi“. Tom I. Nakład Gebethnera i Wolffa 1925.

„Listy ze wsi“, których tom I-szy doszedł do rąk naszych, mają charakter publicystycznych rozważań na temat różnych bolączek wsi i jej mieszkańców, stosunku wsi do miasta i miasta do wsi. Świetny poeta, syn ugornej ziemi, sam chłop z dziada pradziada, patrzy w duszę chłopską bez żadnych złudzeń, widzi jej braki i niedociągnięcia, — opisuje też w „Listach“ chłopa takim, jakim on jest, twardo, realistycznie, prawdziwie. Dopiero z tych wynurzeń wyjaśnia nam się to i owo i zaczynamy rozumieć, dlaczego „lud jeszcze w Polsce nie wszedł“, mimo tylu partyj politycznych i czemu „w masie jest monarchistyczny“..

Tu i ówdzie można się nie zgodzić z autorem, zwłaszcza gdy mówi, że „Podhale jest jedyną w Rzeczypospolitej ziemią“, która ma prawo do odrębnej fizyognomji politycznej. Takich ziem jest więcej. Choćby Beskidy, które przecież z Podhalem mają bardzo luźny związek. Słuszniejsze natomiast wydaje się określanie granic Podhala przy pomocy „portek góralskich“. *E. K.*

F e r d y n a n d A n t o n i O s s e n d o w s k i: „Płomienna północ“. Podróż po Afryce północnej. Marokko. Nakładem Wydawnictwa Polskiego. Lwów—Poznań 1927.

— „Pod smaganiem samumu“. Podróż po Afryce Północnej. Algerja i Tunisja. Nakładem Wydawnictwa Polskiego. — Lwów—Poznań 1927.

— „Wśród czarnych“. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Lwów—Warszawa—Kraków 1927.

Relacje z podróży wymagają przy ocenie nie tej miary, jaką stosujemy przy rozpatrywaniu dzieł typowo literackich. Inna to — dziedzina, inne też — kryterja. Nasza literatura podróżnicza odznacza się zrozumiałem ubóstwem, z radością przeto witać należy ukazanie się każdego talentu, tembardziej, jeśli mamy do czynienia z piórem tak żywem, energicznem i niestrudzonem, jak Ossendowskiego. Poza tem inne jeszcze względy trzeba mieć na uwadze. Mam na myśli — przekłady na języki obce dzieł Ossendowskiego, które popularyzują imię naszego kraju.

Opisy podróży do Afryki Północnej, ściślej — do Marokko, Algierji i Tunisji, oraz do Afryki Podzwrotnikowej, są treścią trzech dzieł, wydanych w ostatnich czasach.

W barwnych, pisanych z rozmachem opowieściach daje autor żywy obraz życia i obyczajów mieszkańców tych stron, oraz opisy przygód osobistych i przeżyć myśliwskich.

Interesujące są również spostrzeżenia Ossendowskiego, dotyczące odwiecznej walki rasy białej z czarną. Autor dostrzega, że „nasza cywilizacja jest zagrożona, że przed bramami naszej europejsko-chrześcijańskiej twierdzy stoi już wróg, wróg, który mógłby być przyjacielem, lecz w którego sercu rozpaliliśmy niebacznie płomień gorącej i ślepej nienawiści".

Książki te — o ile czemś grzeszą — to może zbyt esencjonalnemi zabarwieniami osobistemi, a nawet czysto rodzinnemi frasunkami i troskami autora, które czytelnika, zwłaszcza eksportowego (dla którego są przeważnie przeznaczone) najmniej obchodzić mogą. *E. K.*

J a n P a r a n d o w s k i: „Dwie wiosny". Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie. 1927.

„Są to w istocie dzieje dwóch wiosen. W roku 1925 byłem w Grecji, a w r. 1926 na Sycylji i na Capri" — zwierza się autor w przedmowie do tej książki.

Parandowski należy do tych kilku uczonych i poetów polskich (można ich przeliczyć na palcach), którzy tworzą związek miłośników kultury antycznej.

„Dwie wiosny" noszą charakter raczej informacyj historycznych i geograficznych, niźli jakichś osobistych przeżyć na tle bezpośredniego zbliżenia do ruin świata klasycznego. Książek tego rodzaju jest tak niewiele w języku polskim, że „Dwie wiosny" powitać należy właściwie bez uprzedzeń i z uznaniem. Choćby dlatego, że wyczarowują czasy starożytnego piękna, za któremi pokutuje w każdym inteligentnym człowieku nieuświadomiona tęsknota. *E. K.*

M a r j a P a w l i k o w s k a: „Wachlarz". Zbiór poezyj dawnych i nowych. Nakładem Księgarni F. Hoesicka. Warszawa 1927.

Te błyskotliwe liryki, rozsypane jak świecidełka weneckie na kilkudziesięciu stronicach, to — jakiś odmienny świat kobiecych przeżyć, uczuć i kaprysów, do których — być może — my mężczyźni, nie doróśliśmy nawet wyobraźnią. Z drugiej jednak strony nietrudno przecież dostrzec wartość takich wierszy, jak „Listopad i listonosz", „Ranny ptak", „Woda", a nawet zdań niektórych jak np. „zapachniał do rymu złoty kwiat nasturcji". Trudniej, już, o wiele trudniej, pogodzić się z drugą częścią tomu, spiętą wiele mówiącą klamrą „Pocałunków", w których właściwie jeno „bezsenna Wenus" przewraca się z boku na bok". Naogół dużo beztroski, zachłystującej się niewielkiemi dawkami poezji. Ponadto — pewna przesada w lekceważącem traktowaniu zagadnień istotnych, a na serjo — kaprysów, zrodzonych w cieple różowych pokojów. *E. K.*

M a r j a P a w l i k o w s k a: — „Dancing". Karnet balowy. Nakład F. Hoesicka. Warszawa 1927.

Być może, że „przyszliśmy na świat wśród takiej muzyki", w której „beczą owce, kłapią wilcze kłańce, wyją psy, płaczą koty w tęsknocie", ale — sądzę — nie jest to jeszcze dostatecznym powodem, aby poezji „kazano tańczyć charlestona", zmuszając ją do różnych łamańców pod takt saxofonu. W nie-

skromnem przeświadczeniu mniemam, że autorka wcześniej, czy później zgodzi się ze mną, dochodząc do podobnej konkluzji. *E. K.*

Antoni Słonimski: „Pod zwrotnikami". Dziennik okrętowy. — Nakład Gebethnera i Wolffa 1927.

„Nie będzie to dzieło o Brazylji ani powieść — jest to krótka historja paru szczęśliwych miesięcy życia" — informuje autor w przedmowie do tej książki, opisującej codzienne, drobne wydarzenia na okręcie i na lądzie, bez żadnych pretensyj do insynuowania czytelnikowi dokładnej znajomości kraju. W sposób dowcipny, w formie lekkiej doskonałego causeura, autor przeplata ten dziennik wynurzeniami osobistemi, jak np., że w ogrodzie miejskim w Rio de Janeiro oglądał drzewa pokryte kwiatami bez liści i że to zjawisko mógłby porównać ze swą karjerą literacką z pominięciem szkoły średniej i matury. Na marginesie niejako książki autor notuje krótkie wiadomości o kraju, życiu i ludziach. Spostrzeżenia te nie mają — jak powiedziałem — wartości sądów objektywnych, gdyż autor w pogoni za jakimś kalamburem czy dowcipem poświęca nieraz prawdę istotną.

Z częstego obcowania z przyrodą autor wynosi zrozumienie potęgi ożywczej i zdrowia, płynącego z ziemi i słońca. „Jest tak wiele powietrza i przestrzeni, że mogłaby się tu rozpłynąć cała gorycz ludzka" — wyznaje Słonimski, — a „każdy dzień spędzony w lasach jest radosnem wydarzeniem".

Książka ma wiele akcentów szczerości — bezpretensjonalna i prosta — odsłania nam człowieka, którego znaliśmy dotąd może nazbyt jednostronnie. I dlatego zdania końcowe, zamykające poniekąd książkę, są czemś więcej, niźli literackim kaprysem. „Powrót do zimnej, zabłoconej Warszawy. Powrót do dusznych kawiarń i restauracyj, do bieganiny po mieście, do trosk finansowych, do pustki długich, mroźnych wieczorów i tej przeklętej giełdy artystycznej, tego targowiska próżności, gdzie trzeba codzień przynieść na rynek nowy żart, pomysł, lub nowy mizerny triumf towarzyski". *E. K.*

Antoni Słonimski: „Z dalekiej podróży". F. Hoesick. Warszawa 1926.

Dobrze byłoby, aby przy odrobinie trudu zbadano, jak daleko sięga wpływ nieśmiertelnego Rimbaud'a, na ile lat wyprzedził on swą współczesność, oraz ile i jak współcześni nam poeci korzystają z dorobku twórczego tego wielkiego poety. Poezja Słonimskiego opiera się jednem skrzydłem o twórczość Rimbaud'a. Sporo w niej poza tem cech parnasizmu francuskiego. Pod powłoką toczonych gładko słów — mało w tej poezji krwi serdecznej. Gdyby ze wszystkich metafor, porównań i przenośni obrać tę poezję, jak owoc bananu, nie pozostałoby o wiele więcej od owocu bananu. Nuda, na którą skarży się niejednokrotnie poeta, jest również szczątkiem okrętu poezji minionej, jak i owa nikłość uczuć, trzepocąca skrzydłami zabłąkanej ćmy. Tonu współczesności doszukiwać się raczej należy w takiem wyznaniu — „nie jest chrześcijaninem ten, który ludzi nie kocha, a kocha kraje". Tu i ówdzie wyłuskać można również niejaką odwagę spojrzenia w oczy współczesnej rzeczywistości. *E. K.*

Ewa Szelburg: „Dokąd?" Powieść. — Wydawnictwo J. Mortkowicza. Warszawa 1927.

Nie znam pierwszych prac Ewy Szelburg, nie wiem nawet, czy „Do-

kąd" nie jest pierwszą powieścią w dorobku nieznanej mi pisarki — ta jednak książka świadczy o pełnej dojrzałości przemyśleń. Odwieczny problemat wiary jest osnową tej powieści, której fabuła rozgrywa się między trzema czołowemi postaciami — księdzem Niewidomym, Symeonem świątkarzem i małą dziewczynką, wnuczką świątkarza. Nową niejako postacią jest świątkarz Symeon, który żyje w rozbracie z Bogiem i w ostatniej godzinie odchodzi „tam, gdzie niema gwiazd, ni słońc, ni księżyców, ni małej ziemi". Może ścigać go będzie wyrzut zrodzony w sercu dziecka — „To ty Go, dziadku, przybiłeś temi prawdziwemi gwoździami. Widziałam, wystają na wylot"... Zostaje na ziemi mała istotka, która czci Boga nawet w zawieszonym na gałązce ptaku, kryjąc w sercu płomień wiary, zapalający się ogniami wszystkich niewinnych uśmiechów.

Mimo pewnej nierówności w konstrukcji „Dokąd" należy do rzędu nieprzeciętnych powieści ostatniej doby. *E. K.*

Anatol Stern: „Bieg do bieguna". Nakładem F. Hoesicka. Warszawa 1927.

Z całej książki pewne znamiona bezpośredniości posiada jedynie spowiedź autora, zamknięta w formę przedmowy. I niewątpliwie burzy ona ten mur obcości, na który skarży się poeta. Wrażenie jednak, osiągnięte po przeczytaniu przedmowy, ustępuje zupełnie w miarę posuwania się w głąb książki nowemu wrażeniu — sztuczności. Mimo zapewnień autora, wyrażonych w przedmowie, odnajdujemy na każdej niemal stronie słowa i zdania nieokupione żadną potrzebą.

Jest kilka stron poświęconych przyrodzie. Przynajmniej mówią o tem tytuły i treść opisowa niektórych wierszy. Przyroda jednak świeci pustką na tych kilku stronach. To nie jest przyroda oglądana oczyma człowieka rozumiejącego i kochającego ziemię.

Wyróżnia się wiersz „Kobieta", płonący syntezą żądz i namiętności erotycznych, szczery w ekspresji dramatycznej, choć przeładowany barokiem przesadnych metafor.

E. K.

Juljan Tuwim: „Słowa we krwi". Nakład: Wacław Czarski i Ska. Warszawa 1926.

Uderzająca niewspółmierność między zapowiedzią, wyrażoną w tytule a treścią książki, rzuca się w oczy po przeczytaniu kilku pierwszych stron. Z niecierpliwością doczytujemy książkę do końca i nie znajdujemy tych słów we krwi.

Najlepsze i to bezwątpienia są pierwsze kartki książki aż do „Prośby o piosenkę" włącznie, poświęcone — że tak powiem — historjozofji słowa. Analiza uczuciowa stosunku poety do słowa, przepleciona akordami poetyckiej obrazowości, jest interesującem zjawiskiem u piszącego.

Ustosunkowanie Tuwima do przyrody jest nieco naciągnięte, kalkulacyjne, obliczone często na efekty zewnętrzne.

„Słowa we krwi" nie zwiastują nowych posunięć w twórczości Tuwima, zwiastują natomiast cofnięcie się z dróg już przebytych. Sam poeta zdaje sobie z tego sprawę, mówiąc w jednym z wierszy — „zaśpiewajmy po dawnemu".

Utworów niepotrzebnych w rodzaju „Sprawozdanie z podróży na wystawę sztuki dekoracyjnej w Paryżu" jest niemało.

Zawcześnie jeszcze na bezstronny i objektywny rozbiór twórczości Tuwima, którego sławę przereklamowaną rozniosło po łamach pism grono kolegów i przyjaciół. Przyjdzie jednak czas, gdy na szalach

bezstronnego sądu — bez przesadnego zachwytu — zważy się każdą zasługę i każdą wartość tego poety. *E. K.*

S t a n i s ł a w W a s y l e w s k i: „Zerwana kokarda". Nakładem Wydawnictwa Polskiego. Poznań 1927.

Świetny causeur, którego talent narratorski objawił się swego czasu niespodzianie w studjach historycznych, wydał nowy tom opowieści z tych czasów, gdy legenda napoleońska błyszczała na horyzoncie wszystkiemi blaskami i barwami świetności. Jedyna wielka miłość Napoleona do kobiety — jak zapewnia autor — miłość do szambelanowej Walewskiej, jest treścią pierwszej opowieści p. t. „Pani Walewska". Z niezwykłą subtelnością, w zdaniach pełnych temperamentu urodzonego beletrysty, wychowanego na najlepszych wzorach kultury francuskiej, rysuje Wasylewski wyrazisty portret pięknej szambelanowej, którą niezbadane wyroki Boże wplotły w życie „człowieka Europy". Autor udowadnia, że ta kobieta, która straciła łaskę w oczach pamiętnikarzy ówczesnych, była wzorem człowieka powszechnie kochanego i lubianego, „gdyż każdemu czyniła dobrze, nikomu nie szkodząc".

„Orlątko" pisane jest niejako na marginesie pamiętników hrabianki Lulu Thürheim, która na dworze wiedeńskim miała możność zetknięcia się z ks. Reichstadtu, tą drugą legendą napoleońską, która tak tragicznie przebrzmiała.

Dopełniają tomu interesujące w szczegółach „Zerwana kokarda", „Pan Izydor nad Elsterą" i „Oczyma dziecka". Wszystkie te opowiadania czyta się z wyjątkowem zadowoleniem, które porównać chyba można z tą radością, jaką daje spożywanie dojrzałego owocu. *E. K.*

A l e k s a n d e r W a t: „Bezrobotny Lucyfer". Opowieści. — Nakładem F. Hoesicka. Warszawa 1927.

„Bezrobotny Lucyfer" jest jakby odzwierciedleniem współczesności miejskiej z całym splotem i zawiłością powikłań treściowych, nie znajdujących żadnego uzasadnienia istotnego. Wat ma ambicję przy pomocy ściegów rozumowych zszyć łachman rzeczywistości współczesnej celem nadania istnieniu pozorów bodaj logiki. Z tego przymierzania, dopasowywania i zszywania niewspółmierności rodzi się jakiś krzykliwy humor, którym rozbrzmiewa cała książka. Sceptycyzm współczesnej epoki, trawiony wielobóstwem, za którem ukrywa się wielki cień Mamona, jest podstawą światopoglądu Wata. „Bezrobotny Lucyfer" — prawdopodobnie wbrew intencjom autora — jest najbardziej typową „spowiedzią dziecięcia wieku", zatrutego miazmatami pseudokultury wielkiego miasta. *E. K.*

K a z i m i e r z W i e r z y ń s k i: „Laur Olimpijski". Warszawa. J. Mortkowicz. 1926.

Pewną przesadą odznaczają się te wiersze pisane na cześć sportu i sportowców, nawet przesadą niedopuszczalną w poezji współczesnej. Walka, jaką wypowiedzieli materjalizmowi ubiegłego okresu poeci wszystkich nacyj i wszystkich odcieni, jest zawołaniem obowiązującem, któremu sprzeniewierzać się jeszcze nie miejsce i nie pora. Ze względów zasadniczych przeto musimy się ustosunkować negatywnie do tych zręcznych i gładkich zresztą wierszy. Poza tem zdziwienie wywołać w nas może jedynie „Laur Olimpijski" bliskiem pokrewieństwem i podobieństwem do poety francuskiego Henri de Montherlant'a w wierszach spor-

towych, ochrzczonych nazwą „Les onze devant la Porte Doree".

E. K.

Juljan Wołoszynowski: „O Twardowskim, synu ziemianki, obywatelu piekieł, dziś księżycowym lokatorze". Powieść. 2 tomy. Wydawnictwo J. Mortkowicza. — Warszawa 1927.

Ta najpiękniejsza legenda polska, spleciona misternie z dziejami naszemi, jak wstążka z warkoczem, znalazła swego poetyckiego mono- i bjografa w osobie Juljana Wołoszynowskiego. Od przypadkowych „Okularów" do tej powieści, budowanej mozolnie, prowadzi droga długa, żmudna, daleka. I to przedewszystkiem trzeba zapisać w odnośnej rubryce na dobro autora.

Z pajęczej przędzy legend i opowieści snuje Wołoszynowski opowieść o Twardowskim. „Pamiętamy Ciebie całego, bo jakże tu nie pamiętać, co przed nami, co w nas się samych, wczoraj, dziś i — zawsze jutro — odbywa..." Nieśmiertelna tęsknota duszy polskiej znalazła w zdaniach tych najściślejsze umotywowanie.

Wołoszynowski naogół konstruuje powieść logicznie. Rozdział o rozdział zaczepia, jeden z drugiego wywodzi. Krótkie, treściwe zdania, przystosowane do niezwykle bogatej treści, eo ipso są odarte z kory metafor i porównań. W stylizacji poetyckiej całych rozdziałów, stylizacji miejscami na nutę czasów minionych, niepotrzebnie błąkają się takie współczesne nam definicje, jak „safes", „radio", „jazzband" itp. Również wydaje się trochę nieuzasadnione wypełnianie treści nazbyt obficie przysłowiami ludowemi, zwłaszcza w tomie drugim. Mimowoli nasuwają się asocjacje z Panem Jowialskim. A przecież — gdzie Rzym, gdzie Krym.

W rozdziale XII-tym p. t. „Księżyc" jest fragment, najpiękniejszy bodaj z całej książki, gdy Matka Boża, usłyszawszy śpiewane przez niesionego na grzbiecie czarcim Twardowskiego godzinki, lituje się nad grzesznikiem i rzuca mu srebrną kotwicę — nadzieję. „Twardowski uchwycił się srebrnej liny, skręconej z księżycowych promieni i zawisł na Księżycu. Wtedy Pani Niebieska nastąpiła czartowi na głowę i spadł czart w otchłanie ciemności. Twardowski zdjął swoją polską, rogatą czapkę z głowy i ukląkł na Księżycu, u stóp niebieskich Matki Boskiej, Wzruszonej..." Oto, co może poezja! Kruszy djabła, wzrusza Pana Boga! A jeśli nie Pana Boga, to Pannę Marję Bożą... Wiersz, do Matki Boskiej pisany, może zbawić człowieka!... Kobieto Niebieska! Kobieto! Dla Ciebie żyją poeci! Jesteś ucieczką grzesznych, ponieważ poeci są grzeszni... Jesteś pocieszycielką strapionych, ponieważ poeci (oni jedni o tem tylko wiedzą, ale nie przyznają się — najnieśmielsi swojego serca!), — ponieważ poeci są tak często strapieni... Jako olej wylany, o Maryja, Imię Twoje! Sługa Twój, Pan Twardowski, zakochał się bardzo w Tobie! Pod Twoją obronę, uciekamy się razem z Twardowskim! Wspomagaj go!..."

Jesteś nam bliski, aryjczyku Wołoszynowski. *E. K.*

Anna Ludwika Czerny: „Antologja nowej liryki francuskiej". Lwów—Warszawa—Kraków. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. 1925.

O ile prawdą jest, że w Akademji Literatury Polskiej zasiadać będą tłumacze, to powinniśmy coprędzej wciągnąć na listę kandydatów do tej instytucji nazwisko Anny Ludwiki Czerny, która dokonała nie-

mniejszego czynu od tłumaczących systematycznie.

Bogaty odłam nowej poezji francuskiej od 1907 do 1925 r. w twórczości dwudziestu przeszło poetów leży przed oczami naszemi, jak szlachetny kruszec, dając nam możność zorjentowania się wśród interesujących usiłowań i przeobrażeń, zachodzących w poezji Zachodu. Od przywódcy rewolucyjnych prądów w poezji, Guillaume'a Apollinaire'á aż po Jean'a Cocteau'a, w powodzi wierszy, ilustrujących wyczerpująco każdą indywidualność poetycką, dała nam tłumaczka całkowity obraz dziejów poezji francuskiej idącego ćwierćwiecza. Przekłady — świetne, pisane niemal w natchnieniu (o ile tylko słowo to nie jest przesadą!). Należy się tłumaczce od tych wszystkich poetów conajmniej tytuł — współtwórczyni. *E. K.*

M o n t e s q u i e u: — „O duchu praw". Przełożył Tadeusz Żeleński (Boy). Przejrzał i wstępem opatrzył prof. Wacław Makowski. Tom I. Warszawa. F. Hoesick. 1927.

Pewno oschłość myśli, brak wszelkiego uczucia charakteryzują tę książkę znakomitego pisarza politycznego, który w swoim czasie — przed dwoma wiekami — miał ambicję odgrywania jednej z czołowych ról w literaturze politycznej Francji. Dziś — przyznam się — myszką tylko trącą wywody Montesquieu'a i nie rozumię doprawdy powodów, które skłoniły żywą skądinąd i wrażliwą na tętno aktualności księgarnię F. Hoesicka do wydania tego dzieła.

W „Esprit des lois" Montesquieu stara się dowieść, że ustroje państwowe nie są wytworami przypadkowemi, lecz że są zależne od warunków naturalnych — klimatu, ziemi, religji i charakteru narodu. Pozatem wypowiada się za teorją podziału władz.

Naogół Montesquieu wykazuje zależność od filozofów angielskich z Johnem Locke'm na czele.

Aczkolwiek w przedmowie prof. W. Makowski uprzedza, że brakowi opieki macierzyńskiej przypisać należy charakter Montesquieu'a, w którym „rozsądek górował nad uczuciem, a na sentymentalizm nie było wcale miejsca", to jednak wydaje mi się, że niemałą zasługę położył w tym kierunku i tłumacz, ostudziwszy dogłębnie książkę, w której po takim eksperymencie nie można dopatrzeć się ani kropli krwi. Jest książką nieżywą. *E. K.*

PLASTYKA

Na nowych drogach sztuki.

Ewolucja, jaką przeszła sztuka w minionem ćwierćwieczu, należy bezapelacyjnie do przeszłości.

Tę reakcję przeciw naturalizmowi wszechwładnie panującemu w sztuce XIX stulecia, należałoby właściwie ochrzcić mianem rewolucji, gdyby nie pewna powściągliwość w ofenzywie nowych prądów na twierdzę kierunków uznanych, oraz charakter raczej ewolucyjny nowej sztuki, wyrastającej nie na gruzach burzonej przeszłości, lecz w związku organicznym z epoką minioną. Rolę tych pośredników czy łączników między dwiema epokami odegrali z powodzeniem — Cezanne i Matisse.

Nazwa ewolucji ma jeszcze i to uzasadnienie, że ani ekspresjonizm, ani kubizm w formie krańcowej nie dochowały się do naszych czasów. Zwycięstwo teoretyczne odniosły te kierunki w postaci umiarkowanej,

wsiąkając częściowo w glebę nowej sztuki kompromisowej, zwanej neoklasycyzmem.

Zapładniający wpływ i ekspresjonizmu i kubizmu, polegający na przywróceniu malarstwu logicznej konstrukcji i architektoniki, przejawia się we wszystkich dziełach neoklasycznych. Neoklasycyzm zrodziła niewątpliwie tęsknota za prostą, zwartą konstrukcją oraz spokojnym rozkładem barw, właściwościami, przekazanemi nam w testamencie wielkich mistrzów Odrodzenia, wreszcie — Ingresa, którego nawet za wzór stawia wczorajszy wódz kubistów, Pablo Picasso.

Malarstwo polskie jest jeno jedną z komórek malarstwa wszechświatowego i odgrywa rolę podobną do sztuki innych krajów.

W związku z ożywionem zainteresowaniem, budzącem się na marginesie nowych prądów artystycznych, zaczynają i u nas ukazywać się pierwsze jaskółki w postaci prac teoretycznych, historycznych i monograficznych z zakresu sztuki obcej i polskiej.

Taką pracą pierwszorzędnego znaczenia jest niewielka rozmiarami książka prof. Michała Sobeskiego „Malarstwo doby ostatniej", wyjaśniająca w sposób niezwykle obrazowy i żywy istotę oraz ewolucję ekspresjonizmu i kubizmu.

Takiemi pracami o charakterze historycznym będą „Dzieje Malarstwa w Polsce" Feliksa Kopery, prace Eligjusza Niewiadomskiego, wreszcie „Monografje Artystyczne", wydawane przez księgarnie — Gebethnera i Wolffa oraz J. Mortkowicza.

Rolę popularnego niejako skorowidza sprawuje „Malarstwo nowoczesne" W. Husarskiego.

Niemałe zadanie przewodnika po terenach sztuki spełniają „Sztuki Piękne", ukazujące się perjodycznie od r. 1924 w Krakowie. *E. K.*

„Monografje artystyczne" pod red. Miecz. Tretera. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa. 1925—1926. I. Stanisław Wasylewski: „Portret kobiecy w Polsce XVIII wieku". II. Stefanja Zahorska: „Matejko". — III. Szczęsny Rutkowski: „Edward Wittig". IV. Stanisław Woźnicki: „Władysław Skoczylas". V. Tadeusz Szydłowski: „Jacek Malczewski". VI. Mieczysław Treter: „Konrad Krzyżanowski". VII. Władysław Tatarkiewicz: „Aleksander Orłowski". VIII. Wacław Husarski: „Karykatura w Polsce". IX. Mieczysław Sterling: „Jan Stanisławski". X. Władysław Tatarkiewicz: — „Michał Płoński". — Każdy tom zawiera 32 reprodukcje.

Dawno odczuwany brak popularnych a wyczerpujących monografij artystycznych zaspakaja godna pochwały inicjatywa wydawnicza Gebethnera i Wolffa. Z tych zwięzłych szkiców, wydawanych perjodycznie, utworzą się zczasem interesujące dzieje sztuki polskiej, w której każdy rozdział pisany będzie przez innego monografa. W barwnej i żywej opowieści zaznajamia nas Stanisław Wasylewski z portretem kobiecym w Polsce XVIII wieku, zaznaczając słusznie, że ten portret epoki rozbiorów „nie był polskim portretem kobiety, był raczej portretem kobiety w Polsce". Głęboka i ciekawa jest analiza twórczości Matejki, dokonana przez Stefanję Zahorską. Autorka rozpatruje indywidualność Matejki, wyłącznie jako malarza, mówi o środkach jego wypowiada-

nia się, o rozwoju czysto artystycznych zagadnień. Monografia poświęcona Edwardowi Wittigowi, pióra Szczęsnego Rutkowskiego, potraktowana jest bardzo pobieżnie i tonie w powodzi ogólnikowych, dziennikarskich powiedzeń. Najsłabszą z wydanych książek jest praca Stanisława Woźnickiego o Władysławie Skoczylasie, gdyż w luźno powiązanych zdaniach, pisanych z myślą insynuowania czytelnikowi fachowości, autor nie daje sylwetki malarza. Pozatem monograf pozwala sobie na nieumotywowane wypady w stronę minionych kierunków i prądów artystycznych, które odegrały ważką rolę i mają pięknie zapisaną kartę w księdze dziejów sztuki nietylko polskiej. Przykładem natomiast rzeczowej, głębokiej, prostej analizy twórczości artystycznej niechaj posłuży monografja Tadeusza Szydłowskiego, poświęcona Jackowi Malczewskiemu. Szkic ten, pozbawiony frazeologji, napuszonych zdań i superlatywów, rozpatruje w sposób wyczerpujący twórczość wielkiego plastyka z rodu poetów i filozofów. Rzeczowa jest również monografja, omawiająca twórczość przedwcześnie zmarłego Konrada Krzyżanowskiego, którego cała sztuka „zasadzała się na żywem i gorącem tętnie serca, na twórczej potrzebie charakteru i wyrazu", jak słusznie pisze autor tej pracy, Mieczysław Treter. Typowemi rozdziałami z historji sztuki, pisanemi przez fachowego historyka, są dwie monografje pióra Władysława Tatarkiewicza o Aleksandrze Orłowskim i Michale Płońskim, tych dwóch artystach otwierających na progu XIX wieku epokę polskiego malarstwa narodowego. Interesujący jest szkic Wacława Husarskiego o „Karykaturze w Polsce". Przy wymienianiu nazwisk karykaturzystów czasów ostatnich pominął autor niesłusznie Edwarda Porządkowskiego. Dopełnia tych dziesięciu książek monografja Mieczysława Sterlinga, poświęcona twórczości Jana Stanisławskiego, tego największego pejzażysty polskiego, którego styl określić można jako „barwną impresję kształtu".

E. K.

J e r z y M y c i e l s k i i St. W a s y l e w s k i: „Portrety polskie Elżbiety Vigée-Lebrun (1755—1842). 24 rycin w heljograwurze na osobnych tablicach. 1927. Lwów—Poznań. Nakładem Wydawnictwa Polskiego.

Książka pod każdym względem piękna i pouczająca. Są w niej trzy teksty: jeden z nich napisał świetny c a u s e u r i odtwórca dawnych czasów, Stanisław Wasylewski, drugi opracowany został przez wytrawnego dziejopisarza i badacza sztuki polskiej, prof. Mycielskiego, a trzeci... stworzyła ta pani, której imię i nazwisko znajduje się w tytule książki. „Madame Vigée-Lebrun — pisze o niej Wasylewski — mistrzyni różowej buzi, greckiej koafiury i słomkowych kapeluszy (które żyją i mówią na obrazach), poetka szalów i szarf doprowadziła do bezkresnych wyżyn wdzięk i słodycz wyrazu. Bynajmniej nie największa, ale najprzyjemniejsza z portrecistek". Prócz zalet tu wymienionych miała jeszcze jedną: że żyła długo. Dlatego to przeglądając kolejno jej obrazy, mamy przed sobą znaczny fragment dziejów nietyle sztuki, ale także obyczajowości, mody, upodobań, dążności, a nawet — że tak rzeknę — przeobrażeń rasowych w społeczeństwie europejskiem wogóle, w szczególności zaś w polskiem. Brak tu tylko dwóch faz twórczości artystki: fazy „sielsko sentymentalnej" oraz „słomko-

wych kapeluszów". Zato reprezentowany jest „okres mitologiczny", następnie uwydatniają się wpływy rewolucji francuskiej, wkońcu twórczość ta podlega wymogom empiru. Rozwija się i coraz większej tężyzny nabiera talent malarski, ale bo też rozwinęli się przez ten czas — przez rewolucję i Napoleona — i ludzie, nabierając fizycznej i duchowej tężyzny. Charakterystyczne tu są, przytoczone przez Wasylewskiego słowa ks Józefa, że „chce wygrać parę bitew, zanim się da sportretować p. Vigée-Lebrun". I zaiste, księcia Józefa tu brak w tej galerji portretów, obejmującej prawie wszystkie znaczniejsze osobistości polskie — słynące urodą. Płeć piękna, oczywiście ma tu przewagę. *J. Birk.*

Eligjusz Niewiadomski: „Malarstwo Polskie XIX i XX wieku". — Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie. 1926.

Dzieło Eligjusza Niewiadomskiego jest pierwszą pracą w literaturze o malarstwie polskiem XIX i XX wieku. Brak podobnej pracy historycznej dawał się odczuwać ogółowi czytelniczemu, interesującemu się sprawami sztuki polskiej. Autor zamknął dwuwiecze malarstwa polskiego w dwu częściach, z których pierwsza obejmuje czasy od epoki średniowiecznej do 1860 r. i nosi nazwę „Preludjów", druga zaś ciągnie się do czasów ostatnich i zwie się „Złotym wiekiem malarstwa polskiego". W tych ramach umieszczono grupy artystów, związanych bądź epoką, bądź rodzajem twórczości.

Początki malarstwa polskiego sięgają wieku XV i przejawiają się w sztuce kościelnej. Następne wieki rodzą sztukę dworską. Dopiero stulecie XIX uniezależnia sztukę od protektorów i usamodzielnia artystów.

Pracę swoją rozpoczyna Niewiadomski od Bacciarielliego, Norblina i Orłowskiego, którzy jeszcze reprezentują sztukę dworską, choć Orłowski właściwie zamyka okres stanisławowski, a otwiera dzieje nowoczesnego malarstwa polskiego. Poprzez zapoznany genjusz Piotra Michałowskiego, tego prekursora narodowego malarstwa polskiego, poprzez wielkich mistrzów złotego wieku malarstwa, reprezentowanych imionami Juljusza Kossaka, Grottgera, Matejki, Chełmońskiego, Fałata, aż do ostatnich wschodzących talentów Stryjeńskiej, Roguskiego, snuje się ciekawa historja malarstwa polskiego dwóch wieków. Autor w sposób zwięzły, dostępny, nawet popularny, zapoznaje czytelnika z długim pocztem malarzy, którzy pracowali na chwałę sztuki polskiej. Może podział na grupy i podgrupy nie jest zbyt szczęśliwy i mało uzasadniony. Np. tytuł rozdziału „Styl i fantazja", zamykającego ostatnią epokę od Malczewskiego, Wyspiańskiego aż do Ślendzińskiego nie tłumaczy dostatecznie powodów, które skłoniły autora do zamknięcia całego dorobku malarstwa tych czasów w ramach podobnego tytułu. Naogół charakteryzuje tę książkę niezależność i objektywność sądu, choć możnaby zarzucić autorowi niepotrzebne rozpisywanie się o Gawińskim, przesadne zachwyty nad Lebowskim, czy doszukiwanie się jakichś niebyłych wartości w Mackiewiczu przy jednoczesnem bagatelizowaniu twórczości Weissa, Sichulskiego, Rembowskiego lub przemilczaniu takich talentów, jak np. Wacław Wąsowicz, Pronaszkowie, Hrynkowski, Fedkowicz.

Mimo wszystko książka wypełnia lukę i jest cennym nabytkiem dla czytelnika. Zdobi ją ponad 200 reprodukcyj z dzieł różnych malarzy.

E. K.

PRACE LITER.-NAUKOWE

Stanisław Baczyński: — „Losy romansu". „Rój". Warszawa 1927.

Poniekąd jest to uzupełnienie wydanej przed paroma laty (Wydawn. Pol. 1924) „Literatury pięknej Polski porozbiorowej" tegoż autora. Oto we wstępie spotykamy słowa: „Literatura polska rozwinęła się jednostronnie, głównie w kierunku pragmatycznym, i gdy piśmiennictwo Europy mogło indywidualizować swe walory artystyczne, u nas nietylko zagadnienia estetyki, lecz nawet filozofja, krytyka literacka, a cóż dopiero publicystyka i powieściopisarstwo, podporządkowały się swoistym zagadnieniom bytu społeczno-narodowego", co prowadziło „nieledwie do szablonu w tematach, do ubóstwa odmian treści". Losy powieści czyli romansu polskiego (bo o nim tylko mówi autor, choć w tytule tego nie zaznaczył) były więc naogół pożałowania godne — i to nietylko w zawiązkach swoich w w. XVIII, ale i później, czyto za romantyzmu, czy w t. zw. okresie pozytywizmu, czy... nawet za panowania modernizmu, który przecie — jedyny z wszystkich prądów — zwalczał tendencję. Modernizm znów miał swój grzech: „przewagę kultu mowy i jej rozrzutność nad walorami konstrukcji literackiej" — wyjątkowe pod tym względem jest w tym okresie stanowisko Reymonta i Sieroszewskiego, „którzy objawiali poczucie umiaru artystycznego lub odpowiedzialności intelektualnej", i byli przedstawicielami „zdrowego, ewolucyjnego rozwoju powieści „tradycyjnej". Do tego typu — za „Trylogję" — zaliczył Baczyński przedtem Sienkiewicza, a przed nim Rzewuskiego, pierwszego naprawdę powieściopisarza polskiego. Ostatni rozdział rozważa zadanie literatury obecnej i sytuację, jaka w niej panuje; najobszerniej — i bardzo surowo — oceniona została twórczość Kadena. Trafne jest powiedzenie, że „możnaby wyznaczyć nagrodę za powieść polską napisaną poprawnie, wolną od tańca św. Wita i gadulstwa"; za takie poczytam tu utwory Dąbrowskiej i kilku jeszcze pisarzy. Książka Baczyńskiego obrała sobie wprawdzie za główny temat „Losy romansu", ale ubocznie mówi też o wspomnianej już wyżej estetyce i krytyce literackiej, którą niejednokrotnie — „przewietrza". *J. Birk.*

Aleksander Fredro: „Komedje". — Tekst opracował, wstępem i objaśnieniami zaopatrzył Eugenjusz Kucharski. Tom I—IV. Lwów—Warszawa—Kraków. Wydawnictwo Zakładu Nar. im. Ossolińskich. 1926.

Marja z Fredrów Szembekowa: „Niegdyś"... — Wspomnienia moje o Aleksandrze Fredrze. — Z przedmową Adama Grzymały-Siedleckiego. Lwów — Warszawa — Kraków. Wydawnictwo Zakładu Narod. im. Ossolińskich. 1927.

Zbiorowe wydanie dzieł Fredry w opracowaniu Kucharskiego godzi się naprawdę nazwać wzorowem. Podkreślić należy niezmierną sumienność filologiczną co do tekstów — zalety tej bowiem brak niektórym „wydaniom zbiorowym" naszych poetów (np. Wyspiańskiego). Komentarze ułatwiają zrozumienie treści nawet prostaczkom; zauważyłem jedną tylko omyłkę: Argus — czujny stróż niewieściej cnoty — to nie pies-emeryt z „Odyssei" (nie

zdołał-ci on obronić Penelopy od natręctwa zalotników!) ale przysłowiowy „Argus stuoki", pilnujący zaklętej Jony. Pięknie — żywo i z sentymentem — napisany jest „życiorys literacki" Fredry, oparty w znacznej części na nowych źródłach. Jednem z tych źródeł jest właśnie ów wydany oddzielnie pamiętnik wnuczki wielkiego komedjopisarza, bardzo sympatyczny w swej szczerości i bezpretensjonalności. Czekamy dalszych tomów Fredry — w ostatnich czasach ogłoszono po pismach wiele nieznanych dotąd utworów (przeważnie lirycznych) poety, dających go poznać z innej strony, nietylko wesołej... Bo Fredro, niesłuszną krytyką Goszczyńskiego zrażony, miał w życiu też i przykre chwile, mimo, że w tych sprawach umiał być — jak się wyraża Kucharski — Milczkiem.

J. Birk.

Juljusz Kleiner: „Studja z zakresu literatury i filozofji". Warszawa 1925. Instytut Wydawniczy „Bibljoteka Polska" (Bibljoteka historyczno-literacka).

Studja te, treści najrozmaitszej, uszykował autor w trzy grupy, z których pierwsza zawiera przyczynki do dziejów literatury, druga omawia ogólniejsze zagadnienia literackie, trzecia sięga już niemal wyłącznie w dziedzinę filozofji. W grupie pierwszej na szczególną uwagę zasługuje rozprawka „Proroctwo księdza Piotra", ostatecznie wyjaśniająca słynne 44 — na podstawie kabały żydowskiej (na źródło to już poprzednio zwrócił uwagę w swych wykładach uniwersyteckich prof. Sternbach). Dwie inne rozprawki (o balladach Niemcewicza i „Malwinie" Czartoryskiej) stanowią jak gdyby przygrywkę do dwóch ciekawych prac o romantyźmie, w których autor zrazu rozpatruje „dzieje pojęcia i wyrazu", poczem omawia problematy romantyzmu, najpierw estetyczne (krótko), następnie (szerzej i to dwukrotnie) filozoficzne; problematy te skonfrontował Kleiner z filozofją Bergsona, udowadniając, że „nietylko w pewnych zagadnieniach i metodach — w całem dążeniu najistotniejszem bergsonizm zgadza się z romantyką"; tem dążeniem jest postulat wolności i tworzenia. Jakby dla kontrastu z Fichtem, twórcą filozofji romantycznej, w innym szkicu omawia Kleiner filozofję Berkeleya, wykazując u niego pewne niekonsekwencje w pojęciu idei, wywołane wprowadzeniem metafizyki do psychologji i teorji poznania. Studjum o mesjaniźmie narodowym Krasińskiego jest jakby uzupełnieniem i pogłębieniem dawnych na tem polu prac Kleinera, od których ten głośny dziś badacz rozpoczynał niegdyś swą działalność („Dzieje myśli"). Ze studjów teoretyczno-literackich „(grupa druga") dwa omawiają kwestje estetyczne, dwa — kwestje metodyczno-badawcze; kwestje to aktualne — nie od dziś, zwłaszcza, gdy chodzi o stosunek treści do formy w poezji; konkluzja tych rozważań brzmi: „treść i forma nie oznaczają grup odrębnych wśród składników dzieła, lecz stosunki wzajemne... badacz nie powinien wprowadzać stałej granicy między treścią a formą, ale zachować płynność, znamienną w procesie genetycznym". Gdzieindziej znów Kleiner — tęgi przecie filolog — taką przymówkę robi filologicznym rzemieślnikom: „Zawartość tekstu literackiego nie jest systemem znaczeń samych — jest systemem różnorodnych pojęć". W myśl tych (i innych) zasad krytyki i analizy naukowo-literackiej, tu wyłuszczonych, postępował Kleiner — już

w praktyce — w rozprawie o „Bajkach i przypowieściach" Krasickiego, położonej na początku książki. Albowiem książka cała — mimo pozorną rozbieżność tematów — jest dziełem wielkiej konsekwencji myślowej, a kamieniem węgielnym wszystkich trzech wspomnianych wiązanek jest teza, że „dopiero zespolenie historji, systematyki i teorji literatury stanowi całkowitą wiedzę o literaturze". *J. Birk.*

Wacław Lednicki: „Aleksander Puszkin". — Studja z historji i literatury). Kraków 1927. Nakładem Krakowskiej Spółki Wydawniczej.

„Literaturę o Puszkinie" zapoczątkował u nas Mickiewicz pięknem i arcytrafnem essay o twórczości swego przyjaciela z lat dawnych — od tego czasu o żadnym z pisarzy rosyjskich tyle w Polsce nie pisano, co o Puszkinie. Zainteresowanie się tym właśnie poetą wynikało jednak u Polaków z pobudek, że tak powiem, nieco egoistycznych: oto Puszkin niedość, że związany był silnemi węzłami z Mickiewiczem — co w twórczości obudwóch wzajemne znajdowało odbicie — ale ponadto skierował parę swoich utworów w stronę Polski. Utwory te nastrojem swoim były nam niemile, a wywoływały sprzeczne sądy krytyków i społeczeństwa zarówno po stronie polskiej, jak i rosyjskiej. Rozpatrywaniu tych właśnie utworów poświęcił lwią część swej pracy (rozdział: „Dokoła przeciwpolskiej trylogji lirycznej Puszkina) Dr Wacław Lednicki, najznakomitszy w Polsce — a może i poza Polską — znawca twórczości Puszkina; bierze on poetę rosyjskiego w obronę, wykazując, że ów nie był ani skrajnym szowinistą-rusyfikatorem, ani lizusem łask carskich. Stosunek Puszkina do Mickiewicza — poruszany nieraz w tym rozdziale — uwypuklił autor jeszcze w trzech drobnych przyczynkach. Za punkt kardynalny ideologji „wieszcza rosyjskiego" poczytuje Lednicki utwór „Jeździec spiżowy" (nie „miedziany", jak go się zwykło tłumaczyć!) — owo niejako przenicowanie wiersza Mickiewicza o pomniku Piotra W. — o pomniku, przy którym trzymając się za ręce, stali pewnego razu „pod jednym płaszczem" obaj poeci. Najlepsze jednak światło na charakter i umysł Puszkina — zmysłowy do rozpasania, a jednocześnie przejęty świadomością praw moralnych, niby to romantyczny, a jednocześnie grawitujący ku racjonalizmowi — rzuca gruntowne studjum „Poezja małżeństwa i domu". *J. Birk.*

Jan Łoś: „Gramatyka polska". Cz. I. Głosownia historyczna. II. Słowotwórstwo. III. Odmiennia (fleksja) historyczna. Warszawa — Lwów — Kraków. Wydawnictwo Zakł. Narodowego im. Ossolińskich.

Język nasz należy pono do najtrudniejszych w świecie. To też napisanie porządnej gramatyki polskiej jest zadaniem niełatwem. Pierwsze dwa podręczniki gramatyki, mające wartość naukową, ukazały się dopiero po wojnie. Dwie te gramatyki różnią się między sobą charakterem i metodą: Warszawianin Szober zajął się prawie wyłącznie językiem współczesnym, natomiast Łoś, zamieszkały w Krakowie, oparł swój wykład na rozległej podstawie historycznej. O tej historyczności mówią już wyraźnie tytuły części I i III; w tych częściach bowiem element historyczny nagromadzony jest najobficiej, a erudycja autora — który wszak niezmordowanie od lat wielu opracowuje słownik staropolski — przejmuje nas czcią ogromną

i podziwem. Dla szerszego ogółu najciekawsza jest jednak część II, mówiąca o słowotwórstwie — tej historji naturalnej słowa; znajdą tu dla siebie sporo wiadomości historycy (wyrazy, jako źródło do dziejów kultury), psychologowie (pierwiastek uczuciowy i wrażeniowy w wyrazach), krytycy literaccy i esteci (zmiany w mowie, wywołane poczuciem obrazowości i dźwięczności). Osobny rozdział — bardzo ciekawy — poświęcony jest tak modnej dziś kwestji puryzmu językowego, w której zwykło się wypowiadać (prócz ludzi istotnie do tego powołanych) tylu domorosłych i niedouczonych „znawców", w czem prym dzierżą różne anonimowe, pseudoanonimowe i kryptonimowe gryzipiórki, zabierające głos, czas i miejsce w pewnym sławetnym tygodniku literackim. *J. Birk.*

Władysław Mickiewicz: „Pamiętniki". Tom I. 1838 do 1861 z portretem autora. Nakład Gebethnera i Wolffa.

W książce tej pragnęlibyśmy znaleźć jak najwięcej szczegółów, dotyczących genjalnego ojca jej autora; niestety zaraz na wstępie powiada Władysław Mickiewicz: „Jakkolwiek moje uczucie synowskie jest tak odemnie nieodłączne, jak konieczność oddychania, jednak ojciec mój występuje tylko z początkiem tych pamiętników". Wielki Adam, który nie lubił, by o nim dużo mówiono, niewątpliwie byłby syna pochwalił za tę powściągliwość, ale pewnieby go nieco zburczał za słowa następne: „obecność jego przypada na lata, które nie mają historji, gdyż są szczęśliwe i opromienione iluzją młodzieńczą". Dla Mickiewicza-ojca właśnie dzieciństwo było skarbem najciekawszych a także i najobfitszych wspomnień... Ale w każdym razie podziwiać winniśmy i cenić syna, że w wieku tak sędziwym tyle zapamiętał szczegółów ze swego długiego życia, które — w samym tylko fakcie swego istnienia — było chodzącą tradycją autora „Ksiąg pielgrzymstwa". Co więcej, „Pamiętniki" Władysława Mickiewicza, mówiące przeważnie o emigracji polskiej we Francji w okresie powstań, miały być — i poniekąd są — niejako dalszym ciągiem „Ksiąg Pielgrzymstwa"... tylko „Ksiąg" nie natchnionych, wieszczych, ale przetłumaczonych na zwykłą prozę. Miały one wprawdzie — w myśl autora — ułatwiać cudzoziemcom lepsze zrozumienie sprawy naszej", jednakowoż niezawsze je ułatwiają; owszem, nadmiar elementu anegdotycznego, nie dla wszystkich równie ciekawego, nieraz zaciemnia nietylko myśl prawdziwą, ale i konstrukcję dzieła. Jest to naogół kopalnia surowego jeszcze kruszcu, z którego kuć będą dopiero różne przyrządy (niekiedy i fatałaszki) kowale i inni rzemieślnicy, pracujący nad historją literatury czy polityki polskiej. Albowiem Władysław Mickiewicz widział wiele nietylko faktów, należących do historji, ale i wielu ludzi, tworzących historję. „Kreślę sylwetki ciekawych ludzi, przeżyłem z nimi niezapomniane chwile"... Są to z obcych: Hercen, Bakunin, Klapka, Teleki, Garibaldi, Victor Hugo, De Lamennais i inni, z Polaków: Towiański, Kraszewski, Rzewuski, Sadyk Pasza... (wspominam tylko nazwiska, wymienione w tomie I — w dalszym ciągu pewnie sporo ich przybędzie). Ale najciekawszy i najlepiej opracowany jest rozdział o wielkiej trójcy z Collège de France (niesłusznie tłumacze nazywają ich „trylogją") — o Mickiewiczu, Michelecie i Quinecie, objawicielach idei czasów przyszłych.

J. Birk.

Jan Nepomucen Miller: „Zaraza w Grenadzie". Rzecz o stosunku nowej sztuki do romantyzmu i modernizmu w Polsce. Warszawa 1926. Nakładem Księgarni F. Hoesicka.

Książka, z której powodu nakruszono tyle kopij i podniesiono wiele larum, nie powiem — żeby wojennego — należy do bezpowrotnej przeszłości. „Zaraza w Grenadzie" przeminęłaby zapewne bez głośniejszego echa, gdyby nie flankowy atak Millera na granitową postać Mickiewicza, rzucającą olbrzymi cień na całe minione stulecie i czasy idące. Wbrew nauce, czerpanej z ksiąg pierwszych klasyków świata, Miller — nie wiem doprawdy gwoli czemu — postanowił zignorować lwią część dorobku poetyckiego nieżyjącego pisarza, nie mogę bowiem rozdziału, odsądzającego od czci wielkiego romantyka, poczytywać za czyn rewizjonistyczny. To efektowne napozór uderzenie zwróciło mimowoli uwagę inteligentnego ogółu na osobę autora „Zarazy w Grenadzie". Z dalszych wystąpień okazało się jednak, że Millerowi idzie przedewszystkiem o wmówienie, iż jest prekursorem nowego kierunku nazwanego uniwersalizmem. Ten nowy termin powstał rzecz prosta, daleko wcześniej. Zczasem Miller starał się przykrawać do niego przykłady, sprzeniewierzając się coraz wymowniej samemu sobie. Był to „izm", wykalkulowany przedtem jeszcze, zanim urodziło się zjawisko, tłumaczące sam termin. W dyskusji na ten temat, w której zabierali głos różni pisarze (kto o tem nie pisał!), Miller początkowo stał na platformie materjalistycznej, antyromantycznej i pozytywistycznej. Z chwilą jednak, gdy zabrali się do uniwersalizmu tacy uczeni, jak prof. Władysław Jaworski, wyszło na jaw, że uniwersalizm jako termin nie zwiastuje nic nowego i że założenia jego są metafizyczne, a romantycy to — najwięksi uniwersaliści. Wówczas Miller, nie chcąc uchodzić za ignoranta (przynajmniej w oczach prof. Jaworskiego), wyraził milczącą zgodę i stał się i romantykiem, i pozytywistą, i materjalistą, i metafizykiem w jednej osobie. Zapędzony do matecznika, wydaje stamtąd patenty na uniwersalny uniwersalizm. Na zakończenie dodam, że charakterystyka osób działających w „Panu Tadeuszu", podana przez Millera w sensie odkrywczym jest wielkiem nieporozumieniem, gdyż Mickiewiczowi właśnie chodziło o ujawnienie przekroju ówczesnego społeczeństwa, niezdolnego do jakiejkolwiek aktywności. W tym względzie Miller wyłamuje drzwi otwarte przez samego Mickiewicza. Mickiewiczowi szło przecież o przedstawienie nieporadności i pasywności Polski z pierwszych lat XIX wieku i właśnie na tle bogatej przyrody litewskiej. I w tem właśnie tkwi owa prawda życiowa poematu. Zresztą Mickiewicz nieinaczej sądził o „Panu Tadeuszu". W liście do Odyńca pisze o tym poemacie: „Co tam najlepsze, to obrazki z natury kreślone, naszego kraju i naszych obyczajów domowych". Definicja millerowska romantyzmu, jako ucieczki od otaczającego życia i kapitulacji wobec nakazów chwili, nie jest również rzeczą nową. Uczynił to przed laty Adolf Nowaczyński, nacierając impetycznie i z większą brawurą na romantyzm, w znanym powszechnie meandrze, zaczynającym się od słów „Gwiżdżę na waszą romantyczną trójcę". „Zaraza w Grenadzie" jest książką zimnego intelektu. Zastygłe w martwocie zdania i wydłużone nadmiernie okresy nie przemawiają do wyo-

braźni czytelnika, który oczekuje czegoś innego: pulsacji krwionośnej.

Ciężko mi pisać te słowa pod adresem dawnego kombatanta z pod chorągwi „Czartaka", sądzę jednak, że autor „Zarazy w Grenadzie", świadomy rozdwojeń i rozdźwięków, zachodzących we współżyciu najlepszych bodaj przyjaciół, tych kilka uwag na temat jego książki, nie zaliczy mi do kategoryj wypadów osobistych. *E. K.*

Juljusz Słowacki: „Dzieła wszystkie". Pod redakcją Juljusza Kleinera. (Dotychczas t. I—IV i X). Lwów. Wydawnictwo Zakł. Nar. im. Ossolińskich.

— „Król-Duch". Wydanie zupełne, komentowane. Ułożył i komentarzem opatrzył Jan Gw. Pawlikowski, brzmienie tekstów i rękopisów ustalił Michał Pawlikowski. — Nakładem H. Altenberga we Lwowie.

Marzył wielki poeta, że kiedyś dzieła jego zajmować będą całą półkę w czyjejś bibljotece. Nieprędko jednak marzenie to się spełniło Znaczna — znacznie większa — część dzieł tych nie została wydana za życia poety, a nawet i po jego śmierci przedziwne miała koleje. Pierwszy, który się nią zajął, Małecki, czcił wprawdzie poezję Słowackiego, ale nie wszystko w niej rozumiał, zresztą świadomie wiele z tej ogromnej spuścizny bądź przemilczał, bądź poprzekręcał, niedźwiedzią przysługę oddając niekiedy autorowi „Króla-Ducha". Grzech ten pierworodny zaciężył i na następnych wydawcach, którzy nazbyt Małeckiemu wierzyli; to też wszystkie dotychczasowe wydania zbiorowe pełne były błędów. Dopiero sumienne badania późniejsze ukazały we właściwem świetle nietylko brzmienie tekstu ,ale i głęboki, istotny sens utworów, określanych dawniej jako „niejasne". Tyczy się to głównie wielkiego „dzieła genezyjskiego", które z całą słusznością twórca jego uważał za rzecz pełną prostoty i konsekwencji. W zbiorowem wydaniu, które na 16 tomów rozłożyli wydawcy, należałoby i to koniecznie — dodać tom listów, gdyż te (wobec wyczerpania się wydania Méyeta - Kridla) są naogół niedostępne dla sfer czytelniczych, a chyba zasługują na szerokie rozpowszechnienie; zresztą — wobec odkrycia nieznanych dotąd listów Słowackiego — wydanie ich kompletne staje się nieodzowne. *J. Birk.*

Aleksander Świętochowski: „Historja chłopów polskich w zarysie" I. W Polsce niepodległej. Lwów — Poznań 1925. Nakładem Wydawnictwa Polskiego.

Dzieło przygotowywane od lat wielu, pełne niezmiernej erudycji; autor pisze w przedmowie, że przestudjował około 1500 druków, mających związek z historją chłopstwa w dawnej Polsce. Niestety ta obfitość niekiedy raczej utrudnia niż ułatwia zrozumienie wielu szczegółów; kwestji pochodzenia chłopów oraz pierwotnego ich stosunku do ziemi i osobistej własności nie zdołała bowiem po dziś dzień wyjaśnić nauka. W średniowieczu włościaństwo było wielce zróżniczkowane, czego ślady po dziś dzień widoczne w nazwach wsi; myli się jednak autor, poczytując nazwę „Bartodzieje" za patronymicum — jest to bowiem nazwa wsi „narokowej", oznaczająca dostawców „barci" czyli ulów pszczelnych (porównaj „koło-dzieje"). Jednolitość pewną w ustroju stanu wieśniaczego wprowadza Kazimierz Wielki „król chłopków", je-

dnakże wnet po jego śmierci (pakt koszycki) popadają chłopi w poddaństwo, usankcjonowane ostatecznie statutem piotrkowskim — za Olbrachta bowiem, jak słusznie mówi Świętochowski, szlachta nie „wyginęła", lecz ...zapanowała nad chłopami. Odtąd dwa wieki następne — to okres wielkiej niedoli i katuszy ludu polskiego. Świętochowski nie owija tej rzeczy w bawełnę, owszem surowo piętnuje tę czarną plamę naszej historji, jednakże wykazuje — w imię prawdy — że Polska w tym względzie czystsze ma sumienie, niż inne kraje ościenne. Mniej u nas, niźli gdzieindziej, było buntów chłopskich; zaznaczę jednak, że autor, wspominając Chmielnickiego i inne ruchy chłopstwa ruskiego, dziwnym trafem przeoczył jedyne powstanie zbrojne chłopów rdzennie polskich pod wodzą Kostki Napierskiego. Powtóre w ciągu tych dwóch wieków nie brak było jednostek szlachetnych, które dążyły do naprawy doli ludu. Należą tu królowie: Jan Kazimierz i Leszczyński. pisarze: Rej, Klonowicz, Modrzewski, Kromer, Skarga, Birkowski, Starowolski, Staszic, Kołłątaj — nazwiska dwóch ostatnich związane są z Sejmem Czteroletnim, co radził nad tą sprawą. Zamyka całą książkę świetlana postać Tadeusza Kościuszki — tego, który najwięcej zrobił dla chłopów. „Miarą pragnień Kościuszki jest jego testament, którym on chłopów w swoim majątku zupełnie uwolnił i uwłaszczył — o wiele lat przedtem, zanim na to zdobyły się najliberalniejsze rządy w Europie".

J. Birk.

A. M. Świnarski: „Widowisko o doktorze Fauście". Poznań 1927.

Pięknie wydane opracowanie inscenizacyjne „Fausta" Goethego w koncepcji dwuwieczorowej oparte jest o przekład Emila Zegadłowicza i zawiera szereg własnych projektów inscenizacyjnych autora w zestawieniu z innemi jak Reinhardta, Baumbergera, Szpringiera, Pronaszki, Teatru narod. w Warszawie. Rzecz przemyślana, a w specjalności swej cenna. *Z. H.*

KRONIKA

Nasza przeszłość. „Czartak" z 1928 r. jest trzecim z rzędu tomem tego zbiorowego wydawnictwa. Pierwszy wyszedł w r. 1922, pomyślany jako pierwszy zeszyt zamierzonego miesięcznika, drugi z 1925 r. zawarł antologię poetów „Czartaka", poprzedzoną przedmową E. Kozikowskiego. Niniejszy, trzeci, o rozszerzonym zakresie, oddajemy właśnie w ręce publiczności.

Nowi Czartakowcy. Zbór poetów „Czartaka" powiększyli od 1925 r. Zofja Kossak-Szczucka, Jan Wiktor, Józef Birkenmajer i Wiktor Hanys. Z drogami Zofji Kossak-Szczuckiej zeszły się w pewnym momencie nasze drogi i powitaliśmy się wzajemnie z radością, odkrywając skarby spólnoty. Toć to autorka „Pożogi" i tak bliskich nam „Wielkich i małych". Jan Wiktor, autor „Burka" i „Legend o grajku bożym" spowinowacił się z nami rodzajem swej twórczości i postawą wobec życia. Nie wiedząc

o „Czartaku" był już naszym towarzyszem, którego nie mogliśmy chyba wyminąć. Józef Birkenmajer pracuje literacko już od szeregu lat. Nazwisko jego nie będzie zatem obce czytelnikowi. Znajomość z nim odświeżyć może przeglądnięcie rejestru jego prac. Choć nie pracował z nami od początku, optował na rzecz „Czartaka" i jest dziś jego obywatelem. Na innych prawach wchodzi do „Czartaka" Wiktor Hanys. Jest z nas wszystkich najmłodszy. Nie ma za sobą nic jeszcze, chyba skończone dwadzieścia jeden lat i zdolności, w które wierzy. Wyszedł z zapadłej wioski ze Ślemienia, który uważa za najpiękniejszy klejnot Beskidu. Pląsają przed nim dziwożony poezji. Boryka się z życiem, objawia zaciętość w pracy i ma otwartą głowę. Pójdziemy więc razem młody przyjacielu! Twoja obecność pośród nas świadczy najlepiej o tem, że „Czartak" żyje.

P l a s t y c y w „C z a r t a k u". Plastyka to odrębna republika na własnych prawach. Nie nam poetom o niej rozprawiać. Plastycy wypowiadają się dostatecznie środkami swej sztuki. Gdy jednak tak wielkie wśród nich panuje zróżniczkowanie, gdy zdaje się, że poza materjałem w zakresie rzeczowym i poza najogólniejszą miłością sztuki w zakresie idej nic ich często nie łączy — patrzcie: oto w „Czartaku" spotkacie ich razem najlepszych przedstawicieli wszystkich żyjących pokoleń. Oto Fałat, Weiss, Pronaszko, Hrynkowski, Kowarski, Misky, Mroziński, Gedliczka, Porządkowski. Cóż ich łączy? Beskid, którego motywy na swój sposób odtwarzają. A czynią to z miłości dla piękna, odkrytego w tej ziemi. Przez nich i my widzimy niejedno, co oni dostrzec potrafili. Wzbogacają naszą świadomość zatem. Przygotowują i kształtują formę naszych wizyj, a formy od treści nic odłączyć nie może. Przetośmy bracia.

E t y k a w ż y c i u. Wbrew praktyce pism literackich „Czartak", wprowadziwszy dział sprawozdawczy z ruchu art.-literackiego, nie zamieszcza w nim sprawozdań z dzieł i utworów Czartakowców, sąd o nich zostawiając innym na łamach od siebie niezależnych.

N a k ł a d c y i p r z y j a c i e l e „C z a r t a k a" to kilka instytucyj i jednostek dobrej woli, obywateli Beskidu, którzy w dzisiejszych zmaterjalizowanych czasach rozumieją znaczenie idei, piękna i sztuki w działaniu regjonalnem. Pomoc ich w niejednem była także moralnem poparciem naszych dążeń. Rari aves! Są nimi: Rada Powiatowa w Białej, Rada Miejska w Białej, Rada Miejska w Myślenicach, Rada Powiatowa w Wadowicach, Rada Miejska w Wadowicach, Rada Powiatowa w Żywcu, arcyks. Karol Stefan Habsburg z Żywca, hr. Tarnowska z Suchej, poseł i redaktor Marjan Dąbrowski, Stanisław Burtan, Dr Józef Kubiczek, Kazimierz Hommé, gen. Julj. Bijak.

N a s i w r o g o w i e. Mamy nietylko szczerych i życzliwych przyjaciół, których umiemy cenić, ale także wrogów i to dwojakich: jawnych, którym idee nasze nie odpowiadają i ci walczą z nami otwarcie, oraz takich, którzy udają naszych przyjaciół, a sądzić o nich należy to, co mówi o nich przysłowie „chroń mnie Boże od przyjaciół, bo z moimi wrogami sam sobie dam radę". Ci schlebiają nam z jednej strony i mają na ustach słodkie i fałszywe słówka, a z drugiej usiłują naruszyć fundament spólnoty „Czartaka", podjudzając osobiste ambicje jednostek. Razi ich wszelkie braterstwo zwłaszcza w imię idei, boją się na-

szej siły. Woleliby mówić z każdym z nas z osobna i na osobności. Typy takie znane są po giełdach, z któremi nie mamy nic wspólnego.

Teka autolitografij „Czartaka" wykonana została w zakładzie artystycznej litografji A. Pruszyńskiego w Krakowie.

W pogrzebie Juljusza Słowackiego w czerwcu 1927 r. wziął „Czartak" udział, składając u trumny genjusza skromny wieniec z jedliny, jałowca i kłosów żytnich, ozdobiony ptaszkami Wowra. Wieniec nieśli Emil Zegadłowicz, Tadeusz Szantroch, Jan Wiktor i Wiktor Hanys. Gdy trumna z prochami Króla-Ducha, salutowana przez marszałka J. Piłsudskiego szła w majestacie między groby królewskie — gromadka poetów „Czartaka", stojąc na dziedzińcu wawelskim w deszczowej ulewie, żegnała ją płonących serc podniesieniem.

Zmarli protagoniści. Spoglądając wstecz na drogę odbytą od 1925 r. chylimy w żałobie czoła przed zmarłym w tym czasie Władysławem Reymontem, potężnym dębem z rodzimej gleby wyrosłym, piewcą „Chłopów", żegnamy się z głębokiem odczuciem poniesionej straty ze Stefanem Żeromskim, świadomym regjonalistą, rapsodem „Puszczy jodłowej", a obejmując myślą i sercem, choć bynajmniej nie przez ostatni „Mój świat" Jana Kasprowicza stwierdzamy, że świat ten jest i naszym światem. Nad grobem Stanisława Przybyszewskiego przemawiał Emil Zegadłowicz. Musimy przyznać, że z tej miłości do sztuki, sięgającej dna duszy, jaką apostołował Stanisław Przybyszewski wyszliśmy wszyscy.

W 20-lecie śmierci Stanisława Wyspiańskiego w listopadzie 1927 r. owładnął nas żal, że teatry polskie nie poczuły się do obowiązku nowych inscenizacyj wspaniałych dzieł wielkiego budowniczego sceny polskiej. „Syn mija pismo".

Juljan Fałat. Wielki to dla nas zaszczyt, że obchodzący w tym roku 75-lecie twórczego żywota znakomity artysta, b. dyrektor Krakowskiej Akademji Sztuk Pięknych, świetny malarz w wielkim stylu, twórca doskonałych scen myśliwskich, niezrównanych śniegów i krajobrazów beskidzkich stanął w jednym z nami szeregu dla umiłowania tej ziemi, z którą zrósł się i którą sławi. „Czartak" z dumą spogląda na dzieło Juljana Fałata, witając go z największem poważaniem w swem gronie.

Dożynki Orkana. Druh nasz serdeczny i starszy przyjaciel, Władysław Orkan, gazda Podhala i organizator jego zasobów duchowych święcił w ubiegłym roku 25-lecie pracy literackiej. W jubileuszu tym wzięliśmy udział w Krakowie. Z tego miejsca wołamy na autora „W roztokach" i „Drzewiej" krzepkiem pozdrowieniem od gór do gór idącem, a nie chcąc postarzać go zbytnim ceremonjałem jubileuszowym, podajemy mu w szczerem a wdzięcznem uściśnieniu dłoń z sercem na niej położonem.

Vlastimilowi Hofmanowi składa „Czartak" także z okazji minionego 25-lecia pracy artystycznej hołd w kilku prostych słowach, które wskazać chcą przedewszystkiem na te promienie czujnej miłości, jakie biły już ku młodości naszej od jego wiejskich Madonn, kapliczek, ptaszków i dzieci. Ten świat biedoty, pełnej Boga i świętości, ogarniamy na równi z artystą sercem miłującem. Wiąże nas z nim głębsze w niejednem pokrewieństwo. Jak jego pastuszkowie i dzieci, odczuliśmy potrzebę skrzydeł śród rzeczywistości, od której je-

dnak bynajmniej nie odeszliśmy, lecz umiłowawszy ją, przemienili.

Wieczory poetyckie „Czartaka" odbyły się dnia 6. III. 1927 r. w Krakowie z udziałem art. dram. Artura Sochy i p. Taidy Granowskiej, w Szczawnicy dnia 23. VII. 1927 r., a w Poznaniu dnia 14. X. 1927 r. z udziałem art. dram. Stanisławy Wysockiej. Wszędzie przyjmowano nas bardzo życzliwie — a tłumna frekwencja przekonała nas, że znajdujemy oddźwięk w społeczeństwie.

Okładka, inicjał i klisze, użyte w obecnym „Czartaku" są dziełami następujących artystów i firm: okładkę wykonał art. mal. Zbigniew Pronaszko, inicjał we wstępie Emila Zegadłowicza jest drzeworytem Zdzisława Gedliczki. Klisze cynkowe z okładki oraz z rysunków Zbigniewa Pronaszki, przedstawiających w karykaturze podobizny autorów, wykonał techniką kreskową zakład reprodukcji fototechnicznej St. Welanyka w Krakowie.

Ciągłość wydawnictwa. Począwszy od r. 1928, pokrywszy przerwę od 1925 r. niniejszym bogatym tomem, będzie „Czartak" wychodził jako półrocznik z działami twórczym i sprawozdawczym.

Redakcja „Czartaka". — „Czartak" w 1928 r. powstał pod redakcją Tadeusza Szantrocha, Wadowice, ul. Słowackiego 22. W Warszawie reprezentuje redakcję Edward Kozikowski ul. Puławska 12, m. 13., w Poznaniu Emil Zegadłowicz, Chwaliszewo 15/16.

Poprzednie zeszyty „Czartaka" są do nabycia: „Czartak" z 1922 r. u E. Kozikowskiego, Warszawa, ul. Puławska 12 w cenie 1.50 zł. za egzemplarz (w ograniczonej ilości), a „Czartak" z r. 1925 w księgarni S. A. Krzyżanowskiego w Krakowie w cenie 6 zł. za egz.

Druk „Czartaka" wykonała drukarnia „Czasu" w Krakowie pod kierunkiem dyrektora Leopolda Wójcika.

SPIS RZECZY

ZBIGNIEW PRONASZKO:	Emil Zegadłowicz (rysunek).
EMIL ZEGADŁOWICZ:	Jałowcarz.
LUDWIK MISKY:	Trzy drzeworyty do »Jałowcarza«.
EDWARD PORZĄDKOWSKI:	Poławiacze piasku (drzeworyt).

PRZEGLĄD LITERACKI

JÓZEF BIRKENMAJER:	Z lotu ptaka.
DZIAŁ SPRAWOZDAWCZY:	(Beletrystyka, poezja, przekłady, plastyka, prace lit.-naukowe).
KRONIKA.	

TEKA AUTOLITOGRAFIJ

JAN HRYNKOWSKI:	Cyganka.
FEL. SZCZĘSNY KOWARSKI:	Baca.
LUDWIK MISKY:	Czartak.
JAN MROZIŃSKI.	Dworek w Beskidzie.
ZBIGNIEW PRONASZKO:	Ulica w Suchej.
WOJCIECH WEISS:	Kalwarja.
JULJAN FAŁAT:	Skrzeczna widziana z Bystrej. — Widok z Bystrej na Klimczok.

TEKA AUTOLITOGRAFIJ CZARTAKA

J. HRYNKOWSKI
CYGANKA

F. S. KOWARSKI
BACA

L. MISKY
CZARTAK

J. MROZIŃSKI
DWOREK W BESKIDZIE

Z. PRONASZKO
ULICA W SUCHEJ

W. WEISS
KALWARJA

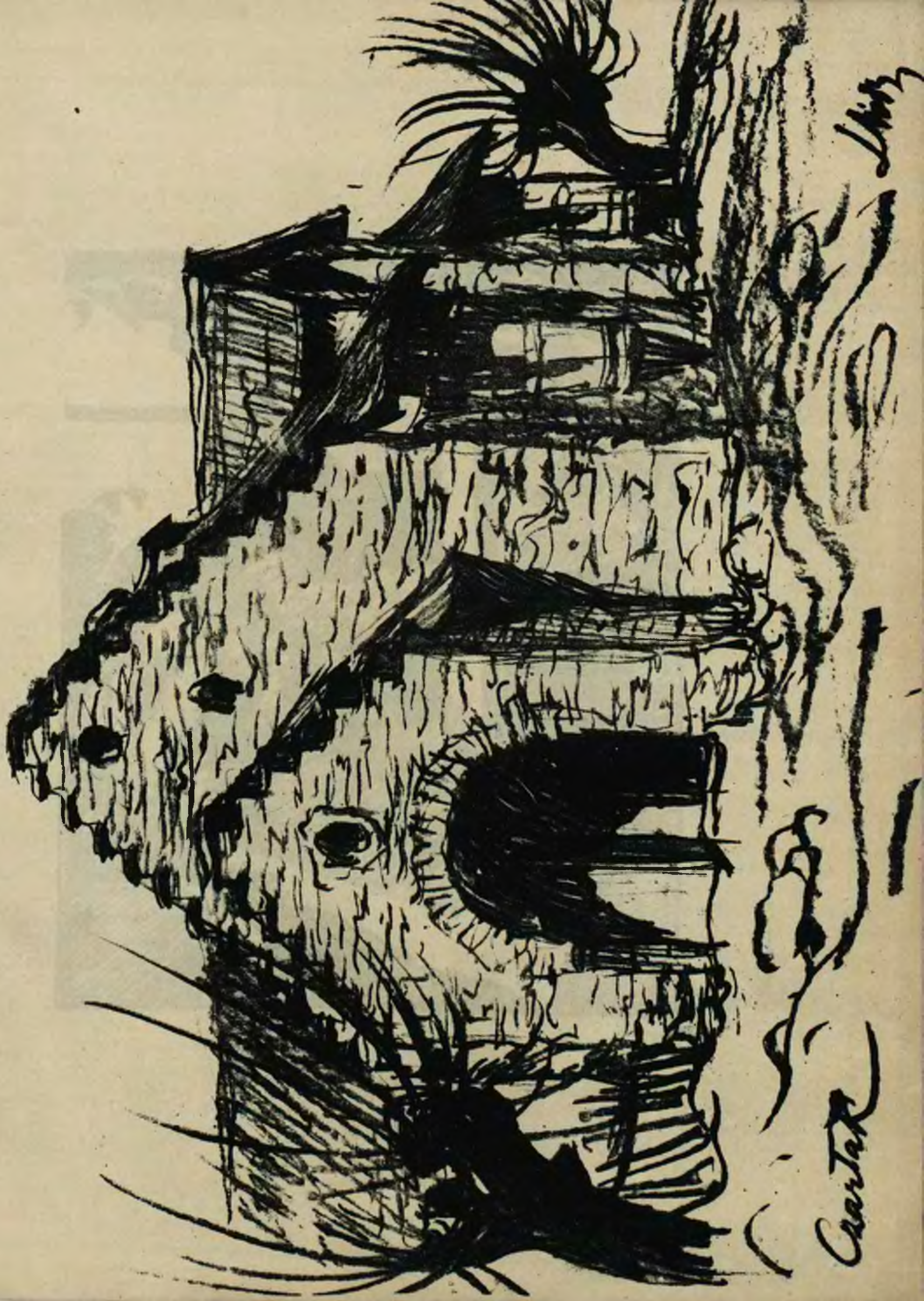
J. FAŁAT
SKRZECZNA WIDZIANA Z BYSTRY
KIMCZOK WIDZIANY Z BYSTRY.


























Fałat Bystra

REJESTR WYDANYCH KSIĄŻEK AUTORÓW »CZARTAKA«

JÓZEF BIRKENMAJER:

»Opowiadania starej Margośki«, Poznań, Księg. św. Wojciecha, 1927.
»Poszumy Bajkału«, Poezje, Zakopane, 1927.
»Łzy Chrystusowe«, Nowele, Poznań, Spółka pedagogiczna, 1927.
»Rewelacja rewelacyj« (Księga pamiątkowa poświęcona T. Dąbrowskiemu), Warszawa, Fr. Hoesick 1927.
R. L. Stevenson: »Wyspa skarbów« (przekład), Poznań, Wydawn. Polsk., 1924.
W. B. Yeats: »Opowiadania o Haranhanie Rudym«, Tajemnicza Róża Rosa Alchemica (przekład z przedmową tłum.), Poznań, Wydawn. Polsk. 1925.
Karol Gjellerup: »Gdym ujrzał ją« (przekład), Poznań, Wyd. Polsk., 1926.
R. L. Stevenson: »Porwany za młodu« (przekład), Poznań, 1927.
R. Tagore; »Góra« (przekład), Poznań, 1927.
A. H. Smith: »Złoto z Porto Bello« (przekład), Poznań, 1927.
R. Kipling: »Kim« (przekład), Poznań, 1927.
— »Powiastki dla małych dzieci« (przekład), Poznań, 1927.

JANINA BRZOSTOWSKA:

»Szczęście w cudzem mieście«, Poezje, 1925.
»O ziemi i mej miłości«, Poezje, 1925.
»Erotyki«, Poezje, 1926.

ZOFJA KOSSAK-SZCZUCKA:

»Pożoga«, Pamiętnik 1922. Wyd. Krak. Spółki Wydawn. Obecnie wydanie 4-te.
»Beatum scelus«, Powieść historyczna 1924. Wyd. Krak. Spółki Wydawn. Obecnie wydanie 2-gie.
»Kłopoty Kacperka, góreckiego skrzata«, Bajka dla dzieci z ilustracjami 1925. Wyd. Krak. Spółki Wydawn.

»Wielcy i mali«, kilka opowiadań z dziejów Śląska Cieszyńskiego 1926. Wyd. Krak. Spółki Wydawn.
»Z miłości«, Szkic powieściowy o św. Stanisławie Kostce 1926. Wyd. OO. Jezuitów.

EDWARD KOZIKOWSKI:

»Płomyk świecy«, Poezje, 1921.
»Tęsknota ramy okiennej«, Poezje, 1922.
»Antologja poezji murzyńskiej«, Poezje (wespół z Emilem Zegadłowiczem), 1923.
»Koniec Hortensji Europy«, Poezje, 1925.
»Wymarsz świerszczów«, Poezje, 1925.

TADEUSZ SZANTROCH:

»Poezje«, 1906.
»Z lutni żołnierza«, Poezje, 1916. Centr. Biuro Wydawn. N. K. N.
»W zorzach krwi«, Poezje, 1918. Krak. Spółka Wydawn.
»Cyklady«. Poezje, 1924. Kraków, S. A. Krzyżanowski.

JAN WIKTOR:

»Oporni«, nakład Wydawnictwa Polskiego. Lwów, 1919 (wyczerpane).
»Przez łzy«, nakład Bibljoteki Polskiej, Warszawa, 1922.
»Burek«, nakład »Płomień« książnicy nauk. Przemyśl, 1925.
»Legendy o grajku Bożym«, z drzeworytami Zdz. Gedliczki, nakład »Płomień«, Przemyśl, 1925.

EMIL ZEGADŁOWICZ:

Poezje i poematy:

»Drogą życia«, Poezje 1908.
»Nad rzeką«, Poemat, 1910.
»Powrót«, Poezje i poematy, 1911.
»Imagines«, Poezje, 1918.
»Odejście Ralfa Moora«, Poemat, 1919.
»Ballady«, 1920.
»Dziewanny«, (ballady wtóre), 1921.
»U dnia, którego nie znam stoję bram«, Poemat, 1921.
»Kolędziołki beskidzkie«, 1923.

»Powsinogi beskidzkie«, 1923.
»Zielone święta«, 1924.
»Ballada o Wowrze«, 1924.
»Przyjdź Królestwo Twoje«, 1924.
»Wielka nowina«, 1924.
»Kantyczka rosista«, 1924.
»Gody pasterskie«, 1925.
»Godzinki«, Poezje, 1925.
»Krąg«, Poezje, 1926.
»Dom jałowcowy«, Poezje, 1926.
»Godzina przed jutrznią«, Powieść, 1927.
»Dziewanny«, 1927.
»Siedem pieśni zgrzebnych o Janie Kasprowiczu«, 1927.
»W obliczu gór i kulis«, Poznań, 1928.

Dramaty:

»Noc św. Jana Ewangelisty«, Misterjum balladowe, 1923.
»Nawiedzeni«, Misterjum balladowe, 1923.
»Lampka oliwna«, Tragedja, 1921.
»Łyżki i księżyc«, Groteska, 1924.
»Głaz graniczny«, Dramat, 1924.
»Alcesta«, Dramat, 1925.
»Betsaba«, Dramat, 1926.

Przekłady:

»Tematy chińskie«, 1918.
Walter Hasenclever: »Antygona«, Tragedja, 1924.
J. W. Goethe: »Faust«, część I, 1925.
— » część II, 1926.
Gozzi: »Turandot«, 1927.

ODBITO W DRUKARNI »CZASU« W KRAKOWIE
POD ZARZĄDEM LEOPOLDA WÓJCIKA
ROKU TYSIĄC DZIEWIĘĆSET DWUDZIESTEGO
ÓSMEGO.